Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NR 37 (1433) ROK XXVIII 14 WRZEŚNIA 1985 CENA 20 ZŁ

- Hitlerowski wrzesień w Łodzi
- Smutny Sopot
- Poznać pana po cholewach...
- „Krwawy realizm"
- Palowanie
- Anastasis

Foto: Grzegorz Gałasiński

Most

WŁADYSŁAW MALKA

Most ma swoją historię. W styczniu 1945 roku wyleciał w powietrze wraz z niemieckim czołgiem, kiedy w rannej mgle zamajaczyły czołówki Czerwonej Armii. Niemieckiemu żołnierzowi zadrżała ręka, nie dał szansy dotarcia swoim na drugą stronę. Niemcy nie byli już wtedy tak opanowani i dokładni, jak na początku wojny. Czołg tkwił jakiś czas w nadbrzeżnym bagnie, które pochłaniało go powoli, aż w końcu znikł całkowicie. Jest tam do dziś. Ci, którzy widzieli go w czasie, gdy pożerało go bagno, dokładnie pokażą ręką to miejsce.

Później most został prowizorycznie sklecony. Połączył peryferie miasta zwane Brzustówką z drogą prowadzącą do wsi Ludwików. Znowu zaterkotały chłopskie furmanki na drewnianym pomoście, a przerwana droga łącząca wieś i miasto ponownie nabrała sensu.

Wrogiem mostu była rzeka. Most był drewniany i nie był specjalnie wytrzymały na kaprysy wody. Wiosną, kiedy topniały śniegi i Pilica występowała z brzegów, okoliczni ludzie z troską spoglądali na groźną przestrzeń, w której kłębiła się woda przemieszana z krą i życzyli mostowi żeby jej sprostał. Bywało jednak, że rozlegał się huk i trzask, i jakby ogromne, śmiertelne westchnienie mostu, które napełniało ludzi irracjonalną trwogą. Biegli wtedy na brzeg, by zobaczyć jak znikają w zwycięskim i groźnym nurcie jego żałosne szczątki.

Tak było przez całe lata. Gdy czas i słońce okiełznały już rzekę, znowu łączono brzegi przewrotnej rzeki drewnianą konstrukcją mostu i modlono się wraz z kolejnym przyborem wody, by rzeka sobie z nią nie poradziła.

W tym czasie miasto uruchomiło swoje fabryki, w których jak przed wojną tkano wełny, dywany, a nade wszystko sztuczny jedwab, weszło w swój znaczony mozolną pracą rytm. Fabryki potrzebowały ludzi, wchłaniały każdą parę rąk. Ci, co mieszkali za rzeką, jeszcze przed wojną chodzili do miasta szukać pracy. Znali drogę do miasta i poniekąd byli z nim w ścisłych związkach. Teraz tą samą drogą przez most na rowerach, a częściej piechotą, zmierzali do miasta w stronę ciemnych, od dymu kominów fabryk, gdzie była dla nich praca. Most miał dla nich szczególne znaczenie, kiedy go brakowało, musieli do pracy wychodzić wcześniej, by okrężną drogą dotrzeć na czas.

Stan niepewności, jaki rodził się każdego roku, co do losów mostu był aż nadto uciążliwy. Którejś wiosny w pobliżu mostu pojawili się żołnierze. Najpierw zbudowali wąską kładkę dla ludzi i ich rowerów, a następnie w ciągu dwóch tygodni postawili nowy most na miejscu tamtego. Była to typowa baileyowska konstrukcja wypróbowana podczas drugiej wojny światowej, w czasach pokojowych powszechnie stosowana w miejscu zniszczonych przepraw. Most wspierał się o dwie podpory z grubych drewnianych bali, między nimi zaś przebiegały potężne stalowe liny. Był to więc most wiszący.

Okazał się on wytrzymały nad podziw. Przetrwał wszystkie wylewy rzeki, które z czasem i tak przestały mu zagrażać, kiedy w okolicach wsi Smardzewice zbudowano zaporę wodną. Most w nie zmienionej postaci przetrwał do dnia dzisiejszego, wymagał jedynie okresowych napraw drewnianego podkładu niszczejącego szybciej niż metalowe części.

Okresy, w których zamykano most i przystępowano do łatania nadwątlonego podkładu, z biegiem lat pojawiały się coraz częściej. Im więcej przejeżdżało przez most samochodów, tym częściej u jego wylotów pojawiały się czerwono-białe bariery. Pewnego dnia ludzie mieszkają-

6

Wywiad i kontrwywiad RFN

EDWARD K. NOWAK

Działalność służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych budzi ogromne zainteresowanie. Kurytna tajemnicy, która otacza te instytucje podnieca i wywołuje emocje. Na owo zainteresowanie odpowiadają najczęściej reżyserzy filmowi i pisarze, którzy ukazują w sensacyjny, wyidealizowany i zmistyfikowany sposób świat dramatycznych zmagań asów wywiadu i kontrwiadu. Bohaterami filmów i książek szpiegowskich są najczęściej obok agentów amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA), pracownicy i współpracownicy zachodnioniemieckich służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych.

W historii służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych w RFN nie jest to zjawisko nowe, od samego bowiem powstania były one przedmiotem ogromnego zainteresowania, rozbieżnych postaw i sądów. W tej materii można w samej RFN wyróżnić dwa główne nurty. Pierwszy — prezentuje służby wywiadowcze i kontrwywiadowcze jako „ostoję demokracji", główny organ walki z komunizmem i „czerwonymi szpiegami", a ich funkcjonariuszy — jako gotowych do najwyższych ofiar w interesie RFN i ładu publicznego. Drugi — traktuje te służby jako rzecz konieczną, ale wykazuje wrażliwość na naruszanie praworządności przez te służby. Krytyczny stosunek nie przeszkadza w przemycaniu pochwał i zachwytów nad sprawnością zawodową wywiadu i kontrwywiadu RFN.

Nie można mieć o to pretensji do pisarzy, twórców i publicystów RFN. W końcu — są to ich służby. Poza tym — prawie wszystko, co dotyczy wywiadu i kontrwywiadu w RFN, tak zresztą jak i w innych państwach, stanowi tajemnicę państwową — stąd ucieczka w bajkowy świat przygód. Stąd mało rzeczowych informacji na ten temat.

Służby wywiadowcze i kontrwywiadowcze RFN są bardzo rozbudowane. W ich skład wchodzą: Federalna Służba Wywiadowcza; Wojskowa Służba Kontrwywiadowcza; Federalny Urząd Ochrony Konstytucji; Krajowe Urzędy Ochrony Konstytucji; tajna policja polityczna wchodząca w skład Federalnego Urzędu Kryminalnego i Krajowych Urzędów Kryminalnych, a także liczne prywatne służby bezpieczeństwa utworzone przez organizacje polityczne burżuazji RFN, jak też poszczególnych magnatów wielkiego kapitału.

KOMPETENCJE WYWIADU I KONTRWYWIADU

Służby wywiadowcze i kontrwywiadowcze w RFN, jak i w innych państwach, realizują generalną funkcję ochrony ustroju, a w jej ramach trzy funkcje szczegółowe: zdobywania informacji; neutralizowania działań wymierzonych przeciw celom, które chce osiągnąć kierownictwo polityczne; narzędzia realizacji polityki wewnętrznej i zagranicznej.

Kompetencje i zakres działalności poszczególnych służb w RFN można sprowadzić do następującego schematu. Federalna Służba Wywiadowcza podejmuje działania poza granicami RFN oraz ma zabezpieczać własne szeregi przed infiltracją obcych siatek szpiegowskich. Wojskowa Służba Kontrwywiadowcza — chroni Bundeswehrę przed szpiegostwem i sabotażem oraz przed wpływami i działalnością rewolucyjnego ruchu robotniczego i ruchów na rzecz pokoju. Federalny Urząd Ochrony Konstytucji — ochrania ustrój, państwo i jego organy. Zwalcza obce siatki szpiegowskie oraz wpływy polityczne uznane za niebezpieczne dla państwa bońskiego.

Do zadań federalnej policji politycznej należy ochrona członków rządu i mężów stanu odwiedzających RFN oraz prowadzenie dochodzeń w sprawach dotyczących podejrzeń o zdradę stanu. Federalna policja polityczna — współdziała też ściśle z Federalnym Urzędem Ochrony Konstytucji i stosuje przymus fizyczny wobec osób stawiających opór funkcjonariuszom tego Urzędu, przeprowadza aresztowania „elementów wywrotowych" wskazanych przez ten Urząd, dokonuje rewizji mieszkań, konfiskaty literatury „wywrotowej" itp. Analogiczne zadania wykonuje krajowa policja polityczna w każdym kraju związkowym RFN.

Z opisanych tu pokrótce służb największa tajemnica otacza Federalną Służbę Wywiadowczą. Tylko przy okazji afer szpiegowskich opinia publiczna dowiaduje się o niektórych tajnych operacjach wywiadu zachodnioniemieckiego.

FEDERALNA SŁUŻBA WYWIADOWCZA (BND)

Historia tej służby sięga lat drugiej wojny światowej kiedy to w grudniu 1941 r. Reinhard Gehlen, ówczesny podpułkownik, objął kierownictwo wywiadu wojsk lądowych Wehrmachtu noszącego nazwę Oddział Armie Obce „Wschód". Do zadań Oddziału należała ocena informacji zdobytych przez inne hitlerowskie służby wywiadowcze i opracowywanie na tej podstawie raportów o sytuacji na wschodnim froncie. Oddział gromadził też materiały o strukturze wojsk radzieckich, systemie dowodzenia, przemyśle zbrojeniowym, szkołach wojskowych oraz prowadził kartoteki personalne wyższych dowódców radzieckich.

W miarę jak front niemiecki na Wschodzie zaczął się załamywać, Reinhard Gehlen awansowany tymczasem do stopnia generała, przystąpił do gorączkowych prac nad utworzeniem własnej sieci agentów, którzy mieli pozostać na tyłach Armii Radzieckiej. Podejmował też — na własną rękę — próby ocalenia archiwów, które w obliczu zbliżającej się klęski III Rzeszy, miały być atutem przetargowym wobec Amerykanów. Owe archiwa udało się w końcu ukryć w górach, w Bawarii w okolicach Elendsalm.

Po zakończeniu wojny Gehlena i jego najbliższych współpracowników, aresztowanych przez wojska amerykańskie, osadzono w obozie jenieckim. Wkrótce odnalazł ich tam wywiad amerykański i po zapoznaniu się z atutami Gehlena (archiwum i zamrożona siatka agentów na Wschodzie) przyjął jego ofertę współpracy. Wykorzystano bogate doświadczenia generała przy reorganizacji amerykańskich służb wywiadowczych, a następnie przystąpiono do odtwo-

4

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: I. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuję się używając blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139.11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2680 P-14.

Przegląd prasy

Mój stały sąsiad z tej kolumny, niejaki Vicesekator, prosił mnie o odstąpienie miejsca w „Przeglądzie prasy", albowiem ma

COŚ PILNEGO DO PRZEKAZANIA DANIELOWI PASSENTOWI

a nie chce korzystać z pośrednictwa Poczty Polskiej — tym bardziej, że i sam Daniel Passent wybrał jawną, publiczną drogę dla wyekspliikowania swych uwag, sprowokowanych przez króciutką notatkę tegoż Vicesekatora, pomieszczoną w przeglądzie wydarzeń tygodnia w 31 numerze „Odgłosów" (z 3 sierpnia 1985 roku). Niechętnie czynię zadość prośbie kolegi, albowiem — po licznych w tym względzie własnych doświadczeniach — uważam, że Daniel Passent jest absolutnie, w sposób fizycznie doskonały, odporny na polemiki, argumenty, nawet epitety. Po prostu matka natura wyposażyła go nie tylko w grubą skórę, ale i w bardzo sprawny aparat mentalny, oddzielający Dobre od Złego, Przyjemne od Nieprzyjemnego, Poziome od Pionowego i Pryncypialne od Ekstremalnego, że nie wspomnę o umiejętnościach preparatorskich, polegających głównie na zdolności bezbłędnego wyizolowania Centrum od Prawej i Lewej Reszty, nie tylko zresztą na gruncie polityki, ale dosłownie wszędzie. Dzięki temu jest cudownie samowystarczalny.

Przeto nie wiem, czy kolega Vicesekator coś wskóra w dziedzinie polemizowania z Danielem Passentem. Ale niech spróbuje... Przy okazji — panie Danielu, jeśli będzie pan kiedyś w Łodzi, niech pan wpadnie do nas na trzynaste piętro do „Odgłosów". Zapraszamy na herbatkę lub kawę — do wyboru, na podziwianie panoramicznego widoku naszego niepięknego, ale przecież sympatycznego miasta, no i na pogawędkę sine ira et studio. Jeżeli to panu oczywiście odpowiada...

TOMASZ SAS

Mój szanowny kolega i szef, który tak wspaniałomyślnie choć nie bez zastrzeżeń, udzielił mi wyjątkowo swego miejsca na kolumnie, myli się sądząc, że Daniel Passent jest całkowicie odporny na polemiki czy zaczepki. Wprost przeciwnie: ilość dziur w passentowej zbroi jest spora, a i słabiznę ma niczym nie osłoniętą: tą passentową słabizną jest niewątpliwie tzw. miłość własna. Na chwałę Passentowi należy wszelako policzyć to, że uczucie owo nie jest egoistycznie skierowane tylko na jestestwo samego mistrza, Daniel

PASSENT SWĄ MIŁOŚCIĄ OBEJMUJE

daleko więcej: cały swój mikrokosmos obejmuje — owe kręgi towarzyskie i polityczne, w których zwykł bywać i brylować (przepraszam, szefie za mimowolne skojarzenia przy użyciu słowa „brylować"), to całe Centrum zakichane, a także firma, której łaskawie udziela swego blasku i którą łaskawie wicekieruje. I je to rozumiem...

Miłość własna Passenta, jak każde wielkie uczucie, objawia się poprzez agresję wobec każdego, kto spróbuje zakwestionować wysoką jakość dóbr i wartości miłością ową objętych. I to rozumiem — nie mogę tylko pojąć, dlaczego przy okazji facetem, który jakoby wierzy tylko w maszynę do pisania, programowym cynikiem i makiawelistą, miotają aż tak wielkie emocje, że mu odbierają zdolność postrzegania rzeczywistości w jej naturalnych wymiarach.

A jakaż ta rzeczywistość była?

Oto w nr 31 „Odgłosów" opublikowałem tekst dotyczący „Polityki", a więc najistotniejszego składnika mikrokosmosu Daniela Passenta — jak mniemam chyba nie bez racji. Pozwolę sobie przytoczyć ten kawałek in extenso, aby było wiadomo, o co właściwie chodzi:

FINEZYJNE CHWYTY REKLAMOWE

stosuje ostatnio „Polityka". Oto pismo zwróciło się do swoich czytelników z pytaniem, w jaki to mianowicie cudowny sposób zdobywają dla siebie bezcenne egzemplarze kolejnych numerów. Ponieważ jestem czytelnikiem tygodnika od 25 lat odpowiadam — po prostu kupuję w dowolnym kiosku, w dowolnej porze dnia, w dowolny dzień tygodnia — jeżeli tylko kiosk jest otwarty, z czym ostatnio gorzej. Ale, przynajmniej w Łodzi, „Polityka" jest w ciągłej sprzedaży. Czas pomyśleć o reklamie lepszej niż poprzez sztuczne wywoływanie wrażenia niedostępności pisma. Byle nie metodami „Veto" — może po prostu robić „Politykę" nieco ciekawiej?".

I tyle. Sugestia zawarta w ostatnim zdaniu jest nie tyle może wynikiem mojego sprzeciwu wobec reklamy, którą redakcja „Polityki" usiłowała zwiększyć czytelnicze zainteresowanie swoim produktem, ile syntezą wieloletniego obcowania z tym tygodnikiem. Przy okazji przepraszam Passenta i innych purystów językowych za użycie słowa „robić" — z żargonu dziennikarskiego; istotnie, poprawniej byłoby „redagować"...

No cóż, „Polityka" doby obecnej jawi mi się smutna i sztywna niczym dekiel od trumny; a po deklu tym harcują wesołki maści rozmaitej: Passent właśnie między innymi. Być może opinia ta jest fałszywa, nazbyt subiektywna i mało kompetentna — ale nie jest złośliwa ani podyktowana osobistymi animozjami.

Po prostu, uważam, że „Polityka" straciła swój image, swą opiniotwórczą charyzmę z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych. Niewątpliwie wpłynęły na to losy wewnętrzne tygodnika, głównie rozmaite zmiany personalne, aczkolwiek najdalszy byłbym od przypisywania jednostkom dominującej roli w kształtowaniu historii. Nie ulega jednak wątpliwości, że było to niegdyś pismo jak dzwon, a teraz jak pęknięty garnek... A szkoda — bardzo żal mi tamtej „Polityki".

Ale dość z tym. W każdym razie moja niewinna uwaga jednak mocno

UBODŁA PASSENTA W SŁABIZNĘ

skoro zareagował jadowicie prześmiewczym felietonem pt. „Nienasyceni" (nr 36 — 85.09.07). I bardzo dobrze — mamy dzięki temu okazję, by wyjaśnić sobie wzajemnie parę kwestii z dziedziny tzw. filozofii redagowania tygodników. I w ogóle...

Daniel Passent tłumaczy, że „Polityka" nie zmierza do tego, by była ciekawa za wszelką cenę (zgadzam się z tym i doprawdy niczego takiego nie oczekuję od manszaftu z ulicy Dubois), bo gdyby tak być miało, drukowaliby wyłącznie wspomnienia Kalibabki, reportaże z balu naturystów, porady Wisłockiej, program telewizyjny itp. Passent dokładnie wymienia co, jego zdaniem winno wyłącznie zawierać pismo ciekawe, ale nie chce mi się cytować — zresztą nie jestem pewien czy ten spis inwentarza Passenta czyni kpiąco — a może z tęsknotą?...

„Oczywiście nic tak nie ożywia gazety jak trup — pisze Passent — *ale pismo nie powinno być jedynie interesujące, gdyż ma do odegrania również rolę informacyjną, kulturotwórczą, polityczną, oświatową, stara się — jak by powiedział Marks — nie tylko objaśniać świat, ale i go zmieniać. Krótko mówiąc gdybyśmy (..) redagowali pismo wyłącznie interesujące, to zamiast pisma dla inteligencji wydawalibyśmy pismo dla półinteligencji".*

Ciekawy pogląd... Czyżby miał on oznaczać, że pisma dla inteligencji ex definitione mają być nieinteresujące? Wydaje mi się, że tu Danielowi

PASSENTOWI COŚ SIĘ POMYLIŁO

— forma z treścią mianowicie, jak sądzę. Używając słowa „ciekawiej" miałem na względzie nie postulat zmiany treści, zawartości „Polityki", ale konieczności bardziej atrakcyjnego, „drapieżnego", atakującego redagowania — doboru treści, autorów i obowiązującego stylu pisania. Kiedyś tak „robiona", poruszała „Polityka" serca i umysły, dzisiaj wywołuje co najwyżej wzruszenie ramion. Mnie przypomina ona człowieka, który wybrał się regulować ruch na skrzyżowaniu, ale bez pałki i gwizdka, no i bez silnej woli; stać go tylko na minoderyjne gesty, na kokieterię — bo bardziej niż regulować chce się podobać — no i z tym wszystkim popada w coraz dłuższe okresy zamyśleń, kontemplacji własnego pępka...

Nie ukrywam, że pod przemożnym wpływem tamtej „Polityki" kształtowałem własne poglądy, odnajdywałem sposób widzenia i rozumienia świata. I tylko z pozycji czytelnika, stroskanego degrengolada swego niegdysiejszego idola, uczyniłem tę skromną uwagę, która tak rozjuszyła Passenta.

Natomiast co do ról, jakie winno odgrywać pismo społeczno-polityczne czy społeczno-kulturalne, zgadzam się z Passentem całkowicie. Nie wiem tylko, dlaczego w mniemaniu Passenta „misjonarstwo" ma być w opozycji do „ciekawości" pisma; wszak jedno nie wyklucza drugiego. Problem w tym, że Passentowi „interesujące" kojarzy się wyłącznie z sensacyjnym, bulwarowym, skandalizującym, schlebiającym drobnomieszczańskim, pół (a może i ćwierć...) inteligenckim gustom, ociekającym łzami, krwią i spermą. No cóż, jest to ten patologiczny sposób widzenia świata, którego ja nie idę zmieniać...

Natomiast co do objaśniania i zmieniania świata, to w moim skromnym mniemaniu problem „Polityki" polega na tym, że istotnie niegdyś pismo to, dzięki sumiennemu wypełnianiu owych ról, które Passent skrupulatnie wylicza, uczestniczyło w zmienianiu świata. Tak skutecznie, że świat ten zmienił się naprawdę... Może nie tak akurat, jakby niegdysiejsza „Polityka" tego chciała, ale zmienił się. Natomiast „Polityka", mimo zmian w sobie samej, już tego zmienionego świata ani nie dogania, ani nie rozumie — z możliwości pozostały ambicje.

Toteż wcale mnie nie zdumiewa, że aż tak gorączkowo Daniel

PASSENT POSZUKUJE WZORCA

Niedawno przyglądał się, jak to robią Niemcy (w tygodniku „Die Zeit"). Teraz rzucił łaskawym okiem na „Odgłosy". Niby cieszymy się z tego, ale właściwie jesteśmy nieco zakłopotani. Wyznajemy bowiem filozofię „stu kwiatów" i z natury rzeczy przeciwni jesteśmy wszelkim wzorom, przykładom dobrego zachowania się itp. Nie lubimy naśladownictwa. Poza tym zupełnie wyzbyci jesteśmy ambicji przewodzenia innym i służenia przykładem.

Co więcej — byłoby nam niezmiernie przykro, gdyby ktoś uwierzył w passentowe zachęcanie do pójścia naszym tropem, aczkolwiek Daniel Passent reklamuje nas z taką pasją. Po pierwsze dlatego, że — mimo, iż autentyczność cytatów i ich zbieg w jednym numerze potwierdzam — doprawdy nie tak ten trop wygląda. Po drugie zaś — wiemy, że ci, którzy mogliby ewentualnie z naprowadzania Passenta skorzystać, dawno już ten problem skutecznego redagowania rozwiązali na własny użytek.

Jedno, co nam z całej tej „zabawy w piaskownicy" zostanie, to przeświadczenie, że pan Daniel

PASSENT ODWALIŁ KAWAŁ DOBREJ ROBOTY

na naszą rzecz — zresztą już po raz drugi. Gdybyśmy bowiem taką reklamę chcieli nabyć za pieniądze, to mogłoby nam nie starczyć, a i efekt nie byłby taki pewny... Panie redaktorze — dziękujemy, dziękujemy serdecznie!

VICESEKATOR

Minął tydzień

DO WYBORÓW POZOSTAŁ JUŻ MIESIĄC

— podczas obywatelskich zebrań konsultacyjnych (odbyło się ich ponad dwa tysiące, nie licząc spotkań środowiskowych i innych okazji do rozmów z kandydatami — m.in. licznych imprez rekreacyjnych) społecznemu osądowi poddano 1727 kandydatur osób zgłoszonych do konwentów. Do 13 września konwenty muszą zgłosić listy wyborcze do zarejestrowania w Państwowej i okręgowych komisjach wyborczych. Z kandydowania na liście krajowej — ze względu na stan zdrowia — zrezygnowała Barbara Enholc-Narzyńska, działaczka Polskiej Rady Ekumenicznej. W jej miejsce Rada Krajowa PRON zgłosiła kandydaturę Aleksandra Legatowicza — ekonomisty i działacza katolickiego.

ĆWICZENIA WOJSKOWE „PRZYJAŹŃ-85"

jednostek i sztabów Armii Radzieckiej, Narodowej Armii Ludowej NRD i Wojska Polskiego rozpoczęły się na terenie Polski. Zadaniem manewrów jest przećwiczenie wariantów bojowych działań taktycznych i operacyjnych oraz przedsięwzięć materiałowo-technicznego zabezpieczenia walczących wojsk w warunkach współczesnego pola walki.

„BEZ ZACHODU, TAMTEJSZYCH PIENIĘDZY

sprzętu, inspiracji, no i rozgłosu zapewnianego przez zachodnią prasę i dywersyjne radiostacje TKK już dawno umarłaby śmiercią naturalną — powiedział w wywiadzie udzielonym Jerzemu Małczyńskiemu wiceminister spraw wewnętrznych gen. dyw. Władysław Pożog. — ośrodkom dywersyjnym na Zachodzie i ich służbom specjalnym zależy na utrzymaniu TKK w szczątkowej formie ze względów taktycznych".

NIESPODZIEWANY KONIEC LATA

nadszedł w ubiegłym tygodniu dosłownie z dnia na dzień — w czwartek było jeszcze letnio, a już w piątek na Lublinku zanotowano tylko 6,3 st. C. Na Wybrzeżu silne wiatry, na morzu sztorm — rybacy tkwią w portach, energetycy usuwają uszkodzenia ponad pięciuset transformatorów. W Łodzi każdego dnia wichury notowano kilkadziesiąt awarii energetycznych.

W RUMUNII OPUBLIKOWANO PROJEKT

ustawy o samorządności i samofinansowaniu rad narodowych oraz o zadaniach i [illegible]ności w tworzeniu budżetów lokalnych i obowiązkowej pracy społecznej. Projekt przewiduje m.in., że pracujący obywatele są zobowiązani do pieniężnego uczestnictwa w realizacji obiektów kulturalnych, komunalnych i urbanistycznych poprzez wnoszenie do budżetu wpłat w zróżnicowanej wysokości zależnie od liczby pracujących w rodzinie. Przewiduje się, też obowiązkowy udział w pracach na rzecz gospodarki terenowej w wymiarze 6 dni roboczych rocznie. Uchylanie się od tych obowiązków spowodować ma nakładanie kar pieniężnych. Obliczono, że wraz z ewentualnymi karami nowe rozwiązania obciążać będą budżet domowy przeciętnego mieszkańca Rumunii kwotą około 1100 lei rocznie.

TRUJE NAS BRUD

— twierdzi dyrektor Departamentu Inspekcji Sanitarnej Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej dr Jan Suchowiak, komentując nie notowaną od lat w takim natężeniu eksplozję zatruć pokarmowych, jakie pojawiły się w ciągu kilku letnich miesięcy. Nagminnie nie przestrzega się przepisów sanitarnych i reżimów technologicznych podczas produkcji żywności — od wielkich zakładów przemysłowych aż po małe prywatne wytwórnie lodów. Bezpośrednim sprawcą masowych zatruć są najczęściej bakterie z grupy salmonelli, lecz pośrednio winne jest nasze niechlujstwo i brak wyobraźni.

PIĘĆ LAT ISTNIENIA I 250 NUMERÓW

mają już za sobą „Wiadomości Skierniewickie" — wojewódzki tygodnik partyjny tkwiący chwalebnie na posterunku w wyjątkowo niedogodnym miejscu dla działalności prasowej, bo między Łodzią i Warszawą. Gratulujemy, życzymy dalszych sukcesów i dziękujemy za zaproszenie na jubileusz.

W NOCY Z SOBOTY NA NIEDZIELĘ

zakończyło się wreszcie monstrualne „Studio Lato" — odbył się mianowicie wielki show w Teatrze Małym (może lepiej byłoby odwrotnie?) zrealizowany przez reżysera całości „letniej przygody z TV" Feriduna Erola. Z zaskakujących ciekawostek bezwzględnie odnotować należy come-back Violetty Villas z nieśmiertelnym (w odróżnieniu od samej gwiazdy.) przebojem „Oczi cziornyje"...

NA XI KONKURSIE CHOPINOWSKIM

od 1 do 20 października w Warszawie nasze barwy będzie reprezentować trzynastu młodych wykonawców, ale to drobiazg w porównaniu z Japończykami, których przyjedzie 27. A w ogóle zgłosiło się do konkursu 191 pianistów, z czego zakwalifikowano 142.

HANDEL OPANOWAŁA NOWA MANIA

— tworzenie sklepów wzorcowych mianowicie. Epidemia nie ominęła naszego miasta: już są dwa, a do końca roku ma być dwadzieścia. Wyróżniają się one podobno wyposażeniem, zaopatrzeniem, kulturą obsługi, samodzielnością finansowo-zaopatrzeniową. Jednym słowem to, co powinno być normą powszechnie obowiązującą, ma być elitarnym eksponatem...

VICESEKATOR

Pod batutą dyktatora

„...Poprzez moje życie dzwoniły łańcuchy przez długie lata. Żyłem jak wariat z myślą jedyną, że Polska będzie niepodległa... lepiej teraz jest siedzieć w więzieniu, niż patrzeć na to, co się w Polsce dzieje..."

— Jan Kwapiński

A działo się rzeczywiście niedobrze. Zza murów twierdzy brzeskiej przenikały wieści o fizycznych i moralnych udrękach, jakich nie szczędzono uwięzionym przywódcom opozycji. Z uczestnikami manifestacji na rzecz uwolnienia byłych posłów rozprawiano się w sposób brutalny i krwawy. Wybitni działacze niepodległościowi Irena Kosmowska i Jan Kwapiński za wystąpienia na wiecach przeciw dyktaturze zostali aresztowani, osądzeni i skazani.

W takiej to atmosferze rozpoczęła się kampania przed wyznaczonymi na 16 listopada 1930 roku wyborami do Sejmu i na 27 listopada do Senatu. Wybory te rząd postanowił wygrać i to tak wysoko, aby uzyskać bezwzględną większość w parlamencie. Ponieważ jednak sytuacja polityczna nie dawała takiej gwarancji uznano wszystkie środki prowadzące do celu za dobre. Jak by nie dość było aresztowania przywódców opozycyjnych partii politycznych, w okresie kampanii wyborczej pozbawiono wolności kilkudziesięciu dalszych byłych posłów i senatorów w rezultacie czego, około 30 proc. członków poprzedniego Sejmu zostało wyłączonych z walki o mandaty poselskie. A powody aresztowań były przeróżne, pojawiły się nawet zarzuty przygotowania zamachu na Józefa Piłsudskiego, z których zresztą szybko się wycofano.

Szczególnie dramatyczny charakter miały represje we wschodniej Małopolsce, gdzie karne ekspedycje wojska i policji pacyfikowały wsie ukraińskie.

Władze podjęły szereg środków administracyjnych dla utrudnienia prowadzenia kampanii wyborczej partiom opozycyjnym. Nie wyrażano zgody na korzystanie z sal dla prowadzenia zebrań przedwyborczych, niszczono lokale organizacyjne, rozpędzano zgromadzenia.

To wszystko jednak nie wystarczało, siły rządzące nie były pewne wyniku wyborów, dlatego też zaczęto nawoływać do odejścia od tajności wyborów. W wielu wypadkach do urn wyborczych przychodziły duże zorganizowane grupy z kartami wyborczymi w ręku. Kto domagał się tajności wyborów, stawał się podejrzanym.

Jeszcze przed wyborami dochodziło do masowego unieważniania list wyborczych partii opozycyjnych, przy czym przede wszystkim unieważniano je tam, gdzie partie te posiadały największe wpływy. Dochodziło nawet do paradoksalnych sytuacji unieważniania w niektórych okręgach wszystkich list opozycyjnych, a pozostawienia tylko listy rządowej.

Jeśli dodamy do tego, że w wielu przypadkach unieważniono głosy oddane na listy opozycyjne, a także poprawiono wyniki wyborów — trudno się dziwić, że Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem zdobył 55,6 proc. mandatów w Sejmie i 67,6 proc. w Senacie. Natomiast godny podkreślenia jest fakt, iż w warunkach dotkliwych represji stronnictwa Centrolewu zdobyły 23 proc. mandatów w Sejmie i 15,3 proc. w Senacie.

Były liczne próby protestów, składali je mężowie zaufania, ale nikt nie liczył się z ich głosem. Jedynie w Płocku i Przemyślu wybory unieważniono i powtórzono.

Nowy parlament nie miał problemów związanych z wyborem przewodniczących obu izb. Marszałkiem Sejmu wybrano Kazimierza Świtalskiego, a Senatu — Władysława Raczkiewicza. Marszałek Świtalski natychmiast po wyborze udał się do prezydenta Mościckiego w celu uzyskania akceptacji dla pełnienia tej funkcji.

Czasy w których marszałek Sejmu przeciwstawiał się dyktatorskim zapędom władzy wykonawczej, skończyły się. W funkcjonowaniu polskiego parlamentu rozpoczął się okres dziwny i dotąd niespotykany. Miał on wszelkie znamiona — jeżeli można to tak określić — politycznego samobójstwa, ubezwłasnowolnienia się na rzecz dyktatury.

Niewiele w takich warunkach mogli uczynić nieliczni posłowie Centrolewu. Zgłoszoną przez nich interpelacje w sprawie więźniów brzeskich sanacyjna większość odrzuciła. Posypały się wtedy protesty wielu środowisk. Protestowali między innymi profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego, Warszawskiego, Wileńskiego, Politechniki Warszawskiej, Politechniki Lwowskiej, Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

Tymczasem na sali sejmowych obrad premier Walery Sławek wbrew oczywistym faktom spokojnie oświadczył że *„sadyzmu i znęcania się nie było..."*

Gdy sprawa brzeska finalizowała się w październiku 1931 roku przed Sądem Okręgowym w Warszawie, Henryk Lieberman w złożonym oświadczeniu stwierdził: *„...jestem oskarżony dlatego, że nakazywał to interes wyborczy..."*

W warunkach, w których Sejm zrezygnował z inicjatywy ustawodawczej, a opozycja nie mogła skutecznie kontrolować poczynań rządu, pozostało jej wykorzystanie Sejmu jako trybuny publicznej. Ale i tu występowały poważne trudności. Sesje sejmowe skracano, działalność Sejmu sprowadzano do zwoływania sesji budżetowych.

Bardzo charakterystyczny przebieg miała pierwszą sesja nowego Sejmu. Prorządowa większość zalegalizowała przekroczenia budżetowe i zakończyła w ten sposób długo już ciągnącą się i kompromitującą obóz rządowy sprawę Czechowicza. Zasygnalizowano także sprawę zmiany Konstytucji, przeciwko czemu ostro wystąpiła lewica parlamentarna twierdząc, że Sejm, w tak niedemokratyczny sposób wybrany, nie ma prawa dokonywać zmian w ustroju politycznym państwa. Opozycja ze swej strony wysunęła sprawę Brześcia i pacyfikacji w Małopolsce wschodniej, ale obie te interpelacje odrzucono.

Premierem w owym czasie był dotychczasowy prezes Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem Walery Sławek. Urząd premiera oddał mu marszałek Piłsudski działając zgodnie ze swą taktyką. Jako premier spacyfikował opozycję, uwięził jej przywódców w Brześciu, wpłynął metodami administracyjnymi na przebieg kampanii wyborczej, uzyskał większość sejmową dla popierania swych koncepcji i oddał władzę jednemu ze swych najbliższych współpracowników.

A tymczasem w warunkach pogłębiającego się światowego kryzysu komplikowała się coraz bardziej sytuacja gospodarcza kraju, co spowodowało, że na sesji sejmowej 1931/32 Polska Partia Socjalistyczna wystąpiła z projektem ustawy o walce ze skutkami kryzysu gospodarczego. Postulowano: ograniczenie czasu pracy do 40 godzin tygodniowo, zakaz zamykania przedsiębiorstw bez zgody rządu, wprowadzenie kontroli nad przemysłem, rozszerzenie pomocy dla bezrobotnych. Większość rządowa sprawę oczywiście odrzuciła, a przeprowadziła szereg ustaw ograniczających zakres swobód politycznych.

Bardzo charakterystyczne było także zakończenie tej sesji sejmowej. Otóż uchwalono pełnomocnictwa dla rezydenta przekazujące mu pełnię władzy ustawodawczej z wyjątkiem jednej tylko rzeczy, a mianowicie zmiany Konstytucji. Atmosfera była zresztą wówczas taka, że gdyby Sejm przekazał prezydentowi także pełnomocnictwo w zakresie zmiany Konstytucji, to nikt w obozie rządowym nie miałby co do tego żadnych wątpliwości.

W roku 1933 kończyła się kadencja prezydenta Ignacego Mościckiego. Zadecydowano, że powinien pozostać i parlament wybrał go jednomyślnie. Ta jednomyślność była wynikiem następującej sytuacji. Cała opozycja postanowiła nie brać udziału w głosowaniu. Głosy posłów komunistycznych i części mniejszości narodowych oddane przeciw, zostały unieważnione. W rezultacie Ignacego Mościckiego wybrano 332 głosami na 555 członków Zgromadzenia Narodowego.

Przygotowaniom do zmiany Konstytucji towarzyszyło uchwalenie ustaw ograniczających swobody polityczne i cofających zdobycze socjalne, zdobyte wcześniej przez masy pracujące.

Sejm uchwalił w 1932 i 1933 roku:

— ustawę o stowarzyszeniach, ograniczającą prawo swobodnego zrzeszania się obywateli i stwarzającą możliwość uzyskania prawa wyłączności działania przez stowarzyszenia prorządowe,

— ustawę o zgromadzeniach i zebraniach, wprowadzającą między innymi obowiązek uzyskania zgody władz na zgromadzenia pod gołym niebem i obowiązek zgłaszania władzom zebrań w lokalach zamkniętych,

— ustawę samorządową ograniczającą bardzo poważnie samodzielność samorządu terytorialnego, uprawniającą władze państwowe do zatwierdzania wyborów członków władz samorządowych,

— ustawę o ustroju szkolnictwa, wprowadzającą różne typy szkół powszechnych i prowadzącą do skracania obowiązku szkolnego, zamykającą znacznej części młodzieży drogę do szkoły średniej,

— ustawę o szkołach akademickich, oddającą w ręce ministra sprawy tworzenia i zamykania katedr i wydziałów, zatwierdzanie wyboru rektora przez prezydenta Rzeczypospolitej, zatwierdzanie przez ministra uchwał o habilitacji.

Ustawa zezwalała także organom bezpieczeństwa na wkraczanie na teren szkoły wyższej.

Bardzo znamienny był także fakt wydania dekretu dotyczącego Najwyższego Trybunału Administracyjnego, któremu odebrano prawo wypowiadania się w wielu dziedzinach i w znacznym stopniu uzależniono go od rządu.

Szczególnie dokuczliwe dla najszerszych mas stało się uderzenie w ustawodawstwo robotnicze. Zmniejszono zasiłki chorobowe, zmniejszono wymiar rent wypadkowych, zmniejszono bardzo niekorzystnie zasady ubezpieczenia od bezrobocia, zwiększono tydzień pracy, a zmniejszono wynagrodzenie za pracę w godzinach ponadliczbowych.

Teraz pozostało już tylko zmienić Konstytucję, ponieważ ta poprzednia, z marca 1921 roku — „krótka pani" — jak ją określał Józef Piłsudski, była już dla obozu rządowego zupełnie nie do przyjęcia.

Postawiono tę kwestię na plenarnym posiedzeniu Sejmu 26 stycznia 1934 roku, przedkładając Sejmowi tzw. tezy konstytucyjne, a następnie wykorzystując fakt, iż posłowie opozycyjni postanowili zbojkotować debatę i opuścili salę obrad użyto fortelu. Skrócono bezprawnie postępowanie, tezy konstytucyjne uznano za projekt konstytucji i zanim posłowie opozycyjni wrócili na salę, uchwalono ustawę zasadniczą. Skandal powstał niemały, wątpliwości co do sposobu uchwalenia Konstytucji miał podobno nawet sam Piłsudski, który polecił by w Senacie przeprowadzono to w sposób zgodny z prawem.

Nawiasem mówiąc nic nie ryzykował, ponieważ w Senacie sanacja posiadała kwalifikowaną większość.

Są tacy którzy powiadają, że to nic nowego, że w podobny sposób doprowadzono do uchwalenia przez Sejm Konstytucji 3 Maja. Różnica jednak — sądzę — jest tu zasadnicza, jako że w przypadku Majowej Konstytucji patrioci wyprowadzili w pole warchołów, ludzi opanowanych przez prywatę...

Uchwalając Konstytucję zwaną Kwietniową sanacja odżegnywała się ostatecznie od parlamentarnej demokracji.

Najwyższą, niepodzielną władzę oddano w ręce prezydenta odpowiedzialnego przed „Bogiem i historią", odchodząc w ten sposób od zasady suwerenności narodu.

Zrezygnowano z monteskiuszowskiej zasady podziału władzy, z odpowiedzialnością rządu przed parlamentem, a więc z tego, co stanowiło dotąd filary burżuazyjnej demokracji politycznej.

Kompetencje parlamentu zawężono tak, że przestał się on liczyć, a na wypadek gdyby kolejne wybory nie wyszły po myśli obozu rządowego, Konstytucja wyposażyła prezydenta w prawo stosowania tzw. veta zawieszającego wobec sejmowych ustaw.

Nowe wybory do Sejmu i Senatu rozpisano resztą już wkrótce po uchwaleniu Konstytucji Kwietniowej. Ogłoszono je w skomplikowanej sytuacji wewnętrznej, w atmosferze żałoby państwowej po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, ale także w warunkach rozpoczynającej się walki o władzę między najbliższymi współpracownikami Komendanta.

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Wybory zdrowego rozsądku

Rygor arytmetyki

Sformułowanie to posłyszałem w jakiejś telewizyjnej wypowiedzi o regułach redukowania kandydatów na posłów do ilości wymaganej przez ordynację przy rejestrowaniu list wyborczych. Przyznam, że mnie ono nieco zastanowiło, a może nawet zdumiało. Czyżby w istocie reguły rządzące światem liczb miały ostatecznie decydować o kształcie parlamentu?

Do pewnego stopnia jest to jakaś racja. Ilość mandatów w Sejmie jest ustalona z góry i nienaruszalna, ordynacja zaś określa, że do wyborów staje tylko dwóch kandydatów na jedno miejsce, wyjąwszy listę krajową, gdzie na jeden mandat jest jeden kandydat. Ponieważ proporcje między listą krajową a okręgowymi zostały ustalone wcześniej: 50 do 410 — oznacza to, że z nie ograniczonej niczym ilości kandydatów zgłoszonych konwentom po konsultacjach zostać musi 50 plus 820, czyli 970 osób. Ani więcej, ani mniej. I to właśnie ma być ten rygor arytmetyki...

No cóż, zadaniem konwentów wyborczych jest te reguły redukcji zastosować w terminie do 13 września. Na listach zgłoszonych przez konwenty do obywatelskich konsultacji było ponad 1800 kandydatów — oznacza to, że więcej niż co drugi musi odpaść.

Powstaje teraz pytanie o zasady kierujące tą selekcją; dlaczego ten a nie inny? A jest to pytanie z gatunku trudnych... Musimy jednak podjąć próbę odpowiedzi na nie, iżby nie było niedomówień ani obywatelskich wątpliwości w tej kluczowej fazie aktu wyborczego. W szczególności zaś idzie o przezwyciężenie mniemania, że wraz z zarejestrowaniem list przez okręgowe komisje wyborcze — zważywszy na pewne właściwości przepisów ordynacji — jest już po wyborach...

Dlaczego zatem ten a nie inny?

Wojewódzkie konwenty wyborcze rozmaicie sobie radziły z ustaleniem wykazów kandydatów proponowanych przez uprawnione podmioty. Sądzę jednak, że zdecydowana ich większość postanowiła przedstawić do konsultacji wszystkich zgłoszonych kandydatów — zgodnie z arcydemokratyczną zasadą równych szans. Przypadki arbitralnego odebrania szans wyborczych były zapewne bardzo nieliczne, a nie przypuszczam, żeby były nieuzasadnione. Konwenty zatem — jak sądzę, słusznie — dały wszystkim kandydatom szansę konfrontacji z wyborcami na zebraniach, całą selekcję odkładając na później — po fazie zbierania obywatelskich opinii o tych ludziach.

Inaczej postąpiono w przypadku listy krajowej. Tu Rada Krajowa PRON, gospodarz tej listy, sama dokonała selekcji z ponoć kilku tysięcy zgłoszeń i propozycji, przedstawiając elektoratowi tylko tylu kandydatów, ile mandatów z tej listy, zgodnie z uchwałą Rady Państwa, jest do obsadzenia. Teraz tylko chodzi o zyskanie powszechnej akceptacji dla kandydatur, w tym bowiem przypadku wybory będą czymś w rodzaju plebiscytu popularności.

Pierwszy próg selekcji ustanowiony przez ordynację ma charakter formalny — zgodnie z art. 60 na liście można umieścić tylko te osoby, które były przedstawione wyborcom, czyli brały udział w obywatelskich zebraniach konsultacyjnych, były prezentowane w środkach masowego przekazu oraz w innych dostępnych formach informacji i propagandy. Jeżeli zatem ktoś proponowany jako kandydat na posła nie bywał na zebraniach ani nie przedstawił się wyborcom w inny sposób — to odpada z mocy prawa. To jest jasne — wejście na listę „z boku", ominięcie prezentacji jest niemożliwe, gdyby zaś miało miejsce, to jest to powód do skutecznego protestu przeciwko wyborowi posła, ponieważ naruszone zostało prawo.

Drugi próg selekcji zawiera się w przepisie ordynacji, stanowiącym, że konwenty wyborcze ustalają listy wyborcze po rozpatrzeniu opinii i uwag wyborców o proponowanych kandydatach. „Po rozpatrzeniu", a więc nie po uwzględnieniu, gdyby przepis ten interpretować literalnie. Konwent zatem ma obowiązek opinie i uwagi rozpatrzeć, ale nie musi ich uwzględniać...

Z natury rzeczy uwagi i opinie o kandydatach są dwojakiego rodzaju: albo aprobata, albo sprzeciw. Przypatrzmy się najpierw praktycznym implikacjom funkcjonowania tej drugiej grupy, ze społecznego punktu widzenia istotniejszej. Otóż nie ma żadnych formalnych ograniczeń; nie można na przykład przeprowadzić podczas zebrania głosowania nad sprzeciwem wobec konkretnej kandydatury, zgłoszonym przez jednego wyborcę, większość nie może decydować o umieszczeniu bądź pominięciu takiego protestu w protokole zebrania. Z drugiej zaś strony nie ma żadnych formalnych gwarancji, że taki sprzeciw musi być skutecznie uwzględniony (to znaczy, że kandydat musi odpaść), nawet gdy jest zasadnie umotywowany.

W efekcie możemy zatem mieć do czynienia z kilkoma wariantami uwagi i opinii o każdym z kandydatów. Dwa skrajne — albo same aprobaty, albo same sprzeciwy; pośrednie — o różnych proporcjach między aprobatami i sprzeciwami, z przewagą jednych lub drugich; wreszcie stan równowagi co do ilości oraz merytorycznej treści opinii o kandydacie. Warto jednak uświadomić sobie, że wszystko to może nie mieć żadnego wpływu na dalszy los kandydata — co więcej: może okazać się, że na liście nie znajdzie się ktoś powszechnie i bez zastrzeżeń aprobowany, a może być umieszczony ktoś, kto zebrał same protesty... Prawo wyborcze dopuszcza taką możliwość.

Ale to tylko możliwość. Istotą funkcjonowania konwentów jako organów par excellence politycznych, jest wsłuchiwanie się w głos opinii publicznej i wyciąganie stosownych do niej wniosków. Konwenty nie dysponują obiektywnym aparatem śledczym, który weryfikowałby osobowości kandydatów pod względem wymagań ordynacji. Przeprowadzanie takich „śledztw" jest prawem i powinnością obywateli — wyborców, w ich własnym zresztą interesie. Chodzi wszak o wyłonienie najlepszych reprezentantów do sprawowania władzy. Ale „najlepsi" nie znaczy wcale — obiektywnie najlepsi, gdyż nie ma tu żadnego wzorca posła idealnego. Mają to być tacy, którzy będą odpowiadać obywatelom, którzy będą spełniać ich wyobrażenia o treści sprawowania mandatu. To ich — wyborców — wola tutaj decyduje. Od uwzględnienia woli wyborców konwenty uchylać się nie mogą.

Trzecim progiem selekcji są praktyczne konsekwencje wynikające z warunków układu koalicyjnego sprawowania władzy i porozumienia między sygnatariuszami deklaracji w sprawie PRON oraz wszystkimi, którzy do niej przystąpili. Taką konsekwencją jest podział mandatów między siły polityczne uczestniczące w rządzeniu państwem. Konwenty z natury rzeczy — jako emanacja tych sił — uwzględnią zobowiązania wynikające z koalicyjnego układu sprawowania władzy. Taka jest logika polityki i niebezpiecznym złudzeniem byłoby mniemać, że gdziekolwiek mogłyby ulec zakłóceniu podstawy naszego ustroju.

Czwartym wreszcie progiem selekcji kandydatów na posłów są arbitralne mechanizmy gry sił i swobody ocen w łonie każdego konwentu. Po uwzględnieniu bowiem wszystkich ograniczeń zewnętrznych konwent ma jeszcze pewien margines własnej woli. Konwent jest czymś w rodzaju kolegium arbitrów społecznych, czymś podobnym do „sądu konkursowego" w delikatnej materii polityki.

Nie wiem tego na pewno, bo nie rozmawiałem z żadnym członkiem konwentu, ale sądzę, że praca w nim odbywa się pod ogromnym ciśnieniem uświadomionej odpowiedzialności, być może nawet paraliżującej częściowo ową konieczną swobodę ocen. Skutkiem tego może być sprowokowanie ochoty do decyzji znormalizowanych, konwencjonalnych, czyniących zadość naciskom społecznym na „reprezentatywność", na swoistą „społeczliwość" przyszłego Sejmu wobec postaw wyborców, skłonnych ocenić posłów bardziej według „siły przebicia", możliwości załatwiania i skuteczności interweniowania, niż wedle ich politycznej sprawności rządzenia.

Im bardziej konwenty same w sobie potrafią się, podczas ustalania list kandydatów do zarejestrowania, wyzwolić z pęt konwencji i obaw przed ryzykiem, tym bardziej Sejm będzie organem władzy, a mniej „izbą skarg i zażaleń".

Istota pracy konwentów skupi się w dwóch fazach. Pierwsza to „odsianie" grupy kandydatów na posłów, druga — to ustawienie ich w pary w obrębie każdego mandatu. Z mocy ustawy umieszczony na pierwszym miejscu będzie wybrany, jeżeli większość wyborców nie będzie skreślać nazwisk na liście. Można przewidywać, że istotnie tak zachowa się większość, nie mamy bowiem nawyków innego głosowania. Przestrzegałbym jednak przed poddaniem się temu przewidywaniu. Z wielu bowiem względów nie można pozwolić sobie na to, by drugich na listach potraktować jako figurantów. To muszą być kandydaci pod każdym względem równorzędni, niemal identyczni; wprawdzie popieramy pierwszego na liście, ale i drugi może być — w razie odmiennego zdania wyborców o pierwszym — równie godnym ich reprezentantem w Sejmie.

Mądre zastosowanie arytmetycznych rygorów w kształtowaniu list wyborczych jest probierzem uczciwości konwentów wobec wyborców.

TOMASZ SAS

Wywiad i kontrwywiad RFN

ze str. 1

rzenia niemieckiej organizacji wywiadowczej w służbie USA skierowanej przeciwko ZSRR i krajom demokracji ludowej. Ostatecznie — w czerwcu 1947 r. doszło do zawarcia tajnej umowy między kierownictwem wywiadu amerykańskiego a gen. Gehlenem reprezentującym wywiad niemiecki odtąd zwany „Organizacją Gehlena". Rząd USA zatwierdził tę umowę. Na jej mocy Gehlen i jego ludzie mieli zdobywać tajne informacje w państwach socjalistycznych dla rządu amerykańskiego. Głównymi źródłami informacji byli „zamrożeni" agenci na Wschodzie, jak też powracający jeńcy wojenni oraz przesiedleńcy.

Pierwsze źródło informacji okazało się krótkotrwałe. Część pozostawionych agentów w ZSRR, Polsce i w innych krajach socjalistycznych nie miała odwagi nawiązać współpracy z Organizacją Gehlena. Część ujawniła się zdając się na wspaniałomyślność władzy ludowej. Znaczna jednak część agentów została rozpracowana i zlikwidowana przez służby bezpieczeństwa w tych krajach.

W latach pięćdziesiątych Organizacja Gehlena nie tylko zdobywała informacje, ale również rozwijała działalność wywrotową, dywersyjną i sabotażową zwaną często „brudnymi operacjami". Chodziło o to, aby posługując się różnymi sposobami i środkami, rozniecać nastroje niezadowolenia, prowokować wystąpienia uliczne i obalać legalne władze, z których niezadowoleni byli amerykańscy mocodawcy, a następnie rząd RFN który 11 lipca 1947 r. przejął Organizację Gehlena i nadał jej nazwę Federalna Służba Wywiadowcza (Bundesnachrichtendienst — BND).

„BRUDNE OPERACJE" BND

Poligonem doświadczalnym dla „brudnych operacji" BND była NRD. Już od momentu powstania tego państwa Gehlen przerzucał tam swoich najlepszych szpiegów i terrorystów, którzy uprawiali sabotaż, aby utrudnić zaopatrzenie ludności w żywność i wzbudzić wśród niej niezadowolenie. Nierzadko likwidowano komunistów, stosując przy tym środki wybuchowe i truciznę.

Jednocześnie Gehlen tworzył w NRD z różnych elementów kontrrewolucyjnych grupy zbrojnego podziemia. Zaopatrywano je w środki łączności, w broń i materiały wybuchowe. Organizacja Gehlena prowadziła także dywersję ideologiczną — kolportując masowo na terenie NRD ulotki.

Wywiad zachodnioniemiecki częściowo osiągnął swe cele. W dniach 16—18 czerwca 1953 r. jego agentom udało się sprowokować wystąpienia elementów reakcyjnych wrogich socjalizmowi, przeciwko władzy ludowej w NRD. Również w lipcu 1953 r. doszło do poważnych zajść ulicznych w Berlinie. Dzięki poparciu większości klasy robotniczej i zdecydowanej pomocy wojsk radzieckich władze NRD udaremniły próbę przewrotu w tym państwie.

Również Gehlen podrywał do nowych działań sabotażowych zakonspirowane niedobitki SS i Hitlerjugend na Śląsku, w Olsztyńskiem, na Pomorzu Zachodnim i w Gdańsku, aby wszelkimi możliwymi formami zakłócać stabilizację na ziemiach zachodnich i północnych. Jak drobiazgowo wyliczył Roman Kilarski (Organizacja wywiadowcza Reinharda Gehlena, Warszawa 1978) w Polsce w latach 1945—1958 zlikwidowano aż 75 grup dywersyjno-sabotażowych, którymi kierował zachodnioniemiecki wywiad.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych koła rządzące RFN nadal zmierzały do utrzymania kursu „zimnej wojny". Szło im o to, aby wywoływaniem niepokojów społecznych w drugim państwie niemieckim utrzymać stan napięcia między Wschodem a Zachodem. Koła te bowiem wciąż liczyły, że w warunkach zaostrzenia sytuacji międzynarodowej będą nadal istnieć szanse na wchłonięcie NRD. Grunt pod takie iluzje dodatkowo stwarzały zmiany w ZSRR i w państwach socjalistycznych związane z usuwaniem skutków tzw. kultu jednostki.

W działalności dywersyjno-ideologicznej BND wykorzystywała postępowe przemiany w państwach socjalistycznych, które przedstawiano społeczeństwu NRD w taki sposób, ażeby osłabić jego zaufanie do władzy ludowej. W działalności organizacyjnej postawiono na tworzenie nielegalnych grup bojowych. „Wsławiła się" zwłaszcza kierowana przez agentów Federalnej Służby Wywiadowczej organizacja pod nazwą „Grupa walki przeciw nieludzkości" m.in. truciem bydła, wysadzaniem mostu kolejowego w rejonie Erkner pod Berlinem, zniszczeniem elektrowni w Eberwalde i radiostacji Wusterhausen. W 1957 r. — BND utworzyła w Dreźnie kolejną organizację pod nazwą „Narodowo-Komunistyczny Związek Studentów". W 1958 przekształcono go w grupę bojową, zaopatrzono w broń i amunicję materiały wybuchowe i sprzęt radiowy. Akcje BND stanowiły tylko część ogólnych przygotowań RFN do zdławienia NRD. Klasa robotnicza NRD wykazała jednak swoją dojrzałość polityczną i nie dała się sprowokować inspiratorom i agentom BND. Do energicznej kontrakcji przystąpił też kontrwywiad NRD. Na tajnym froncie BND poniosła największe straty w swojej historii. W samym tylko 1955 r. aresztowano aż 521 agentów BND, dalszych 80 ujawniło się samych. W latach 1956—1957 siatki BND w NRD zostały niemal całkowicie zlikwidowane. W lutym 1959 r. kontrwywiad NRD rozbił konspiracyjny „Narodowo-Komunistyczny Związek Studentów". W tej sytuacji resztki agentów BND w NRD zostało „zamrożonych": otrzymali rozkaz zerwania wszelkich kontaktów z Centralą; przerwania działalności; zdobywania zaufania w miejscach pracy i zamieszkania.

Także w toku wydarzeń węgierskich (1956) BND odegrała niechlubną rolę: przesyłała przeciwnikom socjalizmu na Węgrzech broń i przerzucała na teren Węgier grupy uderzeniowe złożone z emigrantów węgierskich zamieszkałych w RFN. Jednak i w tym państwie siły kontrrewolucyjne nie osiągnęły zamierzonych celów.

Na początku lat sześćdziesiątych sytuacja na polu międzynarodowym gwałtownie się pogorszyła; zakończyła się fiaskiem konferencja czterech mocarstw w Paryżu (16 maja 1960 r.) na skutek naruszenia terytorium ZSRR przez amerykański samolot szpiegowski U-2. 17 lipca 1961 r. mocarstwa zachodnie odrzuciły radziecki memoriał w sprawie zawarcia traktatu pokojowego z obu państwami niemieckimi i uregulowania statusu Berlina Zachodniego. W tej atmosferze odżyły znów w RFN nadzieje na wchłonięcie NRD.

Wiodącą rolę w przygotowaniach do kolejnej próby zdławienia NRD — jak poprzednio — powierzono BND. Zbliżał się „wielki dzień" dla Reinharda Gehlena i jego ludzi. Wydano polecenie „śpiącej armii" — zamrożonym agentom w NRD podjęcia działalności i rozbudowy siatek agenturalnych. W połowie 1961 r. BND była już gotowa do akcji na wielką skalę. W pierwszej dekadzie sierpnia 1961 r. Federalna Służba Wywiadowcza rozpoczęła jedną ze swoich najgłośniejszych operacji, akcję terrorystyczną w NRD, a zwłaszcza w demokratycznym Berlinie. Jej agenci rozniecili pożary na Uniwersytecie Humboldta podpalili zakłady mięsne w Berlinie demokratycznym, sprowokowali wystąpienia uliczne elementów kontrrewolucyjnych i dokonali wielu innych prowokacji. Działania te były zsynchronizowane z prowokacyjnymi działaniami sił zbrojnych NATO.

Zabezpieczenie przez NRD 13 sierpnia 1961 r. granicy państwowej (mur berliński) zaskoczyło kompletnie rządy RFN i państw NATO, położyło kres swobodnemu przenikaniu agentów BND do NRD. Zdemaskowało jako nierealne wszelkie próby „wchłonięcia" NRD przez RFN.

W tych warunkach następowało powolne przesuwanie priorytetów w działalności BND. Rząd Ludwiga Erharda (1963—1966) nakazał zredukowanie działań z zakresu „brudnych operacji" w krajach socjalistycznych na rzecz aktywizacji działań wywiadowczych prowadzonych w sposób bardziej zakonspirowany. Intensyfikacji uległy też działania BND w krajach Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej.

TAJNE OPERACJE W AZJI I AFRYCE

BND posiadała już swoje rezydentury w krajach rozwijających się. Utrzymywała ożywione kontakty z wieloma służbami wywiadowczymi. Już w latach pięćdziesiątych nawiązała ścisłą współpracę z izraelską tajną służbą wywiadowczą. Utrzymywała także kontakty z przeciwnikami Izraela, z Egipcjanami. Organizowała i szkoliła służby bezpieczeństwa w Arabii Saudyjskiej, Kongo, Iranie, Tanzanii i w Afganistanie. Udzielała pomocy szkoleniowo-technicznej służbom bezpieczeństwa w Turcji i Pakistanie oraz tajwańskiej służbie bezpieczeństwa, jak również służbom specjalnym w wielu krajach Ameryki Łacińskiej.

Pomoc wywiadowcza torowała drogę zachodnioniemieckiemu kapitałowi do krajów rozwijających się, zwłaszcza do krajów afrykańskich. Warto tu podkreślić, że Afryka stanowi główny teren lokat kapitałowych dla firm brytyjskich i francuskich. Więzy byłych kolonii z dawnymi metropoliami są poważną przeszkodą dla monopoli RFN w Afryce. W usuwaniu przeszkód pomaga BND, za którą następnie wkraczają zachodnioniemieckie monopole.

BND uczestniczyła też w krajach rozwijających się w „brudnych operacjach": wspólnie z CIA, bądź samodzielnie. W 1961 r. BND uczestniczyła, obok CIA, w obaleniu postępowych rządów premiera Patrice Lumumby w Kongo: dostarczyła reakcji kongijskiej samolotów łącznikowych i maszyn drukarskich. „Zasługi" musiały być znaczne, skoro do dziś Zair korzysta z pomocy szkoleniowej i technicznej BND. Ta operacja utorowała też drogę kapitałowi niemieckiemu, w tym przemysłowi zbrojeniowemu, który założył tam poligon doświadczalny. Np. 26 marca 1976 r. firma OTRAG zawarła z rządem Zairu umowę, na mocy której uzyskała prawo do prowadzenia doświadczeń na terytorium tego państwa m.in. z rakietami średniego zasięgu. Firma ta, obecnie już na innym poligonie, pod ochroną agentów BND prowadzi także doświadczenia z laserami i pracuje nad skonstruowaniem m.in. laserowej broni radiacyjnej.

BND W LATACH SIEDEMDZIESIĄTYCH I OSIEMDZIESIĄTYCH

Odprężenie lat siedemdziesiątych wywarło wpływ na działalność BND. Nie osłabiło jednak jej pozycji jako instrumentu polityki zagranicznej RFN. Wprost przeciwnie, służbę tę rząd RFN zreorganizował i rozbudował. Organizacja Gehlena w chwili powstania liczyła zaledwie 50 pracowników kadrowych. Kiedy Gehlen odchodził na emeryturę (30 kwietnia 1968 r.) — 5500 fukcjonariuszy. Jego następca gen. Gerhard Wessel przekazał kolejnemu prezydentowi BND Klausowi Kinkelowi (1 stycznia 1979 r.) organizację liczącą już 6000 pracowników kadrowych. Ten z kolei rozbudował Federalną Służbę Wywiadowczą do 6500 etatowych pracowników i 11—12 tys. agentów wywiadu. 1 stycznia 1983 r. przekazał nowemu szefowi wywiadu RFN Eberhardowi Blumowi BND liczącą co najmniej 18—19 tys. ludzi. W Federalnej Służbie Wywiadowczej następują też szybkie zmiany jakościowe: miejsce tajnych agentów zajmują uczeni; agenturalne metody zdobywania informacji (obserwacja, podsłuchy, fotografowanie obiektów i dokumentów itp.) schodzą na dalszy plan. Podstawowym źródłem informacji staje się selekcja źródeł oficjalnych (prasa, radio, telewizja, wydawnictwa książkowe) raporty attache wojskowych; filmy i meldunki samolotów rozpoznawczych i wczesnego ostrzegania (AWACS), oraz dane satelitarne otrzymywane w ramach współpracy z CIA. Nie znaczy to, że BND zrezygnowała z agenturalnych metod zdobywania informacji. Stosuje je nadal do weryfikacji informacji wywiadowczych zdobytych innymi drogami. Wodą na młyn jest nieuwaga, zbytnia wylewność, gadulstwo i niefrasobliwość turystów z państw socjalistycznych odwiedzających RFN i inne kraje kapitalistyczne.

Sprawnie działa także system wypytywania w obozach dla uciekinierów z krajów socjalistycznych i przesiedleńców. Nie żałuje się pieniędzy dla zdrajców gotowych podjąć współpracę z BND. Najchętniej wciąga się do współpracy pracowników naukowych mających kontakty, wiedzę i rozpoznanie. W samym tylko 1983 r. ujawniono w Polsce kilkadziesiąt takich przypadków podjęcia współpracy z obcym wywiadem („Rzeczpospolita", 6.12.1983).

Dziś BND, jak udokumentowałem to już w swojej książce (Za parawanem służb specjalnych Republiki Federalnej Niemiec, Warszawa 1981), operuje właściwie na całym świecie. Naturalnie, przedmiotem najwyższego zainteresowania są kraje socjalistyczne: NRD, ZSRR, PRL i CSRS. Kraje te BND „uhonorowała" utworzeniem w swojej centrali w Pullach k. Monachium oddzielnymi, dla każdego kraju, podwydziałami (oddziałami). Pozostałymi krajami socjalistycznymi zajmuje się zbiorczo inny podwydział (oddział) pod nazwą „Reszta bloku wschodniego". Szpiegostwem na pozostałych kontynentach zajmują się podwydziały (oddziały): „Bliski Wschód"; „Daleki Wschód"; „Afryka"; „Ameryka Łacińska".

Wzrost napięcia w stosunkach międzynarodowych spowodowany rozmieszczeniem w RFN, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Belgii i Holandii rakiet Pershing II i pocisków samosterujących zmobilizował wywiad zachodnioniemiecki do prac nad stworzeniem „rezerwy", która może być wykorzystana do „brudnych operacji" przeciwko państwom socjalistycznym. Jak ujawnił tygodnik „Stern" (po raz pierwszy 30 listopada 1978 r.) BND „sprawuje pieczę" nad 1700 terrorystami chorwackimi, którzy dokonali wielu zamachów bombowych i mordów obywateli Jugosławii. Najgłośniejszym ich wyczynem było zastrzelenie w listopadzie 1978 r. w Sarajewie Radomira Gazi, działacza Związku Komunistów Jugosławii, po czym wrócili bezpiecznie do Bawarii, a rząd RFN odmówił wydania morderców. Ilu nacjonalistów i potencjalnych terrorystów z innych państw socjalistycznych znajduje się pod „opieką" wywiadu RFN? Trudno dociec. Można tylko przypuszczać, że BND dysponuje dostatecznymi rezerwami na wypadek dalszego pogorszenia się sytuacji międzynarodowej i potrzeby podjęcia „brudnych operacji" przeciwko krajom socjalistycznym.

EDWARD K. NOWAK

„Lusterko nieprawdę ci powie..."

W „Śnieżce" — jednej z najpopularniejszych baśni ze zbioru braci Grimm — piękna królowa, pełna pychy i zawiści, pyta co pewien czas swe czarodziejskie lusterko, kto jest najpiękniejszy w świecie. Prawdomówne zwierciadło informuje lojalnie, że najpiękniejsza ze wszystkich jest wypędzona z pałacu królewna Śnieżka, która znalazła schronienie u krasnoludków.

Nazwa zachodnioniemieckiego tygodnika „Der Spiegel" oznacza właśnie zwierciadło, w którym ma odzwierciedlać się prawda o świecie. Niestety, z tą prawdą bywa w „Spieglu" bardzo różnie, zwłaszcza od czasu, kiedy poparcie większości wyborców RFN uzyskali konserwatywni i nacjonalistyczni chrześcijańscy demokraci, polityczni sprzymierzeńcy amerykańskich republikanów. Otóż „Zwierciadło", które niejednokrotnie odbijało prawdę, a przynajmniej nie dającą się ukryć część prawdy o sytuacji społeczno-ekonomicznej w krajach kapitalistycznych i o tragicznym położeniu znacznej części społeczeństw w krajach „trzeciego świata" (bez wnikania oczywiście w ustrojowe przesłanki negatywnych zjawisk) nie zdobywa się niestety na równie obiektywne przedstawianie obrazu życia w krajach socjalistycznych.

Kiedyś — za kadencji socjaldemokratów można się było spierać ze „Spieglem" o interpretację faktów, dziś — przeważnie — o same fakty, o ich prawdziwość odnosi się nawet wrażenie, że tygodnik, w artykułach o świecie socjalistycznym, czuje się moralnie zwolniony od obowiązku dziennikarskiej rzetelności. Widać to zwłaszcza w odniesieniu do spraw polskich, od czasu, kiedy to — w 1980 r.! — skierowano na nasz kraj intensywny propagandowy obstrzał, w dążeniu do „wyłuskania" naszego państwa z obozu socjalistycznego.

Jednym ze świeżych „szlagierów" zachodnioniemieckiej propagandy antypolskiej jest — jak wiadomo — sprawa tzw. „wypędzanych". Temu właśnie poświęcono uwagę w reportażu (nr 25 z 17 lipca br.) pt. „W Rzeszy o nas zapomniano", mówiący — jak uzupełnia podtytuł o „Niemcach i Polakach na byłych wschodnich terenach Niemiec". Zgrabnie skomponowana, trzeba przyznać (jak to zwykle w „Spieglu") publikacja jest wyrazem sprawnego dziennikarstwa, wyczulonego na gusty i skłonności czytelniczej klienteli, a jednocześnie świadomego swoich zadań kształtowania opinii publicznej w określonym kierunku politycznym, z zachowaniem pozorów obiektywizmu, bez jakiegoś tam sloganowego natrectwa.

Reportaż zaczyna się od scenki, w której turysta z RFN odwiedza na zachodniopomorskiej wsi dawny dom rodzinny, aby, za przyzwoleniem obecnych polskich gospodarzy, móc „zobaczyć drzewo, na którym — jak powiada przybysz — powiesiliście mojego ojca". Jak się zresztą dalej okazuje, trudno byłoby dziś znaleźć tamtą jabłoń, na której „pijany polski zarządca kazał powiesić niemieckiego właściciela na oczach całej rodziny". W pierwszą bowiem powojenną zimę większość drzew owocowych poszła tutaj na opał, a ponadto od „krwawej wiosny 1946" (o której wspomina autor mimochodem, jak o fakcie niemieckiemu czytelnikowi dobrze znanym i bezspornym) wymienione tu gospodarstwo na wiejskiej drodze z Doblegniewa do Wałcza „miało polskich zarządców aż siedemnastu". Mamy więc podane realia topograficzne — niekompletne więc bezużyteczne, ale stwarzające pozór autentyku, a zarazem przemyconą sugestię, że prawa własności poniemieckiej w Polsce są na tych obszarach do dziś nieuregulowane. Zręczne!

Na zakończenie odwiedzin u — jak się okazuje — miłych i gościnnych polskich gospodarzy nastąpiła wymiana podarków — minikomputera kieszonkowego za dwa słoiki domowej marmolady (symboliczna konfrontacja dwóch cywilizacji). A do tego niemiecki gość (stale nie wymieniany z nazwiska) otrzymuje na drogę jabłka. „Być może z drzewa, na którym powieszono mojego ojca" — taką refleksją dzieli się ze współtowarzyszami podróży w drodze powrotnej do Niemiec, a niemiecki czytelnik w tym momencie zapewne zapomina, że drzewa owocowe tu przed czterdziestu laty wycięto, i że gdyby ta jabłoń miała właśnie ocaleć, to owocuje już bez mała pół wieku, jeśli nie dłużej. Tak czy inaczej, zastosowane przez autora środki literackie spełniają swoje zadanie.

I tak snuje się swobodnym tokiem opowieść o odwiedzinach obywateli RFN na naszych ziemiach odzyskanych, o ich kontaktach z ludnością tych ziem, zarówno polską, jak i — o to przecież głównie chodzi — rdzennie niemiecką, a przy okazji o warunkach bytowania w dzisiejszej Polsce. Autor, zachowując chwalebną dyskrecję to wobec nazwisk, to znów — na przemian — wobec nazw miejscowości, nasyca swój artykuł faktami, które według życiowego prawdopodobieństwa mogły się zdarzyć (ale przecież nie musiały) i buduje z nich, cegiełka po cegiełce, wizję ogólną: tu wspomni o powieszeniu, ówdzie o zgwałceniu nieletniej Niemki przez Polaków, tam znów o rabunku, co składa się na sugestywny obraz polskiego „odwetu" w myśl tezy, iż na tych terenach obie narodowości nie pozostawały sobie dłużne, a stąd krok do wniosku, że „wypędzenie" było krzywdą i że jedynym zadośćuczynieniem byłaby wzajemna swoboda przemieszczania się mieszkańców obu krajów i respektowanie narodowych praw obu mniejszości przez oba państwa (podobne sugestie czyni się jakby nie istniało w ogóle NRD, lecz zjednoczone Niemcy).

Liczbę pozostałych w Polsce Niemców szacuje się w „Spieglu" jak w ogóle w RFN, na przeszło milion. Znamienne jednak, że tygodnik, który niejednokrotnie oburzał się na fakt, iż Polacy wymogli na aliantach prawo do wysiedlania całej ludności niemieckiej, i że zrealizowali to z całą bezwzględnością w latach bezpośrednio powojennych, nie potrafi wytłumaczyć, skąd w takim razie wzięli się owi domniemani Niemcy. Wszystko przemawia za tym, że zachodnioniemiecka propaganda zalicza do Niemców autochtonów, którzy chcieli pozostać w Polsce i — uznani przez nasze władze za Polaków — pozostali w Polsce. A w takim razie trudno uznać podnoszony w tymże artykule „Spiegla" zarzut „przymusowej polonizacji" przez egzekwowanie obowiązku szkolnego i prowadzenie przez nas na tych terenach szkół wyłącznie z językiem wykładowym polskim.

Na jak kruchych podstawach tworzy się w „Spieglu" mit o potężnej mniejszości niemieckiej w Polsce, świadczy dość zawiłe w swojej wymowie powoływanie się na 116 artykuł konstytucji, według którego ludzie zaliczający się do Niemców „nie muszą mówić po niemiecku i pochodzić od niemieckich rodziców, wystarczy bowiem sama deklaracja lub aryjska babka, albo też wpis w czasach okupacji na listę Volksdeutschów". W artykule zarzuca się przy tym władzom polskim stosowanie wobec ludności autochtonicznej ziem odzyskanych przymusu przechodzenia z ewangelicyzmu na katolicyzm, a jednym z przejawów szykan jest malowanie na domostwach ewangelików znaków hitlerowskiej swastyki. Te „rewelacje" tygodnika należy chyba pozostawić bez komentarza.

Zasługuje jednak na uwagę — jako niewątpliwa ciekawostka — niezawodna metoda, ujawniona przez „Spiegla" rozróżniania na odległość Niemców od Polaków... Tam mianowicie, gdzie na poniemieckich terenach widzi się na biało pomalowane ogrodzenie, obejście utrzymane w ładzie i porządku, a w oknach wzorowo „szpanowane" firanki, tam oczywiście mieszkają Niemcy.

W artykule nie brak, starannie kamuflowanych, wewnętrznych sprzeczności, można z niego też wyczytać, że trudne obecnie warunki materialne są w niejednym przypadku podłożem niemieckiego „poczucia narodowego". Idzie się tu na ten argument (podważający poprzednią argumentację) być może w celu odmalowania polskiej sytuacji w przeczernionych barwach. Można się m.in. dowiedzieć, że przeciętna emerytura w Polsce wynosi obecnie 6 tys. zł za co można kupić „teoretycznie" (a więc nie w praktyce) parę zimowych butów lub m.in. 15 bochenków chleba (z wyliczenia wynika, że za bochenek płaci się u nas 400 zł). A zresztą „żywności jest skąpo"...

Ciekawe, skąd autor tego nibyreportażu, Erich Wiedemann zaczerpnął tyle bałamutnych informacji. Czy świadomie przeinaczył fakty, czy istotnie takie relacje zebrał od Niemców podróżujących po Polsce, czy zawierzył uciekinierom z Polski, zdolnym do wszystkiego dla spodziewanych korzyści?

Nie ulega wątpliwości, że w sprawach dotyczących krajów socjalistycznych, w tym także Polski, tygodnik „Der Spiegel" uchodzący w niektórych kręgach na Zachodzie za pismo obiektywne, okazuje się po prostu krzywym zwierciadłem.

JERZY KWIECIŃSKI

PAWEŁ DZIECIŃSKI

(1)

Hitlerowski wrzesień w Łodzi

Minęło już 46 lat od pamiętnego września 1939 roku. Na szczęście dla mieszkańców naszego miasta Łódź nie stała się jak wiele innych polskich miast miejscem zaciętych walk, przez co nie trafiła na karty podręczników szkolnych, ale za to uniknęła większych zniszczeń. Jednakże nie należy sądzić, że wróg obszedł się z Łodzią łaskawie. Tutaj, tak samo jak w każdym innym miejscu podbijanej Polski, dokonywano grabieży, gwałtów i zbrodni. Nie było tu co prawda „krwawej niedzieli" jak w Bydgoszczy, ale działała tu także V kolumna i dokonywały się prześladowania Polaków. Nie było tu tak strasznych jak w innych miastach spustoszeń spowodowanych atakami wojsk hitlerowskich, ale grabież i terror przybrały tu olbrzymie rozmiary. Sądzę jednak, że warto byłoby przypomnieć szerokiemu gronu czytelników zdarzenia, które zachodziły w naszym mieście przed 46 laty. Na ten temat powstało szereg prac naukowych łódzkich historyków, spośród których na szczególne wyróżnienie zasługują opracowania Mirosława Cygańskiego stanowiące prawdziwą kopalnię wiedzy o hitlerowskiej okupacji w naszym mieście.

MNIEJSZOŚĆ NIEMIECKA

Spośród wielkich miast przedwojennej Polski Łódź posiadała najbardziej skomplikowaną strukturę narodowościową. Przed wybuchem wojny na 684 tys. mieszkańców żyło w Łodzi (w granicach przedwojennych) 233 tys. Żydów i około 60 tys. Niemców. Fakt ten utrudniał niewątpliwie konsolidację społeczności łódzkiej w obliczu zagrożenia wojennego. Władze państwowe oraz polska i żydowska ludność miasta miały dość poważne obawy co do lojalności mniejszości niemieckiej w przypadku ewentualnego konfliktu z hitlerowską Rzeszą.

Społeczność łódzkich Niemców już przed wojną uległa bowiem hitleryzacji. Środowisko to mało aktywne i nie afiszujące się w większości niemieckością zaraz po pierwszej wojnie światowej, z biegiem lat stawało się coraz bardziej zwarte i butne. Proces ten nabrał przyspieszenia od momentu dojścia Hitlera do władzy. Główną rolę w gruntowaniu wpływów hitlerowskich wśród łódzkich Niemców odegrały działające w okresie międzywojennym dwie prohitlerowskie partie: Niemiecki Związek Ludowy (Deutscher Volksverband — DVV) i Partia Młodych Niemców (Jungdeutsche Partei — JDP).

Niemiecki Związek Ludowy powstał w 1924 roku jako organizacja o silnym nastawieniu nacjonalistycznym, walcząca z procesami naturalnej polonizacji środowiska niemieckiego i starająca się budzić wśród mieszkających w Polsce Niemców nastroje nacjonalistyczne oraz antagonizować to środowisko wobec Polaków i państwa polskiego. Działania te czynione były oczywiście pod pozorem kultywowania tradycji, zwyczajów i kultury niemieckiej. Na czele łódzkiego oddziału tej organizacji stał zaciekły wróg polskości Ludwig Wolff. Podobne nastawienie posiadała także Partia Młodych Niemców, z tym że była ona jeszcze bardziej przesiąknięta duchem hitleryzmu. Jej łódzkim oddziałem kierował także zaciekły hitlerowiec Herbert Mees. Obie te organizacje całkowicie podporządkowane rządowi hitlerowskiemu stały się niezawodnym instrumentem politycznym w rękach kierownictwa III Rzeszy. Na ich bazie miała oprzeć się hitlerowska V kolumna. Partie te posłusznie spełniały każde życzenie mocodawców z Berlina. Jednakże pomiędzy kierownictwami obu organizacji trwała zaciekła walka o względy władz hitlerowskich. Każda z nich miała ambicje przejęcia kierownictwa nad łódzkimi Niemcami. Niemiecki Związek Ludowy miał ponad 4 razy więcej członków niż Partia Młodych Niemców, która jednakże była bardziej bojowa i aktywniejsza w szerzeniu hitlerowskiej ideologii. W Łodzi działała również na usługach Berlina nieliczna, ale aktywna filia NSDAP, tzw. Auslandorganisation der NSDAP.

Dominującym w środowisku łódzkich Niemców wpływom nazistów próbowały się przeciwstawić znacznie od hitlerowców słabsze niemieckie partie o nastawieniu opozycyjnym wobec hitleryzmu. Były to Niemiecka Socjalistyczna Partia Pracy Polski (Deutsche Sozialistische Arbeitspartei Polens — DSAP) oraz Związek Niemców w Polsce (Vereinigung der Deutschen in Polen — VdDiP), który wydawał tygodnik „Der Deutsche Wegweiser".

Duże wpływy w środowisku łódzkich Niemców posiadały organizacje religijne. Wielu niemieckich duchownych hołdowało ideom nacjonalizmu, a tylko nieliczni pastorzy z biskupem Burschem na czele zachowywali lojalność wobec państwa polskiego.

W końcu lat trzydziestych bujnie rozwijało się w Łodzi dzięki tolerancji władz polskich niemieckie piśmiennictwo. W latach 1937—1939 wychodziło w Łodzi około 20 pism niemieckich, z których największy zasięg oddziaływania miał dziennik „Freie Presse". Swobodnie mogły się również rozwijać różne niemieckie stowarzyszenia.

OSTATNIE DNI POKOJU

Do końca 1938 roku hitlerowskie organizacje w Łodzi zajmowały się jedynie działalnością polityczną. Na przełomie 1938 i 1939 roku hitlerowcy rozpoczynają przygotowania do stworzenia w Łodzi zbrojnej organizacji dywersyjnej. Nasilono przede wszystkim działalność szpiegowską, która oczywiście miała miejsce również w latach poprzednich, lecz teraz, z uwagi na zbliżającą się wojnę, przybrała charakter masowy. W zdobywaniu informacji hitlerowski wywiad miał ułatwione zadanie przez to, iż ogromną rolę w życiu gospodarczym miasta posiadały firmy niemieckie. Banki i niemieckie towarzystwa asekuracyjne powiązane z polskimi firmami z łatwością zdobywały plany zakładów i różnego rodzaju tajne informacje. Szczególną rolę odegrały tu Deutscher Bank i Dresdner Bank. Wielu Niemców o przekonaniach hitlerowskich było w Łodzi właścicielami przedsiębiorstw przemysłowych lub handlowych, co dawało im szerokie możliwości uzyskiwania tajnych informacji o znaczeniu gospodarczym i wojskowym. Niemcy zajmowali ponadto szereg eksponowanych stanowisk w przemyśle, handlu a nawet administracji państwowej, wykorzystując często swoje uprawnienia w działalności szpiegowskiej na rzecz III Rzeszy. Wielu łódzkich hitlerowców poruszało się stale po terenach, na których znajdowały się jednostki wojskowe lub urządzenia o znaczeniu obronnym. Szczególnym zainteresowaniem z ich strony cieszyły się rejony, w których armia Łódź przeprowadzała prace fortyfikacyjne (doliny Warty i Widawki). Gwałtownie wzrastała liczba schwytanych przez władze polskie niemieckich szpiegów. Jednakże władze polskie nie przeciwdziałały dość skutecznie temu zjawisku z uwagi na słabość łódzkiej placówki kontrwywiadu i nieudolność sił policyjnych, które nie mogły sobie poradzić z dobrze zorganizowanymi i świetnie zakonspirowanymi agenturami hitlerowskimi.

Innym, niezwykle ważnym aspektem działania hitlerowskiej V kolumny była dywersyjna propaganda. Skierowana była ona w dwóch kierunkach. Z jednej strony jej zadaniem było ostateczne zjednoczenie mniejszości niemieckiej wokół hitlerowców i zantagonizowanie jej w stosunku do Polaków i państwa polskiego oraz przygotowanie gruntu pod działania dywersyjne w czasie zbliżającej się wojny. Głoszono więc chwałę III Rzeszy i jej wodza. Przedstawiano Wehrmacht jako armię potężną i niezwyciężoną, zdolną błyskawicznie pokonać Wojsko Polskie. Przewidywano świetlaną przyszłość dla Niemiec i wszystkich Niemców pod rządami nazistów. Domagano się specjalnych praw dla mniejszości niemieckiej w Polsce, przedstawiając w fałszywym świetle jej sytuację. Rozpowszechniano również kłamstwa o rzekomych prześladowaniach Niemców przez Polaków. Z drugiej strony hitlerowcy starali się szerzyć nastroje defetystyczne wśród Polaków. Rozpowszechniano więc szereg przeróżnych fałszywych wiadomości i plotek. Chwalono się potęgą Niemiec i siłą Wehrmachtu wykazując bezcelowość jakiegokolwiek oporu z polskiej strony. Straszono groźbą wybuchu wojny podając coraz to nowe terminy inwazji. Tym stałym groźbom towarzyszyły rzeczywiste przygotowania Niemiec do wojny jak zarządzenia mobilizacyjne, ruch wojsk itp. Ta wojna nerwów miała doprowadzić do wyczerpania psychicznego społeczeństwa polskiego i władz państwowych, a tym samym osłabić możliwości obronne Polski. Starano się także podważać zaufanie społeczeństwa do rządu kwestionując możliwości obronne i siłę państwa polskiego. Rozpuszczano wiadomości o katastrofalnej sytuacji gospodarczej i finansowej Polski. Towarzyszyły temu próby masowego wywozu z Polski do Niemiec srebrnych monet. Rozsiewano wątpliwości co do realnej wartości zachodnich sojuszników Polski posługując się chętnie przykładem Monachium.

Jednym z rezultatów hitlerowskiej propagandy, a zarazem jej poważnym atutem były ucieczki Niemców z Polski do Rzeszy. Zaczęły się one od marca 1939 roku i trwały aż do wybuchu wojny. Hitlerowska propaganda wykorzystywała te ucieczki jako dowód na rzekome prześladowania mniejszości niemieckiej w Polsce. Służyło to zjawisko Goebelsowi do podsycania w Niemczech nienawiści do Polaków i dawało możność uzasadniania w oczach zagranicy agresywnych kroków wobec Polski. Oprócz aspektu propagandowego akcja ucieczek do Niemiec przynosiła hitlerowcom również inne korzyści. Uciekinierzy udzielali wywiadowi najświeższych informacji, a także dostarczali Wehrmachtowi przewodników niezbędnych w czasie planowanej kampanii. Wielu uciekinierów było szkolonych do wykonywania w okresie wojny zadań dywersyjnych na tyłach wojsk polskich. Wielu łódzkich hitlerowców uniknęło w ten sposób powołania do służby w Wojsku Polskim, aby wstąpić do Wehrmachtu i później z bronią w ręku wystąpić przeciw krajowi, który ich żywił. Obok szerzenia defetystycznej propagandy organizacje hitlerowskie usiłowały sprowokować społeczeństwo polskie do czynnych wystąpień antyniemieckich. Łódzcy hitlerowcy demonstracyjnie odmawiali płacenia składek na Fundusz Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej, w miejscach publicznych używali głośno języka niemieckiego, w rozmowach z Polakami obrażali godność narodu i państwa polskiego. Taka prowokacyjna postawa wielu łódzkich Niemców była powodem szeregu zajść i wystąpień antyniemieckich, które jednak nigdy nie przybrały poważniejszych rozmiarów, przez co nie spełniły nadziei organizatorów prowokacji. Hitlerowskie prowokacje spotkały się nie tylko ze zdecydowaną postawą społeczeństwa polskiego, ale także z reakcją władz. Prowokatorzy byli pociągani do odpowiedzialności karnej, co w pewnym stopniu ostudziło ich zapał.

Niezwykle istotną rolę w działalności V kolumny przed wybuchem wojny odgrywały przygotowania do przeprowadzenia akcji wojskowej. Wiosną i latem 1939 roku rozpoczął się przemyt broni i materiałów wybuchowych z Niemiec, które następnie były umieszczane w zakonspirowanych skrytkach. Opracowany został dokładny plan zorganizowania dywersji w Łodzi i okolicy. Wystąpienia terrorystyczne miały być zgrane w czasie z uderzeniem Wehrmachtu na Polskę. W sierpniu 1939 roku w wyniku prowadzonego od lipca śledztwa zdemaskowano dywersyjną organizację hitlerowską w powiecie łódzkim. Aresztowano 20 osób w Nowocolnej i Lipinach i wykryto składy broni w tych miejscowościach oraz w Łodzi. Dekonspiracja potężnej organizacji dywersyjnej nastąpiła w ostatnich dniach sierpnia. W związku z planowanym na dzień 26 sierpnia 1939 roku uderzeniem na Polskę Berlin postanowił dać V kolumnie hasło do działania. Był nim telegram z Niemiec skierowany 25 sierpnia do jednego z Niemców mieszkających w Małej Soli o treści „Matka umarła. Kup wieńce". Zwrócił on uwagę kontrwywiadu i umożliwił unieszkodliwienie znacznej liczby dywersantów, zanim przystąpili do akcji. Hitler bowiem na wieść o układzie polsko-brytyjskim przesunął termin napaści na 1 września, co dało czas władzom bezpieczeństwa na udaremnienie znacznej części zamierzeń V kolumny. Hitlerowcy planowali bowiem m. in. niszczenie torów i mostów oraz zawładnięcie łódzką pocztą i centralą telefoniczną. Policja wykryła szereg składów broni i amunicji oraz dokonała aresztowań wielu łódzkich hitlerowców. Mimo, iż akcji policyjnej nie dokończono przed wybuchem wojny, to jednak hitlerowska V kolumna w Łodzi poniosła tak duże straty, że nie była w stanie zdezorganizować życia w mieście przed nadejściem wojsk niemieckich.

PIERWSZE DNI WOJNY

Wybuch wojny zastał miasto nie przygotowane do obrony. Kopanie rowów przeciwlotniczych zaczęto dopiero 26 sierpnia i kontynuowano je już w czasie wojny. Brakowało schronów przeciwlotniczych. Akcję kopania rowów przeciwlotniczych i adaptację piwnic niektórych domów na schrony usiłowali storpedować łódzcy hitlerowcy rozsiewając plotki mówiące o bezcelowości tej akcji w wypadku użycia przez Luftwaffe bomb gazowych. Jednak mimo szeregu trudności ludność polska nie poddała się panice, a wręcz przeciwnie — pokazała swoją patriotyczną postawę. Natychmiast po ogłoszeniu wiadomości o wybuchu wojny zaczęły gromadzić się tłumy ochotników domagających się wcielenia ich do wojska. Zaczęto organizować ochotnicze służby pomocnicze udzielające wojsku różnorakiej pomocy. Powstał Komitet Niesienia Pomocy Rodzinom Rezerwistów. Grupy młodych ludzi, którzy nie otrzymali przydziałów mobilizacyjnych udawały się w kierunku Warszawy w nadziei zaciągnięcia się do wojska.

Pierwszy nalot lotniczy na Łódź nastąpił 2 września. W jego wyniku kilkaset osób poniosło śmierć, a wiele zostało rannych. Panowało przepełnienie w szpitalach, które mogły wskutek tego przyjmować tylko ciężko rannych. Lżej rannym udzielano pomocy ambulatoryjnej. Władze podjęły próby przeprowadzenia rozśrodkowania choć części ludności miasta narażonego na zmasowane ataki lotnicze z powodu słabej obrony przeciwlotniczej. Próby te nie powiodły się w większej skali z braku odpowiednich możliwości transportowych. Wielu ludzi usiłowało przedostać się na własną rękę na wschód powodując jeszcze większe zamieszanie na drogach. Równocześnie do Łodzi napływały duże ilości uchodźców z obszarów zachodnich. Rozpowszechniali oni wiadomości o okrucieństwach wojsk niemieckich, przyczyniając się do pojawiania się nastrojów niepewności. Uchodźcy ci otrzymywali pomoc od różnych organizacji społecznych — głównie PCK. Od wybuchu wojny pojawiają się w mieście trudności aprowizacyjne. Wynikały one głównie ze zdezorganizowania transportu przez działania wojenne. W związku z tym pojawiły się tu i ówdzie próby spekulacji żywnością ostro zwalczane przez władze i społeczeństwo miasta.

Trudną sytuację ludności usiłowali wykorzystać agenci V kolumny siejąc defetystyczną propagandę, przekonując o „humanitaryźmie" Wehrmachtu, rozpowszechniając różnego rodzaju fałszywe informacje o sytuacji na froncie itp. Nasiliła się też akcja szpiegowska i hitlerowcy działali ze zdwojoną aktywnością. Podejmowano nawet próby sabotażu. Hitlerowcy dokonywali też licznych zrzutów spadochroniarzy — dywersantów. Władzom udało się ująć jednego spadochroniarza 2 września na cmentarzu żydowskim i całą grupę w okolicy Łodzi w nocy z 3 na 4 września. Do groźniejszych wystąpień nie doszło w wyniku omówionych wyżej sierpniowych aresztowań hitlerowskich dywersantów oraz akcji sił bezpieczeństwa z pierwszych dni września. Od razu w momencie rozpoczęcia się wojny 1 września 1939 roku zawieszono ziejące nienawiścią do wszystkiego co polskie dziennik „Freie Presse" i tygodnik „Volksfreund". Zezwolono natomiast na dalsze wydawanie dzienników „Volkszeitung" i „Neue Lodzer Zeitung", a także tygodnika „Der Deutscher Wegweiser", które to pisma nie przejawiały wrogiego ducha wobec narodu i państwa polskiego. Przykład ten świadczy o tym, że władze polskie nie kierowały się w swoich działaniach nienawiścią do wszystkiego co niemieckie, jak to uporczywie twierdziła propaganda hitlerowska, lecz starały się jedynie wyeliminować czynniki dążące do zniszczenia naszego państwa.

Zgodnie z wcześniejszymi planami w dniach 1—3 września władze polskie podjęły działania mające na celu zabezpieczenie zaplecza przed szerszą akcją dywersyjną ze strony elementów prohitlerowskich. Internowano więc czołowych działaczy ugrupowań o sympatiach prohitlerowskich. Ogólnie z Łodzi i okolic internowano około 600 osób. Internowanych gromadzono w punktach zbornych gwarantując im dostateczne wyżywienie. Osoby te nie podlegały żadnym szykanom ani ze strony policji ani ludności cywilnej. Plan przewidywał przetransportowanie ich koleją do wschodnich rejonów kraju. Jednakże wskutek działalności nieprzyjacielskiego lotnictwa zamiaru tego nie udało się zrealizować. Internowani musieli część podróży odbyć pieszo, podobnie jak w tym samym czasie setki tysięcy polskich uciekinierów, odczuwając na własnej skórze ataki hitlerowskiego lotnictwa. Były to w ich podróży jedyne niedogodności, gdyż władze w miarę możności zadbały o dostateczne wyżywienie internowanych i nie byli oni w żaden sposób prześladowani. Nie dotarli oni zresztą do miejsca przeznaczenia uwolnieni przez eskortę na wschód od Warszawy. Wywiezienie z Łodzi najgroźniejszych hitlerowców osłabiło i tak nadwątlone sierpniowymi aresztowaniami siły V kolumny, ale nie zapobiegło szerzeniu przez to środowisko defetystycznej propagandy, inspirację do której dawały audycje niemieckiego radia. W związku z tym władze podjęły 3 września decyzję o konfiskacie radioodbiorników będących w posiadaniu Niemców.

3 września w Łodzi, podobnie jak w Warszawie odbyły się radosne manifestacje będące wyrazem euforii z powodu wypowiedzenia Niemcom wojny przez Wielką Brytanię i Francję. W związku z tym, nastroje w Łodzi uległy znacznej poprawie. Pojawiło się szereg fantastycznych plotek o rzekomych sukcesach aliantów, wywoływanych zarówno przez prasę, jak i przez żądną radosnych wieści opinię publiczną. Jednakże rzeczywistość okazała się zupełnia inna. 3 września wieczorem lotnictwo niemieckie dokonało nowego nalotu na miasto, powodując straty w substancji mieszkaniowej. Równocześnie zwiększył się napływ do Łodzi uchodźców opowiadających o okrucieństwach wojsk niemieckich. Wkrótce też rozpoczęła się ewakuacja z Łodzi na wschód urzędów państwowych. Rozpoczął się odwrót wojsk polskich. Do 6 września ewakuowano z Łodzi garnizon, ważniejsze urzędy państwowe, policję, straż pożarną itp. Przez miasto przeciągały wycofujące się oddziały polskie. Ewakuujące się władze zabrały ze sobą wszystkie możliwe środki transportu. Rozpoczęła się ucieczka części ludności miasta. W tej sytuacji łódzcy hitlerowcy zaczęli znów podnosić głowę. Zachowywali się prowokacyjnie, bezczelnie okazując radość z sukcesów niemieckich i jednocześnie przygotowując się w konspiracji do czynnego wystąpienia w momencie pojawienia się forpoczt Wehrmachtu.

Przez około 3 dni, jakie upłynęły między opuszczeniem Łodzi przez władze polskie a wkroczeniem wojsk niemieckich miasto pozostawało bez kontroli ze strony zorganizowanego aparatu władzy. W tej sytuacji zaistniała konieczność stworzenia organu samorządowego, który przejąłby funkcje i zadania dotychczas wykonywane przez urzędy państwowe. Organ taki mógłby również spełniać rolę reprezentanta interesów ludności miasta wobec niemieckich wojsk okupacyjnych, których wkroczenia spodziewano się lada dzień. Duże znaczenie przy rodzeniu się tej koncepcji odgrywały doświadczenia z okresu okupacji niemieckiej w czasie I wojny światowej. 6 września grupa działaczy politycznych, gospodarczych i społecznych oraz czołowych przedstawicieli inteligencji postanowiła powołać do życia Komitet Obywatelski. Była to instytucja o charakterze ogólnospołecznym, a więc bezpartyjna, w której zasiadali przedstawiciele większości grup ludności zamieszkującej miasto. W skład Komitetu Obywatelskiego nie weszli przedstawiciele ludności żydowskiej, aby nie komplikować przyszłych pertraktacji Komitetu z dowództwem Wehrmachtu. Weszli natomiast przedstawiciele mniejszości niemieckiej, którzy dotychczas dali się poznać jako lojalni wobec państwa polskiego. Do współpracy z Komitetem przystąpili pozostali jeszcze w mieście pracownicy przedwojennego Zarządu Miejskiego. Ich pomoc umożliwiła szybkie stworzenie aparatu wykonawczego Komitetu. Utrzymaniem porządku w mieście miała się zajmować ochotnicza formacja utworzona jeszcze przed powstaniem Komitetu pod nazwą Milicja Obywatelska. Nie była ona umundurowana, a milicjanci odróżniali się od reszty społeczeństwa poprzez noszenie opasek na ramieniu. Wyposażeni byli tylko w gwizdki i pałki gumowe. Milicja miała utrzymywać porządek, zapobiegać rabunkom i zwalczać paskarstwo. Komitet Obywatelski postawił sobie bardzo ambitne zadania. Pragnął opanować trudności gospodarcze, uruchomić szkolnictwo sparaliżowane wybuchem wojny, stworzyć system opieki nad najbiedniejszymi, a przede wszystkim polepszyć tragiczną sytuację aprowizacyjną miasta.

Dzięki pozostawionym w mieście zapasom gotówki udało się już 7 września wypłacić wszystkie zaległe pobory pracownikom miejskim. Następnego dnia Komitet podjął szereg decyzji umożliwiających polepszenie zaopatrzenia ludności w chleb i uruchomienie szkolnictwa. Mogła się również ukazać pierwsza od momentu opuszczenia miasta przez władze państwowe gazeta tzw. „Jednodniówka". Tymczasem nastroje w Łodzi były pełne niepewności co do dalszego losu miasta i jego mieszkańców. Wiadomo było, że wojska niemieckie zbliżają się i krążyło na ten temat szereg najróżniejszych plotek. Lotnictwo niemieckie nie przejawiało żadnej aktywności, za to 7 września nastąpił krótki ostrzał artyleryjski miasta, który nie przyniósł większych szkód, ale podziałał przygnębiająco na morale ludności. Łódzcy hitlerowcy unikali jakichkolwiek zatargów z Polakami wyczekując na przybycie wojsk niemieckich. Chociaż będąca w stadium organizacji Milicja Obywatelska nie była w stanie całkowicie zapobiec kradzieżom mienia publicznego i prywatnego, w mieście panował spokój i nie dochodziło do żadnych większych zajść.

C.D.N.

ze str. 1

cy w Ludwikowie i Brzustówce mogli wsiąść do autobusów miejskiej komunikacji, o którą wzbogaciło się miasto.

Most dygotał, kiedy przejeżdżał przez niego wyładowany ludźmi autobus, wywołując zduszony jazgot desek. Dla tych, którzy wiedzieli, że wisi on na stalowych linach, nie było tajemnicą, że dwóch chłopców, skacząc po nim, potrafiło wprawić go w dygotanie.

Los mostu, twierdzą ludzie, przypieczętowały ogromne ciężarówki krążące między miastem a kopalnią piasków w Białej Górze, których trasa tędy właśnie przebiegała. Zapewne był to jednak normalnie eksploatowany most, dla którego czas dawno się już zatrzymał, a wymagania jakie mu stawiano były daleko ponad jego możliwości.

Czas okazał się drugim wrogiem mostu.

Nic więc dziwnego, że przyśnił się ludziom most nowy, taki dla którego setki przejeżdżających co dzień samochodów nie byłyby problemem, nie mówiąc już o tym, że w żadnym razie nie mogłyby bawić się im dzieci, wprawiając go w rytmiczne huśtanie.

Zaczęto kreślić plan nowego mostu, a wraz z nim ulicy, bo wymagała ona w tym stanie rzeczy znacznej korekty. Inna droga i inny most miały połączyć miasto, które dawno już przekroczyło brzeg rzeki i wchłonęło byłą wieś Ludwików. Wszystko wskazywało na to, że zbliża się rychły koniec starego mostu.

I wtedy czas, który był jego wrogiem zrobił nieoczekiwany gest w jego stronę, jak gdyby oddawał mu zabrane niegdyś lata. Stało się tak, że nierealny okazał się sen o nowym moście. Wszystko straciło swój pęd. Stary most ze swoją metryką sięgającą czasów wojny przywrócony został do łask. Niezbędna była tylko pewna kosmetyka, by sprostać on mógł zadaniom przerastającym jego aktualne możliwości.

Most

Niebawem czerwono-białe szlabany zagrodziły obydwa jego wyloty. Potok samochodów skierowano okrężną drogą, miejskie i strefowe autobusy, którymi jazda weszłą już ludziom w krew, zmieniły albo skróciły swoje trasy. Nastał czas remontu.

Most był nadal do przejścia, a nawet można było przemknąć się przezeń rowerem lub motocyklem. Patrzono przez palce na odsunięte nieco bariery, gdyż podejrzewano, że czas remontu nie będzie krótki.

Był to stan mniejszej uciążliwości, mający swój początek od listopadowych dni 1984 roku. Ludzie, którzy udawali się do miasta jechali okrężną trasą, albo przechodzili przez most i wsiadali do autobusów, po drugiej stronie. Podobnie postępowali wracając z miasta. Ci zaś, co mieszkają w podtomaszowskich wsiach mieli teraz przejazd kombinowany, a więc jazdę dwoma autobusami dojeżdżającymi do wylotów mostu wraz z jego przejściem pieszo.

W owych późnojesiennych miesiącach pojawili się wykonawcy zabiegu, który miał odmłodzić stary most. Były nim dwie firmy, jedna lokalna, druga zamiejscowa. Pierwsza, nosząca nazwę Przedsiębiorstwo Eksploatacji Dróg i Mostów wyznaczona została do zdjęcia drewnianego podkładu i zastąpienia go nowym, druga, pod nazwą Kieleckiego Przedsiębiorstwa Robót Mostowych, miała zadanie większego kalibru, polegające na zbudowaniu betonowych podpór, na których mógłby się wreszcie oprzeć znękany czasem most.

Firma lokalna, po rozpatrzeniu zakresu swoich obowiązków wzięła się najpierw za wymianę drewnianego podkładu na dwóch wąskich kładkach biegnących wzdłuż mostu, jakie służyły ludziom przy przechodzeniu, gdyż nawet w okresie największego natężenia prac pragnięto utrzymać jego drożność dla pieszych. Przedsiębiorstwo kieleckie przywiozło kafar i zaczęło wbijać żelbetowe pale pod przyszłe podpory. Na razie w strefie przybrzeżnej.

Zima położyła kres tym działaniom. Odjechali wydelegowani do pracy w Tomaszowie robotnicy z firmy kieleckiej, co zamieszkiwali turystyczny camping położny nad rzeką.

Most odpoczywał.

Ludzie przechodzili przez niego jak dawniej, chociaż ten czas dłużył im się, liczyli, że ich mitręga nie potrwa długo.

W kwietniu pojawili się robotnicy z firmy miejscowej i poczęli zrywać nadpróchniałe drewno z mostu. Nadszedł czas uciążliwości większej, albowiem przejście przez most od strony Ludwikowa odbywało się przez schodnię.

Schodnia przy omina metalową klatkę zabezpieczoną drucianą siatką. Wewnątrz są schodki ze stalowych blach, wąskie, na kilku poziomach, wokół osi przebiegającej przez środek schodni, którą należałoby sobie wyobrazić.

Przejście przez most skanalizowane zostało jedną z kładek przyczepioną wzdłuż mostu, aż do schodni, która zbiega w dół, skąd można, już pod mostem, przejść do przystanku.

Schodnia stała się miejscem scen dantejskich. Widziano tam ludzi schodzących po niej na czworakach, co dla większości było poniżeniem nie do zniesienia. Wniesienie roweru, albo dziecięcego wózka stanowiło nie lada wyczyn.

Matki z dziećmi w wózkach nie odważyły się robić tego same, musiały czekać, aż pojawi się jakaś pomocna para rąk. Starsi ludzie byli w znacznie gorszej sytuacji od młodych, musieli trzymać się kurczowo barier, albo wybierać sposób bardziej pewny, czyli iść na rękach i nogach.

Dylemat powstał dla osób grubych. Kładka dla pieszych jest wąska. Źle było, kiedy w rękach takiej osoby znajdował się bagaż i rower. Nie wiadomo było co zrobić: najpierw przenieść torbę, a później przeprowadzić rower, czy też odwrotnie — zostawić na drugim końcu mostu rower i wracać po torbę?

Dla nikogo nie były to proste kwestie.

Niektórzy, skłonni przystosować rzeczywistość do siebie, przedzierali się przez kładkę z rowerem i bagażem. Płacili za to pozdzieraną z rąk skórą, do krwi. I także krwią, która uderzała im do głowy.

Dziewięć tysięcy ludzi mieszka po drugiej stronie rzeki w dawnej wsi Ludwików, co stała się dzielnicą Tomaszowa. Mogliby oni jeździć okrężną trasą, lecz trasę tę obsługuje tylko jeden autobus. Nie należy rozumieć, że jest to jedna linia numer 15. Nie! Jest to jeden egzemplarz autobusu, kręcący się w kółko na swojej trasie. Drugiego i tak wbrew rozmaitym intencjom rozmaitych ludzi, nie udałoby się wprowadzić na tę trasę, gdyż droga na pewnym odcinku jest zbyt wąska.

Ludzie zmuszeni są wybierać wariant z przejściem przez most, albowiem życie nie jest w stanie przystosować się do rozkładu jazdy.

Przystanek po stronie dzielnicy Ludwików, w pobliżu rezerwatu „Niebieskie Źródła" zyskał ponurą sławę. Zdarzały się rozboje i gwałty. Zdarzają się nadal. Trudne prawo obowiązujące dziś w całej Polsce, w tym mieście obowiązuje od dawna. Taka jest specyfika tego miasta, obarczonego przemysłem, ciężką pracą, ale i przestępczością na skalę nie znaną gdzie indziej.

Wieczorem, ci, co oczekują na przystanku, który z konieczności stał się krańcówką linii numer 10 w stronę Białej Góry, Smardzewic i Tresty, mają duszę na ramieniu. Niepewność ta malała wraz z wydłużaniem się dnia, ale teraz zdecydowanie się obniża, bo dni z powrotem stają się krótsze.

Nadzieja była w szybkim zakończeniu remontu mostu. Początkowo wyglądało, że jest to możliwe. Kielecka firma kreśliła wizję końca najpierw w maju, później w lipcu, a teraz do końca roku.

Firma działa w gestii Ministerstwa Komunikacji. W Polsce istnieją dwie firmy, które zajmują się budową i remontami mostów, drugą jest Płockie Przedsiębiorstwo Robót Mostowych. Geografia aktywności obydwu firm zasadza się na tym, że południem kraju zainteresowane jest przedsiębiorstwo z Kielc, a północą, z Płocka.

Ministerstwo komunikacji posiada swoje ważne budowy, a pośród nich jeszcze ważniejsze. Ważną jest na przykład budowa mostu na Warcie w Szczepocicach, którędy przebiega trasa E-16.

Remont starego mostu pamiętającego czasy wojny światowej na rzece Pilicy, na trasie, która prowadzi do Białej Góry, Tresty i Smardzewic jest piątym kołem u wozu dla firmy z Kielc. Ministerstwo Komunikacji jest nią zainteresowane w stopniu minimalnym. Być może nie jest nią zainteresowane w ogóle.

Wiosną ludzie z firmy kieleckiej zabrali kafar i wywieźli go na inną budowę. Nie był już potrzebny. Żelbetowe pale zostały już wbite w nadbrzeże, żeby wbić takie same pale w nurt rzeki potrzebny był także kafar, tylko że o wiele większy, typu KL-235 produkcji szwedzkiej firmy Concum-Landverg. Trzy takie kafary są na wyposażeniu kieleckiej firmy, a czwarty, podobny, skopiowany kropka w kropkę z tamtych, jest produkcji rodzimej. Wszystkie są dla firmy szczególnie cenne i wykorzystywane do maksimum.

Rzecz szła o sprowadzenie kafara typu KL-235 i wbicie dwunastu pali w nurt rzeki.

Inne prace były jakby mniej ważne. Kręciło się wokół nich dwóch-trzech robotników, czasami więcej, a najczęściej nie było przy moście nikogo z kieleckiej ekipy. Tak twierdzą ludzie, którzy codziennie bacznymi oczami lustrowali teren budowy, ludzie, którzy pokonywali kilkakrotnie, a przynajmniej dwa razy dziennie schodnię, niekiedy z rowerami, motorowerami, z dziećmi w wózkach.

Firmie kieleckiej robota wyraźnie nie szła. Zmianie uległo tylko jedno: ekipa przeprowadziła się z campingu do pobliskiego hotelu, który mieścił się na piętrze restauracji o nazwie „Baśniowa". Ośmiu ludzi bardzo sobie chwaliło tę przeprowadzkę.

Firmie lokalnej też nie szło najlepiej. W trakcie prac rozszerzył się ich zakres. Okazało się, że stary most jest w gorszej kondycji, aniżeli przypuszczano. Belki były już spróchniałe, stalowe śruby wychodziły z nich jak z ziemi, trzeba było zmodernizować konstrukcję stalową podkładu, do czego firma nie jest najlepiej przystosowana, albowiem specializuje się ona w kładzeniu nawierzchni ulic oraz mostów. Także zrywanie starego, drewnianego podkładu mocno się ślimaczyło. Potrzebna była większa ilość rąk do pracy.

Znowu, jak przed laty, na moście pojawili się żołnierze. Udało się w szybkim tempie zerwać część nawierzchni. Ludzie chwalili sobie obecność żołnierzy, sycili oczy postępem prac, i nabierali nadziei na zlikwidowanie schodni. Kobiety z wózkami i dziećmi zawsze mogły liczyć na to, że dwóch żołnierzy podskoczy i bez proszenia raz dwa wniesie wózek na górę, albo zniesie na dół.

Kiedy odchodzili żołnierze, ponownie robił się marazm, ludzie zaś, przechylając się przez drewniane bariery mostu, ironicznie uśmiechali się na widok wystających z ziemi żelbetowych kloców.

Most przypominał kogoś, na kimś przeprowadzano reanimacje bez szczególnego przekonania o sensie tego, co się robi. Był rozdarty, okaleczony, bezużyteczny.

Latem stało się jasne, że ten rok może być stracony dla mostu i ludzi mieszkających po jego obydwu stronach. Wówczas rozpoczęły się rokowania z kielecką firmą, a w grę weszły siły mocniejsze, niż lokalne, a tym samym i argumenty o zwiększonej mocy.

Chodziło przecież o to, żeby wydrzeć kieleckiej firmie tak cenny dla niej kafar KL-235 Concum-Landverg.

W którymś dniu lipca pojawiła się wreszcie pokraczna, ciężka maszyna na gąsienicach, czyli ów kafar KL-235, cenniejszy chyba od złota.

W złym momencie pojawił się ten stwór o stalowych mackach potrafiący wbijać olbrzymie żelbetowe pale w dno rzeki, gdyż wtedy właśnie ona pokazała całą swoją przewrotność, tak dobrze znaną ludziom z niedalekiej przeszłości.

Deszcze, których nie brakowało tego roku, a zwłaszcza w połowie lata sprawiły, że Pilica znowu toczyła mętne wzburzone wody, a jej średni stan w okolicach mostu wynosił dwa i pół metra. Nie mogła zatrzymać zwiększonej dawki deszczów tama w położonych w górze rzeki Smardzewicach, gdyż pojawiły się w niej jakieś rysy, niezbędny był więc remont, który wymagał obniżenia lustra wody w zalewie.

Kafar, by móc wjechać w nurt Pilicy i wbijać pale w jej dno wymagał jak najniższego poziomu wody, nie większego, aniżeli 70-80 centymetrów. Jedynie długotrwała susza, albo przytrzymanie rzeki w zalewie dawało tę szansę.

Miesiąc stoi kafar nad brzegiem rzeki. Dobrze go widać z mostu, z którym jest tyle kłopotu. Kafarzysta, człowiek równie cenny jak jego maszyna, wykorzystał cały swój urlop, teraz zaś, siedząc bezczynnie w hotelu nad restauracją „Baśniowa" może tylko obliczać, ile traci na swojej bezczynności. W cztery dni mógłby wbić pale w dno rzeki z precyzją i pewnością, z której jest znany, gdyż od dwudziestu lat nie robi nic innego, a następnie robić to gdzieś indziej, gdzie obecność jego i maszyny jest również pożądana.

Dobiega końca wymiana podkładu na moście i niebawem precz pójdą przeklęte schodnie, które tyle napsuły ludziom krwi. Może nie będzie pełnego komfortu, gdyż drewniane bale układane są w taki sposób, że tworzą powierzchnię przywodzącą na myśl ręczną pralkę, ale będzie można przejść na drugi brzeg wraz z motorem, rowerem i dowolnym bagażem na raz.

Kiedy dobiegnie koniec prac wykonywanych przez kielecką firmę, pralkę zaleje się asfaltem. Wówczas nie będą już potrzebne czerwono-białe zapory, popłynie strumień samochodów po moście, który nie będzie już dygotał jak w febrze, bo wspierać go będą betonowe podpory. Rozważy się jednak sprawę trasy obranej przez wywrotki wożące do miasta piasek z kopalni w Białej Górze i być może nastąpi jej korekta na korzyść mostu.

Prezydent miasta mającego w herbie dziewicę siedzącą na niedźwiedziu swój dzień urzędowania zaczyna od rannej wizyty na moście. We wrześniu ma zacząć działać tama, rzeka, która teraz jak wściekła toczy swoje skłębione wody zostanie przywołana do porządku, przynajmniej na czas, kiedy w jej nurt wolno wjedzie zmyślny pojazd na gąsienicach.

Takie zapewnienia ma prezydent.

Jednakże ludzie zdejmujący podkład i wbijający gwoździe w nowe belki, dobrze znający wszystkie opory jakie stawia przywoływany do życia most, twierdzą, że może zabraknąć tygodnia do końca ich robót, co sprzężone są z ważną datą.

— Zbyteczna jest ta presja! — mówią. — Most i tak będzie. Wytrzymali ludzie tyle, niech wytrzymają jeszcze trochę. W tym wszystkim potrzebny jest rozsądek.

Oni mają tego mostu dość. Dość mają tej presji i patrzenia im na ręce, czy aby nie poruszają się one za wolno. Także ci z „kieleckiego" woleliby mieć już to wszystko za sobą, zrobić swoje i odejść, na ważne i ważniejsze budowy.

Most jest próbą. Dla wszystkich. Gdyby był gładki jak stół, bez dygotania, reanimacji, schodni, która może się przyśnić w najgorszym śnie, mimo że jest nieznośnie realna, nie byłoby żadnej próby.

Ile snu i nerwów zabrał ludziom ten most! Czyż jednak nie rozmaite przeciwności są solą życia, tak jak i ich pokonywanie? Identycznie jest z tym mostem i przechodzeniem przez niego.

WŁADYSŁAW MALKA

Poznać pana po cholewach...

DANUTA ŚMIERZCHALSKA

Gwiazdy filmowe, wielcy politycy, sławni sportowcy — wiemy, gdzie się ubierają jakie domy mody dostarczają im kosmetyków i gdzie zaopatrują się w obuwie. Każda firma dzięki ich zwiskom przysparza sobie reklamy. Ale czy ktoś wie dzisiaj, u kogo zamawiał buty prezydent Bierut, w czyim sklepie kupiła pantofelki Maja Plisiecka, gdy pod koniec lat pięćdziesiątych przebywała w Polsce?

Starsi łodzianie pamiętają zapewne zakład szewski pana Wincentego Romejki, firmę, której obuwie znane było nie tylko w Polsce, ale i za granicą...

Kto wynalazł buty? Nie wiadomo. Noszono je już w starożytnym Egipcie i Mezopotamii, co dokumentują znaleziska oraz ikonografia. W Egipcie obuwie wykonywano oczywiście z papirusu, malowanego wedle fantazji i... bogactwa właściciela. Często bowiem dla podkreślenia swego majątku na wewnętrznej stronie podeszwy wypisywało się imiona niewolników. Spotkać też można było wymalowane tam zaklęcia, które miały wspierać podróżnego podczas jego wojaży.

But ma swoją historię i to wcale bogatą. Czy można powiedzieć, że jest to historia sztuki? Patrząc na umieszczone na wystawach naszych sklepów wyroby rodzimego przemysłu obuwniczego, chciałoby się na takie stwierdzenie gwałtownie zaprotestować. Chyba, że... porozmawia się o butach z artystą. A takim artystą jest bez wątpienia 75-letni już dziś mistrz szewski — pan Wincenty Romejko.

Firma Romejko znana była po wojnie w całej Łodzi. Przed witryną sklepu przy ulicy Piotrkowskiej 69 w niedziele przystawali ludzie, by popatrzeć, jakie znów modele przygotował mistrz poprzedniego wieczora do wystawienia w witrynie. Zdarzało się, że po cichu konkurencja przerysowywała fasony...

Sam mistrz przybył do Łodzi z Wilna, gdzie od 1932 roku prowadził dwa zakłady szewskie — jeden przy ulicy Chopina 1, drugi przy Wileńskiej 8. Była to jedna z paru najbardziej ekskluzywnych firm w mieście. „Buty od Romejki" były drogie i nie każdy mógł sobie na nie pozwolić. Para kosztowała około 120 ówczesnych złotych, a pamiętajmy, że dorywczo pracujący robotnik zarabiał w tym czasie 2 złote dziennie. Ale też klient, który przychodził do tego sklepu wiedział, za co płaci i potrafił docenić artyzm, z jakim wykonane było obuwie pana Romejki.

Sam mistrz tak dziś wspomina tamte czasy:

— Przyjeżdżał wtedy major i 50 par dla oficerów zamawiał, kolejarze — 30 par, szkoła strażaków — 50—80, a wszystkie miały być na jeden czas. Zamawiało się też prawidła do butów, robione podług miary. Robił je kto inny, ale takie prawidła przez sześć godzin musieliśmy jeszcze dopasowywać.

A były wielkie wymagania! Jak taki major czy pułkownik spojrzał, to do wszystkiego mógł się przyczepić. Ale tu nie było do czego się przyczepić.

— Przed wojną cały but robiło się ręcznie, cały but był szyty. A kroić skórę było bardzo trudno... Na oficerki używało się skóry Weidla — to był najlepszy gatunek, miękki, na cholewki. Oficerki to był wzór angielski, wszystkie jednakowe, tylko szantyle (dolna część cholewki) były wyższe lub niższe. Wszystko było szyte ręcznie. Oficerki nosiło się czarne, do tego srebrne ostrogi...

— Przed wojną jak szedł oficer, to była lalka — dodaje pani Romejko z rozrzewnieniem — te spodnie, te buty...

— I musiały być sztywne — kontynuuje mistrz Wincenty — cholewy miały przyszyty specjalny sztywnik. A robione były na miarę. Cała sztuka polegała na tym, że do nogi lewej i do prawej osobno dopasowywany był but.

Jak tylko sięgam pamięcią, w filmach przedstawiających okres międzywojenny ordynansi występowali głównie zajęci czyszczeniem butów pana majora, kapitana czy pułkownika...

Okazuje się, że to niemal rytuał. W firmie pana Romejki zatrudniony był do tego celu specjalny pracownik. Zakładał on buty na prawidła, po czym watką lekko zwilżoną wodą nabierając niewielką ilość wysokogatunkowej pasty „Kiwi", smarował oficerki małymi ruchami okrężnymi — miejsce przy miejscu. Trwało to dwie godziny aż spod watki buty zaczynały błyszczeć jak lustro. Na koniec polerowało się je flanelką.

Na bale oficerowie zakładali buty galowe, tak zwane sztyblety. Nosiło się je do szaserów, spodni z lampasami, zachodzących nisko na buty. Sztyblety były dość niskie, z gumką, która pozwalała je podciągać w górę. Do tego zakładało się specjalne okucia, srebrne lub niklowane imitacje ostrogi. Pan Romejko ma jeszcze w domu takie okucie. Pokazuje mi metalowy, półokrągły przedmiot, z małym szpikulcem pośrodku, służący do przymocowywania do buta.

Sztyblety kroiło się z całości. Wykonane z cejlońskiej giemzy, nie pękającej, z połyskiem, miały szerokie obcasy i ostre nosy.

A skoro o balowych butach mowa, to nietrudno sobie wyobrazić, jaka nostalgia ogarnęła mnie, gdy dowiedziałam się, jak w firmie Romejko robiono atłasowe pantofelki dla dam. Wykonywał je pracownik w białym fartuchu i białych rękawiczkach, który co chwila mył ręce, by nie skalać atłasu. Gdy takie cacko wystawało potem spod sukni, nie dziw że drżały serca panów oficerów obutych w sztyblety.

Robiono też buty narciarskie. Te były specjalnie reklamowane. W witrynie sklepu rozwieszona na łańcuchach wisiała skóra, w niej zaś była woda, co dowodziło, że giemza przeznaczona na narciarki nie przecieka i śnieg jej nie straszny.

Nic też dziwnego, że firma Romejko zatrudniała ponad 130 pracowników.

— Czy to prawda, że kiedyś dobry but musiał skrzypieć — pytam.

— Elegancki but nie miał prawa skrzypieć — mówi mistrz. — Owszem, robiło się kiedyś obuwie, w którym skóra była specjalnie składana, by skrzypiała. Chłop szedł na rynek i kupował takie buty, a kiedy w niedzielę wszedł do kościoła to było słychać jego kroki... Chociaż byli kiedyś i tacy, co chcieli, żeby buty skrzypiały....

Gdy po wojnie pan Wincenty otworzył zakład w Łodzi, jego nazwisko szybko stało się znane w mieście. Kupowali tu buty wszyscy znani aktorzy, artyści Operetki, lekarze. Z Warszawy przyjeżdżali pracownicy zagranicznych ambasad, dyrygenci, zespoły artystyczne — w latach sześćdziesiątych zamówił tu obuwie między innymi sławny zespół Mojsiejewa. Radziecki generał Masłow pośliznąwszy się na dywanie w swej ambasadzie na wypolerowanych podeszwach butów pana Romejki, zawołał ponoć: — „Pierwszy raz w życiu mam takie buty!"

Bo skórzane podeszwy musiały lśnić jak lustro — były nawet specjalne sposoby ich zmywania i polerowania.

Już w końcu lat czterdziestych zaczął pan Wincenty wysyłać obuwie na targi i wystawy. Pierwsza z nich odbyła się po wojnie we Wrocławiu, potem były Targi Poznańskie, gdzie firma Romejko wystawiała swe wyroby pięciokrotnie, Targi Lipskie, Paryż, Monachium. Córka pana Romejki mówi:

— Żurnali wtedy nie było. Jak targi się zbliżały, to ojciec już niczym innym nie był zajęty, tylko modelami. Rysował je do rana, potem z pracownikiem zastanawiali się, jak but zrobić — to wszystko było przecież wykonywane ręcznie — jak wykroić cholewkę, jak napasować kopyto...

Oglądam pożółkłe już zamówienie na skóry, na którym jest zaznaczone, że ma być z nich wykonane obuwie przeznaczone na Targi Poznańskie. Widnieją na nim egzotyczne nieco dla mnie nazwy: chrom cielęcy, krupon, juchty...

Parę butów wykonywano w firmie mistrza Wincentego w ciągu czterech dni — modele przeznaczone do Poznania robiło się półtora tygodnia. Gdy wracały z targów i wystawiano je w witrynie sklepu przy ulicy Piotrkowskiej przed oknem tłumnie gromadzili się ludzie. Był to wtedy swego rodzaju salon mody.

Zresztą modele wysyłane na targi miały być potem wzorcami dla produkcji masowej. Polski przemysł jakoś ich nie wykorzystał, chociaż zrobiono to na przykład w NRD.

Na początku lat pięćdziesiątych, gdy w Moskwie odbyła się wielka wystawa osiągnięć przemysłu lekkiego, firma pana Romejki jako jedyna reprezentowała polski przemysł obuwniczy. Na tę wystawę pan Wincenty przygotował około 10 par butów. — Nazywało się wtedy, że buty państwowe — mówi mistrz. Nad modelami pracował praktycznie przez cały rok. Otrzymały one złoty medal. Doniosła o tym wówczas w krótkiej notatce łódzka prasa. Modele oczywiście sprzedano, a pan Wincenty? Nigdy nie otrzymał za nie ani grosza...

Próbuję dowiedzieć się, jak wyglądały tamte buty, czy były szyte ręcznie, czy szpilkowane?

— Kołkowany but to nie pierwszy gatunek! — obrusza się pan Romejko. — W podrzędnych pracowniach takie się robiło! Firma która była firmą tej roboty nie wzięła do ręki!

— Buty ojca były bardzo wygodne — mówi pani Krystyna. — Można je było nosić latami i się nie niszczyły.

Okazuje się, że bardzo wiele zależało od sposobu garbowania skóry. Oprawiana przy użyciu preparatów pochodzenia organicznego jest elastyczna i miękka.

— Roślinne wyrobienie nie pali — tłumaczy pan Wincenty.

Firma miała też swoje tajemnice warsztatu, przekazywane wyłącznie własnym uczniom. I tak na przykład mistrz Romejko odkrył, że jeśli noga klienta się poci, należy robić dla niego buty, które mają przód ze skór krojonych nie z grzbietu, lecz z boków i łap zwierzęcia. Takie skóry mają bowiem większe pory i są przewiewniejsze.

— Czy można produkować masowo buty, które byłyby i ładne, i wygodne? — pytam mistrza. Była wszak przed wojną firma „Bata", która dzięki takiej właśnie produkcji stała się bardzo znana, nie tylko w Polsce.

— Buty „Bata" biedak kupował! — słyszę na to. — Nie były eleganckie. A dobre buty? Najważniejsze jest kopyto, żeby było dopasowane do nogi. A dziś sztuka robienia butów zanika, brakuje dobrych fachowców i o to chyba chodzi.

— Męża chcieli zabrać do szewskiej szkoły zawodowej — mówi pani Romejko. — To był Radom albo Chełmek, lecz odmówił. Ale ponieważ kształcił młodzież — mąż miał przeszło dwudziestu uczniów — co roku w Dzień Nauczyciela przysyłali mu stamtąd podziękowania.

Pytam panią Romejko, która od założenia firmy pracowała z mężem w sklepie, czy można powiedzieć coś o człowieku na podstawie jego butów. Ożywia się:

— Oczywiście! Czy jest zamożny, czy elegancki, czy ma gust... Przecież „poznać pana po cholewach" — jest takie przysłowie. Ja potrafiłam poznać kto jest księdzem, tylko po cywilnemu przyszedł, kto milicjantem, kto urzędnikiem. Patrzy się na teczkę, na ruchy, jak siada i jak zdania buduje. Wtedy orientowałam się, jaki but mogę podać... który warto...

EPILOG

Siedem złotych medali z międzynarodowych targów i wystaw, liczne sukcesy za granicą, klientela o najsławniejszych nazwiskach. Ten artysta dratwy i kopyta, którego buty były stworzonymi wyłącznie z własnej wyobraźni małymi arcydziełami, jest dziś ciężko schorowanym, niemal niesprawnym człowiekiem. Przyczyna? Los oczywiście, ale ręka losu ktoś tu wyraźnie pokierował. Na skutek donosu — jak twierdzi rodzina — oskarżony o to, że skupuje buty od innych szewców i sprzedaje je jako własne, pan Wincenty Romejko w grudniu 1970 roku pozbawiony zostaje swego warsztatu pracy. Ma 62 lata. Jest dwa lata przed emeryturą. Nie pomagały interwencje w Ministerstwie Drobnej Wytwórczości i w Stronnictwie Demokratycznym. Urzędnicy pozostali nieugięci. Ugiął się natomiast człowiek. Przyszły dwa zawały, choroba Parkinsona. A ze sławnej firmy Romejko pozostały wspomnienia u ludzi, nieco zdjęć i ręcznie szyte oficerki, które córka przechowuje do dziś na pamiątkę.

Tradycję przejął po ojcu syn Leszek, który ma swój warsztat przy ulicy Zielonej. Ale robi buty dla wąskiego grona klientek, które przychodzą zamawiać u niego wygodne obuwie na zmęczone nogi. W tym warsztacie robi się buty ze skóry, dwie pary tygodniowo. W ten sposób trudno stawiać czoła konkurencji. Tradycja odchodzi w cień...

Kiedy światem zawładnie mroźna, bezśnieżna zima, a młody człowiek zamiast jeździć na łyżwach, musi tyrać w pocie czoła na piłujące szpony żony swego prywatnego pana, to w sercu jego rodzi się bunt i tęsknota za socjalizmem. Rozżalenie tym większe, jeśli haruje on w każdą wolną sobotę, podczas gdy w sektorze państwowym świętują przy flaszce. A już najgorzej być człowiekiem bezżennym i egzystować w konkubinacie z babą okrutniejszą niźli prawomocna małżonka.

Jan Z. był trzydziestopięcioletnim kawalerem z wykształceniem zasadniczym, tyrającym jako murarz w zakładzie prywatnym. Od czterech lat mieszkał w podłódzkim miasteczku pod jednym dachem z kobietą czterdziestoletnią, która nazywała się Jagoda N. i była magistrem nasiennictwa w randze inspektora centrali unasienniania pól. Konkubina pracował w Łodzi.

Wykształcona konkubina wzięła sobie na warsztat pijącego murarza, ponieważ chłopów jest za mało i nie ma co wybrzydzać w kryzysie. Tym bardziej, że każdy amator wdzięków Jagody N. zanim trochę posmakował, zwiewał gdzie pieprz rośnie, by nie ugrząść na dobre. Była to bowiem niewiasta tak zwanego ciężkiego kalibru, o urodzie „Miss Potwonatura 85" i manierach przedwojennego kaprala. Jeśli tylko jakiś naiwniak spróbował nabijania na gorący, upojny pal, natychmiast tonął bez wieści, gdyż głębia jej była niezmierzona.

W związku z tym pewnej grudniowej soboty Jan Z. postanowił zdemolować swą konkubinę i zerwać z nią raz na zawsze. W tym celu dla dodania sobie animuszu udał się był na glajchę w towarzystwie całej murarskiej brygady. Ponieważ inwestorem willi był początkujący szewc na dorobku, glajcha wypadła skromnie. Wódka była normalna, a na zagrychę do rymu — brygada maczała twarze w browarze. Wypadło po trzy sety i po trzy kufle piwa mętnego na łeb.

Po takiej dawce Jan Z. również zmętniał, po czym zwierzył się kolegom ze swych pirackich zamysłów. Brygada po krótkiej naradzie złożyła stosowne oświadczenie. Następnie każdy wyraził opinię solo.

— Zamurować w kiblu — rzekł pełnomocnik murarza.

— A ja bym ją zalał na śpiku — stwierdził taczkowy od zaprawy.

— Może by nią spłycić podmurówkę? — zastanowił się fundamentowy.

RYSZARD BINKOWSKI

Palowanie

— Cha, cha, cha! — zarechotał sam majster. — Nic z tego, pany! Bo gdy Jaguś zrobi poziomicę, to Jan zawsze stanie pionem!

Jan Z. poczuł się jak oklapła wiecha po glajsze i opuścił wredną brygadę.

Stał od kwadransa na przystanku, czekając cierpliwie na podmiejski tramwaj, który jeździł z częstotliwością śmieciarki opróżniającej zamarznięte śmietniki na przedwiośniu. Czując, że opuszcza go chęć zemsty na konkubinie, udał się do baru „Kęs", aby doładować akumulator. Kiedy wypił piwko, na horyzoncie pojawił się znany z widzenia facet z miasteczka, zwany elegancko Ryjem. Jan nie kolegował się z Ryjem i nie miał z nim żadnych zatargów. Szczerze mówiąc, Ryjowi lepiej było nie wchodzić w drogę. Był to trzydziestoletni nieprzynależny, rozwiedziony, bez zawodu, z wykształceniem powszechnym, który mieszkał z matką w średnich warunkach socjalno-bytowych. U sąsiadów cieszył się opinią negatywną, ponieważ miał skłonności do nadużywania alkoholu i znęcania się nad matką. Kneblował ją, przywiązywał do żyrandola i dokonywał przeszukania, po czym szedł na wódkę. Jak się upił, to odcinał matkę z żyrandola, żeby nie zwiędła. Notowany i zatrzymywany przez MO, spędził kilkanaście nocy w Izbie Wytrzeźwień na koszt matki, która płaciła z wdzięczności za ratowanie jej życia przez syna. Ryju utrzymywał kontakty z elementem przestępczym i chuligańskim, nie pracując i nie starając się podjąć pracy. Na początku 1984 roku włazł do baraku pewnej spółdzielni, ale ponieważ nie było tak alkoholu, wyniósł z pomocą trzech kumpli kilkadziesiąt żeberkowych kaloryferów. Dostał za to dwa lata, ale po sześciu miesiącach opuścił zakład karny na mocy ustawy o amnestii.

Tego sobotniego wieczoru Ryju nie wyglądał na pijanego, toteż Janowi Z. przyszło do głowy, że taki kizior mógłby mu pomóc w realizacji zbójeckich planów. Zagadnął więc przyjaźnie:

— Te, jedziesz do miasteczka?

— Uhm. A bo co?

— To jedźmy razem. Tylko postaw mi piwo, co?

— Z jakiej racji?

— Dziengi mi wyszły. A muszę mieć dzisiaj animusz na cały gaz.

Ryju wypił swoje piwo, ale Janowi nie postawił. Wtedy Jan trzasnął go w twarz. Ryju nie zareagował.

— Wyłaź! — wrzasnął Jan Z. — Wyjdź, to się zmierzymy przed barem!

— Przebaczam ci — rzekł na to Ryju, ponieważ bał się, że Jan Z. ma przed barem kolegów, którzy mu dołożą.

— No, dobra, przepraszam cię — opamiętał się Jan. — Jedź ze mną, to ci postawię. Ale dopiero wtedy, jak załatwimy moją Jagódkę.

— Co jej zrobimy?

— Najlepiej zabić. Ale postraszyć też nie zaszkodzi.

Ryju wyraził zgodę, gdyż był człowiekiem społecznym. Wsiedli na ostatni pomost drugiego wagonu i pojechali. W drodze rozmawiali na tematy ogólne, ustalając między wierszami plan akcji pod kryptonimem „Konkubina", przy czym Jan zdradził także jej adres zamieszkania. Pokrzepiony na duchu zaczął podrywać dziewczyny, ponieważ jednak jego umizgi kończyły się odrzutem, ponownie zaczął tracić odwagę. Przeniósł się na przedni pomost, a Ryju podążył za nim, by go wesprzeć na duchu. Jan zawsze wysiadał przy placu Kościelnym, lecz Ryju oświadczył, że jeśli chcą dotrzeć bez obciachu do celu, to trzeba wysiąść przystanek wcześniej.

Jan wysiadł wcześniej. W ostatniej chwili chciał wrócić do tramwaju ze zwykłego tchórzostwa, ale Ryju zatrzymał go zapewniając, że wszystko będzie okej. Jan ustąpił i Ryju skręcił zaraz w ulicę, gdzie mieszkała Jagoda. Z. szedł za nim, był już prawie trzeźwy, nawet się nie zataczał. Potem zrównali się w miejscu bezludnym i nie oświetlonym i szli ramię w ramię, Ryju po prawej stronie zbuntowanego konkubina.

Jagoda N. serce miała pełne troski i bolesnego zniecierpliwienia. Na wszelki wypadek owinęła walek swymi wełnianymi majtkami, by nie pozostawić śladów na ciele opilca z branży murarskiej, lecz ten nie nadchodził, chociaż zbliżała się już dziewiętnasta. W pewnej chwili czułe ucho Jagody wyłowiło dźwięki, które nią wstrząsnęły do głębi. Były to głosy męskie, intonacja i stopień nasycenia bełkiem wskazywały na spożycie alkoholu. Dźwięki dochodziły z czeluści klatki schodowej.

Jagoda wyszła na podest, nie mogła jednak dojrzeć konwersujących osobników. Obawiając się, że jednym z nich może być Jan, zeszła na półpiętro, aby położyć kres głośnej pijackiej dyskusji, która mogłaby ją skompromitować w oczach sąsiadów. Zobaczyła, że przy kaloryferze stoi w rozpiętej kurtce Jan Z., a w drzwiach wejściowych jakiś nie znany jej mężczyzna.

— Hej! Co tu się dzieje? — spytała groźnie Jagoda.

Jan Z. milczał jak zaklęty, trzymając się kurczowo kaloryfera.

— Spotkałem go po drodze — wyjaśnił obcy. — Prosił, żeby go odprowadzić, ale nie wiem dokładnie, gdzie mieszka.

— Co mu się stało? — natarła Jagoda. — Pijany?

— Tak jakby — odparł obcy. — Pobili go w Łodzi przed barem „Kęs".

Obcy, który nie wyglądał na pijanego ani pobitego, wycofał się dyskretnie za drzwi. Jagoda podeszła do przyjaciela. Twarz miał zakrwawioną, ale ślady krwi były zbyt świeże, aby miejscem bójki mogła być Łódź. Prowadząc Jana po schodach Jagoda zapytała, kto go pobił. Nie odpowiedział.

— Jak mogłeś jechać w takim stanie tramwajem? — rzuciła podejrzliwie w mieszkaniu.

W odpowiedzi tylko pokiwał smętnie głową. Potem umył sobie twarz i przejrzał się w lustrze. Przeraziła go gęba po drugiej stronie. Zaczął się w popłochu rozbierać. Wtedy Jagoda zauważyła, że Z. nie ma zegarka.

— Gdzie masz zegarek?! — wrzasnęła, aż zadzwoniły sztućce w kredensie.

Jan jak sparaliżowany wsunął się pod kołdrę, skąd po raz pierwszy dobiegł jego znękany głos:

— On mi go zabrał...

— Jaki on?

— Ryju, ten co był ze mną...

— Czemuś mi tego nie powiedział na schodach?

— Bo ty byś krzyczała — zaszlochał Jan — i sąsiedzi by słyszeli.

Jagoda pobiegła na posterunek, lecz nie została wysłuchana, ponieważ władza była zajęta. Jeden funkcjonariusz na urlopie, dwóch na chorobowym, trzeci na kursie antyspekulacyjnym, czwarty zaś ustalał przebieg rozboju na babci Zeydler-Zborowskiej, której zrabowano pamiętnik kryminalisty z dzieciństwa. Kiedy Jagoda wróciła do domu, konkubin spał jak zabity. Nie przyszło jej do głowy, by powiadomić milicję przez telefon, chociaż aparat miała w pokoju i też położyła się spać.

Kiedy inspektor Jagoda wychodziła wczesnym rankiem do pracy, jej oblubieniec jeszcze spał. Zawizytowała jedno poletko, na którym nic nie wzeszło, co było zjawiskiem normalnym, gdyż w grudniu siła kiełkowania nasion jest raczej znikoma. Wróciwszy wcześniej z inspekcji stwierdziła z przerażeniem, że oblicze Jana Z. przemieniło się w maskę Frankensztajna po kolizji z czołgiem na poligonie. Miał podbite oczy, spuchniętą twarz po obu stronach, naruszone zęby, a nos w pięknym sinym obrzęku, jakby wymoczył go w denaturacie. Bolała go szyja i głowa, nie mógł ugryźć nawet chleba.

Aby zmusić go do zeznań, Jagoda zastosowała przesłuchanie czwartego stopnia, to znaczy wbiła się samobójczo na pal. W chwili szczególnej udręki Jan zapodał przez łzy, co następuje:

— Idąc z Ryjem stwierdziłem, że on się ogląda do tyłu, jakby chciał sprawdzić, czy ktoś nas nie śledzi. Ja też się obejrzałem... I wtedy otrzymałem cios w nasadę nosa i upadłem na chodnik. Dzięki grubej jesionce nie czułem uderzeń po rękach, którymi osłaniałem głowę. Potem przylgnąłem twarzą do ziemi... A potem, najdroższa, usiłowałem wstać, by wezwać ciebie na pomoc, lecz po kolejnym ciosie padłem na wznak... Ten podły Ryju siadł okrakiem na mojej klatce z piersiami i zaciskał mi szalik na szyi, ciągnąc końce na boki. Ponownie przekręciłem się twarzą do ziemi...

— Nie odwracaj się, tylko paluj! — ryknęła w złowieszczej ekstazie konkubina Jagoda.

— O-oo, zlituj się, Jagódeczko! — zawył palownik Jan. — Ach, jakim ja obolały... Jagodo, jam znowu otrzymał cios, o-och! A potem on mnie kopał i straciłem przytomność. Odzyskałem ją na twój widok, gdy stałaś z wdziękiem na schodach. O, patrz, ściągnął mi siłą zegarek, mam zdartą skórę od bransoletki na lewym nadgarstku...

Jagoda N. zsunęła się z westchnieniem z pala.

— Źle z tobą — rzekła ze smutkiem. — Tak, jakbyś zwiotczał, szatanie...

— Ryju zrobił mi takie palowanie, że mam już dosyć, kochana.

— Musisz iść do lekarza.

— A jakże ja się pokażę z tą gębą na ulicy? Poza tym nie czuję się na siłach, żeby się ubrać i wyjść.

Jagoda skonstatowawszy, że może być posądzona o znęcanie się nad konkubinem, sama załatwiła formalności urzędowe.

Milicjanci wysłuchali zwierzeń Jana Z., obejrzeli go dokładnie i skierowali do lekarza, który stwierdził u palowanego stłuczenia twarzy oraz otarcie naskórka lewego przedramienia.

Kiedy Jan Z. się badał, milicjanci obejrzeli miejsce napadu. O dziewiętnastej mogło tam być ciemno. W promieniu dwudziestu metrów żadnych śladów zbrodni, czyste płyty chodnika i zwiędła trawa.

Z kolei dokonano szczegółowego opisu zegarka marki „Poljot". Miał ciemną tarczę z białą obwódką, na której widniały ciemne cyfry rzymskie i datownik. Koperta i bransoletka z białego metalu. Jan Z. posiadał paragon na kwotę 2.520 złotych oraz kartę gwarancyjną z numerem fabrycznym. Twierdził, że poznałby zegarek z daleka po przeróbkach, jakich dokonał. Otóż aby bransoletka lepiej się trzymała na ręku, Jan skrócił ją o dwa ogniwka, zatrzask zaś przygiął kombinerkami i podpiłował lekko pilnikiem. Pamiętał, że na lewej stronie koperty było minimalne otarcie.

Następnie milicjanci ustalili, że pod pseudo „Ryju" kryje się notowany na posterunku Zygmunt D. Jednakże drzwi jego mieszkania były zamknięte na cztery spusty.

Wobec tego funkcjonariusze udali się z nakazem przeszukania do siostry Zygmunta. Ta wzięła klucz i otworzyła milicji drzwi do mieszkania brata. Zegarek o wyglądzie zgodnym z opisem podanym przez Jana Z. znajdował się w pokoju. Leżał w szafce po lewej stronie, w pudełku przykrytym papierem. Miał otwór w szkiełku w pobliżu pokrętła oraz pęknięcia po przeciwnej stronie.

Z okazanych trzech zegarków Jan Z. wybrał właśnie ten. Numer fabryczny się zgadzał.

W tak zwanym międzyczasie milicjant przebrany za hydraulika zdjął w nocy Ryja, gdy ten usiłował wśliznąć się przez okno do swego mieszkania. Przyciśnięty do muru Zygmunt D. przedstawił obrazowo przebieg wydarzeń sprzed dwóch dni.

— Jakeśmy szli do konkubiny — zapodał — Jan Z. oświadczył nagle, że ja nie zabiję jego Jagódki, bo on chciał mnie tylko sprawdzić i wciągnąć w pułapkę. I wrzasnął, że zaraz mi dołoży, bo w barze dostałem za mało. Zdjął kurtkę i zegarek, ale ja nie uciekłem, bom widział po ciemku, żeśmy są sami, więc się nie bałem. Jan rzucił zegarek na chodnik. Podniosłem i mówię, weź, bo potłuczesz. Nie chciał wziąć, rzuciłem, więc zegarek w stronę kurtki. No i zaczęliśmy się bić, chociaż nigdy nie miałem z nim zatargów. Nie miałem nawet urazy, że mnie uderzył w barze. Jan zamachnął się, ale ja byłem szybszy i trzasnąłem pierwszy. Jak się przewrócił, to mu dosunąłem. Nie bronił się, więc dałem mu pięć razy w lipo i w klatkę. On nie uderzył mnie ani razu, bo nie miał szans. Biłem, bo jakbym nie prał, to on prałby mnie. Gdy zwiotczał założyłem mu kurtkę, zegarek wsunąłem do kieszeni moich spodni i zaprowadziłem go do bloku. I wtedy pojawiła się ta straszna Jagoda, i zaczęła na niego wrzeszczeć. Ze strachu, że Jan powie, co mieliśmy zrobić z Jagodą, nie oddałem tego zegarka i uciekłem. Miałem nadzieję, że zegarek podaruję mojej nowej narzeczonej...

Wprawdzie milicjanta też obowiązuje tajemnica spowiedzi, lecz w sądzie sprawa się rypła. Magister Jagoda dowiedziawszy się o spisku na swoje życie, usiłowała w załomie korytarza sądowego wbić Jana Z. na pal męczeński, to jest na ostry szpic swojej czerwonej parasolki, lecz Jan wyskoczył z pierwszego piętra i złamał sobie nogę. Przed linczem (czytaj: palowaniem) uratowały go milicja oraz karetka pogotowia.

W ten sposób na skutek ślepej miłości Jana Z. do zegarka produkcji radzieckiej została rozbita najbardziej demokratyczna i tolerancyjna komórka społeczna, jaką jest konkubinat.

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

Safona

Nagroda Główna na Warszawskiej Jesieni Poezji

W letnie upalne popołudnie pełne zapachu
gnijących krabów ośmiornic i langust
wyrzuconych na brzeg martwego morza
Safona pisze swoje kosmogoniczne wiersze
siedząc okrakiem na górach Kaukazu
Łaskawy Pegaz liże jej ciało
które niegdyś rozdawała w tysiącach
miłosnych uścisków
a teraz pokryło się ropiejącymi wrzodami
skrzydła Pegaza niczym drzewa rozłożyste
dają jej rozpalonemu ciału kojący cień
U podnóża gór gromadzą się pielgrzymi
oczekujący na spotkanie z poetką
utrudzeni w rwących potokach
obmywają kurz przebytych dróg
z klatek przy dźwiękach fletni
wypuszczają fruwające ryby
W ślad za pielgrzymami podążają już kupcy
którzy wesoło pokrzykując rozkładają
kolorowe stragany
z chińskim jedwabiem indyjskimi korzeniami
świętojańskim chlebem i gwiazdami z soli
Oto pojawiają się wszędobylscy rzeźnicy
prowadzący uwiązane do wozów zwierzęta:
owce świnie kozy i święte krowy
rzeźnicy zabijają wszystkie te zwierzęta
a one pokornie kładą swe głowy pod chłód
toporów
buchającą krew zwierząt gotują w olbrzymich
kadziach
czerwona mgła krwi spowija szczyty gór
Jakiś mężczyzna wraz z kobietą
postanawiają postawić w tym miejscu
wspólny dom
zanim to jednak uczynią gałązkami mirty
odpędzają złe duchy mieszkające w górskich
kamieniach
Tak dzięki Safonie rodzi się Poezjopolis

MAREK BRZEZIŃSKI

Oskarżenie

Dziś
poetę oskarżono o obłudę.
Więc już tylko grabarzowi
można zaufać.

Ale dopiero gdy odkopie
czaszkę Yorricka.

Symbole

Biało-czerwoną
koniecznie poszarpaną kulami i
splamioną krwią
karabin i szablę
daty zakięte
miesiące pamięci
pomniki na każdą okazję
posypano mazowieckim piachem
i zamknięto za kuloodpornymi szybami
w bocznej sali
Muzeum Narodowego.

I jak mamy teraz żyć
w interiorze europy.

Koleiny

Muszę dużo i głośno mówić
by usłyszano że milczę.

Muszę szybko iść
wbijając łokcie pod cudze żebra
by spostrzeżono że stoję.

Muszę śpiewać pieśni
o budowie lepszego jutra
by zauważono że wyję.

Muszę zaciśniętą pięścią bić
mocno do krwi
by dostrzeżono moją wyciągniętą dłoń.

Więc muszę
mówić, iść, śpiewać i bić
by ktoś krzyknął że żyję.

Musashi shogun i samuraje

Z początkiem lata telewizja polska rozpoczęła emisję nowego historycznego serialu japońskiego. Nawet mało uważny widz dostrzega zapewne, iż „Musashi", mimo innej konwencji, stanowi niejako kontynuację niezwykle popularnego serialu „Shogun". W nowym filmie wielkie wydarzenia i postacie historyczne nikną nieco w cieniu przygód mistrza miecza Miyamoto Musashiego. Losy wszystkich bohaterów serialu uwarunkowane są jednak sytuacją społeczno-polityczną i kulturalną, jaką stworzył pierwszy shogun Tokugawa Ieyasu (Toranaga).

Przypomnijmy, iż „Shogun" odtwarzał autentyczne i przełomowe wydarzenia w dziejach feudalnej Japonii. Nawet ulubieniec naszych telewidzów angielski marynarz John Blackthorne (właściwie William Adams (1564—1620) to także autentyczna postać, jeden z głównych doradców shoguna. Finałem serialu była wielka przełomowa bitwa pod Sekigaharą w 1600 roku, o której — niestety — Toranaga opowiedział tylko telewidzom. Dzięki niej Tokugawa Ieyasu został panem zbrojnym kraju, a w 1603 r. sięgnął po tytuł shoguna — głównodowodzącego wojsk — faktycznego władcy kraju.

Przygody bohatera nowego serialu rozpoczynają się w 15 lat po bitwie pod Sekigaharą, o czym często wspomina się w filmie. „Musashi" został nakręcony w oparciu o biograficzną powieść „Księga pięciu pierścieni". Wznowiona w Japonii po przeszło trzech wiekach w 1982 r., stała się bestsellerem. Powieść i serial opowiadają o przygodach mistrza walki na miecze samuraja Miyamoto Musashi. Był on jednocześnie pisarzem, malarzem i kaligrafem. Odegrał dość dużą rolę w kulturze XVII-wiecznej Japonii. Ten ciekawy bohater, którego odtwarza Kinnosuke Yorozuya (poznaliśmy go w filmie „Honor samuraja") krocząc „drogą miecza" przekazuje swą filozofię rezygnując z miłości i życia rodzinnego. Jego perypetie rozpoczynają się po słynnym pojedynku na jednej z wysp Japonii, gdzie zyskał sławę niezwyciężonego samuraja. Jego kolejne zwycięskie pojedynki prowokowały nowe, w których musiał udowadniać swą wyższość. Z pozoru więc serial ogranicza się tylko do przedstawiania wszelkich możliwych sposobów zabijania przy pomocy białej a czasami palnej broni. Jednakowoż wszelkie perypetie bohaterów wiążą się ze znanym już od końca XII wieku systemem „rządów z namiotu" — bakufu ustanowionym przez głównodowodzącego wojsk — shoguna. Nowy shogunat rodu Tokugawa po bitwie pod Sekigaharą rozpoczął masowe prześladowania wielkich feudałów — daimyo, którzy wcale lub zbyt późno opowiedzieli się po stronie Ieyasu.

Wszystkich daimyo podzielono na dwie kategorie — wiernych rodowi Tokugawa tzw. fudai i dawnych opozycjonistów tzw. tozama. Najlepsze urzędy państwowe i dworskie zastrzeżone były tylko dla fudai. Tozama otrzymywali gorsze majątki, niektórym w ogóle konfiskowano i utrudniano życie na wiele innych sposobów. Z tego też powodu panna Oju, kolejna ofiara miłości do mistrza Musashiego miała wbrew swej woli wstąpić do klasztoru. Jej ojciec daimyo tozama był kiedyś przeciwnikiem shoguna, natomiast stryj Hosokawa Tadaoki jego wiernym towarzyszem broni. Obawiając się jednak gniewu shoguna posłał swą przybraną córkę do klasztoru. Morito — niewidomy (?) tajemniczy mnich to szpieg shoguna, ale również ofiara wielkich prześladowań chrześcijan, jakich dokonywał shogunat już od 1614 r. W dużej mierze do likwidacji chrześcijaństwa w Japonii przyczynili się sami Europejczycy. Mieszanie się do polityki wewnętrznej, intrygi i rywalizacja zakonów doprowadziły do usunięcia wszystkich Europejczyków z Wysp i izolacji Japonii od 1640 r. Okrutnie rozprawiano się z rodzimymi wyznawcami zakazanej wiary. Jednym ze sposobów wykrywania neofitów była fumie — „deptanie" wizerunku krzyża lub obrazu Madonny. Zdemaskowanych palono, grzebano żywcem lub wrzucano do wulkanów Dziewiąty odcinek serialu ukazał ostateczną akcję bakufu przeciw chrześcijanom, którzy w 1637/38 r. wywołali nawet powstanie niezwykle krwawo stłumione przez shogunat.

Japońscy samuraje (bushi) mimo swego okrucieństwa tworzyli ciekawą i oryginalną kulturę. Sam mistrz fechtunku Musashi był jednocześnie miłośnikiem sztuki, znawcą literatury i niezłym malarzem. Inni samuraje także ujawnili swe zamiłowania do piękna i sztuki. Ta zmiana obyczajów w życiu japońskich wojowników, to także wynik przemyślnych i trwałych zarządzeń shoguna Tokugawy. W 1615 r. „Toranaga" wydał dokument Buke-shohatto — „ogólne przepisy" regulujący życie wojowników japońskich. Samurajom zalecono surową wstrzemięźliwość w piciu i rozrywkach; zakazano rozpusty i używania wulgarnych słów, ograniczono także zbytek w ubiorze. Pierwszy z 13 art. jako novum — obok nieustannego ćwiczenia we władaniu bronią i jeździe konnej — nakazywał studiowanie literatury. Czasy pokoju zaprowadzone przez shogunat sprzyjały rozwojowi nowego typu wojownika japońskiego. Wykształcenie i kultura osobista stawały się tak ważne, jak siła fizyczna i umiejętność władania bronią. Japoński wojownik — bushi nie mógł zajmować się żadną pracą fizyczną. Nie przestrzegający tego prawa tracił przywilej noszenia dwóch mieczy, co równało się degradacji klasowej. Samuraj winien być bezgranicznie oddany swemu seniorowi. Wierność wobec pana, miłość synowska, honor, to najwyżej cenione cechy. Gdy samuraj musiał wybierać między honorem własnego nazwiska a lojalnością wobec seniora uciekał się do seppuku — rozcięcia brzucha" (harakiri). Poprzez seppuku japoński wojownik często wyrażał swą gorliwość i przywiązanie do zwierzchnika. Rzeczą normalną dla niejednego samuraja było dokonanie seppuku po śmierci seniora, aby towarzyszyć panu na tamtym świecie. W ósmym odcinku serialu poznaliśmy shoguna Iemitsu (wnuka Ieyasu), którego nauczycielem fechtunku miał zostać Musashi. Gdy Iemitsu zmarł w 1651 r., kilku jego ministrów uznało za obowiązek rozpruć sobie brzuch. Następnie plejada wasali owych dygnitarzy także uroczyście pozbawiła się życia, gdyż nie wypadało im przeżyć swych panów Nie bez przyczyny więc drugim — obok miecza — symbolem bushi był kwiat wiśni Jego opadające płatki symbolizowały, iż w tak naturalny sposób samuraj może oddać życie za swego pana.

Miecz — katana to „dusza samuraja". Wykonany przez mistrzowskiego płatnerza był bardzo drogi. Przekazywano go z pokolenia na pokolenie, jako najcenniejszy skarb. Klingi (69 cm) jednosieczne lekko wygięte wykonywane były od XVI wieku ze stali, która z powodzeniem mogłaby konkurować z dzisiejszą. Różnorodnymi technikami łączono cienkie pasma stali miękkiej na przemian z twardą tworząc w sumie elastyczne i twarde ostrze. Dobry płatnerz dbający o reputację przyjmując zamówienie wykonywał trzy miecze. Spośród nich wybierał dla samuraja najlepszy, po wcześniejszym starannym sprawdzeniu.

W serialu „Musashi" płatnerz chciał dokonać próby nowego miecza na przypadkowym przechodniu, którym okazał się na szczęście sam mistrz fechtunku — Miyamoto. Samuraj sprawdzał nowy miecz na włóczącym się psie, ale zdarzało się, że również na przechodzącym właśnie żebraku. Istnieje mrożący krew acz humorystyczny przekaz, jakoby słynny szermierz japoński, gdy otrzymał nowy miecz, wypróbował jakość stali ciosem nasi-uari — „przecięcie perły" na podpitym wieśniaku. Przecięty od głowy po pachwinę chłop szedł dalej dopóki nie potrącił go tragarz i dopiero wtedy rozpadł się na dwie równe części. Ozdobna garda miecza — tsuba stanowiła często małe arcydzieło sztuki — wykonana z brązu, srebra lub złota, była chlubą płatnerza i posiadacza. Rękojeści mieczy okładano często skórą rekina. Samuraj nigdy nie używał tarczy, nosiła ją tylko piechota. Przed wyruszeniem do walki bushi pieczołowicie sprawdzał swój miecz i pozostały rynsztunek. Dokładnie mył się, czesał, pudrował, perfumował, malował zęby i ubierał się starannie, aby nieprzyjaciel, gdyby uciął mu głowę nie mógł natrząsać się z jego zaniedbania. Samuraje zwykle byli głęboko religijni. Pod zbroję, przed wyruszeniem do boju, wkładali święte wizerunki. Często po wielkich bitwach wstępowali do klasztoru i stawali się buddyjskimi mnichami, aby modlić się za tych, których uśmiercili. Wielu samurajów zgłębiało filozofię zen, która uczyła ich koncentrować się i nie obawiać się śmierci.

W czasach shogunatu Tokugawa nauka, a nawet poważne studia stały się modne wśród możnych samurajów. Sam Ieyasu interesował się nauką i popierał jej rozwój. Zakładał biblioteki i szczególnie dbał o wydawanie nowych książek. Powstało wiele nowych szkół, które oddzielono teraz od klasztorów. Shogun Iemitsu (niedoszły uczeń Musashiego) uczęszczał na wykłady do słynnej szkoły w Edo.

Iemitsu (wnuk Ieyasu) objął władzę w 1623 r., po abdykacji swego ojca Hidetady. Na rzecz tego ostatniego w 1605 r. abdykował Ieyasu. Te rezygnacje i przekazywanie urzędu shoguna synowi nie były dziełem przypadku, to raczej planowa i w sumie udana działalność zmierzająca do stworzenia dynastii.

Iemitsu (wnuk Ieasu) objął ustalił się już (Japończycy zawsze mieli zamiłowania do dynastii nie tylko cesarzy i wodzów, ale nawet artystów i rzemieślników) i rządził sam do śmierci w 1651 r. Był on także ostatnim shogunem, który po nominację udał się osobiście na dwór cesarza do Kioto. Syn Iemitsu — Ietsuna i jego następcy żądali już, aby nominację cesarz przesyłał im do Edo.

Cesarz, nominalny władca pozostał tylko najwyższym kapłanem narodu. Jego synowie byli opatami w świątyniach poświęconych Ieyasu, któremu po śmierci oddawano cześć boską. (Po dziś dzień jedną z najpiękniejszych budowli w Japonii jest tzw. Brama Yomei-on, nie mniej piękniej świątyni Toshogu w Nikko, zbudowanej ku czci Ieyasu). Poza tym cesarz i jego cały dwór zadowalał się tylko dyktowaniem mody i zgodnie z zaleceniem shoguna „we dnie i w nocy" pilnie studiował literaturę klasyczną, historię i poezję.

Ród Tokugawa, który tak precyzyjnie na dwa i pół wieku ustalił tryb życia dworu cesarskiego, wielkich daimyo i ich wasali przez długie lata nie mógł poradzić sobie z najniższą warstwą klasy samurajów — roninami. Występują oni prawie w każdym odcinku serialu „Musashi". Roninowie to bezpańscy samuraje, których nowe rządy shogunatu pozbawiły panów i środków do życia. Tworzyli grupy spiskujących na życie shoguna. Te bunty — praktycznie bez żadnych szans powodzenia — były dla roninów środkiem zemsty lub najczęściej możliwością poniesienia honorowej śmierci. Tworzyli także bandy pospolitych rabusiów czy intrygantów politycznych, których w naszym serialu mistrz Musashi rozgramia w kolejnych odcinkach filmu.

Na drugim szczeblu drabiny społecznej, zaraz po roninach, stali chłopi — 80 proc. społeczeństwa. Ich życie także regulowały precyzyjne przepisy zawierające same obowiązki. Jedyny przywilej to prawo do egzystencji, na co łaskawie zgadzali się samuraje. Trzecia klasa to rzemieślnicy i artyści. Czwartą zaś, pogardzaną ale często bardzo bogatą stanowili kupcy. Inne ale jednakowoż ciekawe i oryginalne życie trzech niższych klas społeczeństwa feudalnej Japonii to jednak już zupełnie inna historia.

ANDRZEJ RYKOWIECKI

Z półki recenzenta

KONSTANTYN WIELKI

Warto odnotować wznowienie interesującej książki profesora Aleksandra Krawczuka pt „Konstantyn Wielki". Autor jest znany szerokiemu ogółowi ze znakomicie prowadzonych audycji telewizyjnych, w których stara się przybliżyć nam kulturę i obyczajowość starożytnych Greków i Rzymian. W książce, o której mowa, opowiada Aleksander Krawczuk o dziejach państwa leżącego w Azji Mniejszej i o jego stolicy Konstantynopolu, ale przede wszystkim skupia uwagę czytającego na władcy i budowniczym — Konstantynie Wielkim, który odegrał tak znaczącą rolę w dziejach Rzymu na przełomie III i IV w. n.e.

Zaletą książki — która podnosi walor czytelniczy — jest zbiór ilustracji.

Aleksander Krawczuk: Konstantyn Wielki. Wiedza Powsz. 1985 r. Str. 260. Cena 220 zł.

BOHATER NA OŚLE

Głośna, ciesząca się dużą popularnością książka Miodraga Bulatoviča „Bohater na ośle" ukazuje się po raz drugi nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

O czym jest ta książka? Jest opowieścią o wojnie, o okupacji Czarnogóry przez wojska Mussoliniego. Ale wojna jest tu przedstawiona nie tylko w krzywym zwierciadle, ale wręcz jakby przeniesiona została do gabinetu śmiechu, choć jest jednocześnie tak okrutna i bezwzględna, tak krwiożercza i bezmyślna.

Gorąco polecam ją tym, którzy jeszcze jej nie czytali, a tym, co znają do ponownej lektury. Warto.

Przekłady Danuty Cirlić-Straszyńskiej.

Miodrag Bulatovič: Bohater na ośle. Wyd. Łódz. 1985. Str. 444. Cena 250 zł.

NOCNA DOROŻKA

W „Bibliotece Jugosłowiańskiej" od lat kontynuowanej przez Wydawnictwo Łódzkie ukazał się zbiór opowiadań Vlady Uroševiča pt.: „Nocna dorożka". Są to — można zaryzykować twierdzenie — opowieści niezwykłe. Ich niezwykłość polega na nakładaniu się różnych wydarzeń dziejących się jednocześnie w różnych czasach. Nagromadzenie niecodziennych sytuacji powoduje, iż w końcu nie ma się pewności czy to, co się przeżywa nie zdarzyło się już kiedyś i czy nie przeżywa się tego samego zdarzenia po raz niewiadomo który, a do tego w różnych czasach, nieraz bardzo od siebie odległych.

Vlada Urošević: Nocna dorożka. Wyd. Łódź, 1985. Str. 200. Cena 80 zł.

MALWY NA LEWADACH

Nie trzeba nikogo przekonywać: ta książka i bez reklamy znajdzie licznych czytelników. Jej autorka dała się poznać z telewizyjnego cyklu poświęconego miłościom ludzi wielkich. „Malwy na lewadach" to właśnie są historie tych miłości i dzieje tych ludzi przedstawione na tle wydarzeń historycznych. Wystarczy wymienić parę nazwisk: Joseph Conrad, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Tadeusz Kościuszko, Henryk Sienkiewicz i tylu innych znanych dziś z podręczników historii powszechnej lub historii literatury.

Lektura to pasjonująca, a spory zestaw ilustracji podnosi jej walory poznawcze.

Maria Wachowicz: Malwy na lewadach. Wyd. RTV. 1985. Str. 560. Cena 380 zł.

NA PSA UROK

Książka dla tych co kochają psy. Ale nie tylko. Bowiem jest to rzecz o przyjaźni, tej wielkiej, jedynej, jakiej często nie znajdujemy w naszym, ludzkim świecie. Istnieje ona natomiast — to znaczy może istnieć — pomiędzy człowiekiem a psem, choć autor twierdzi, że z reguły w takich układach przyjaźń jest zastępowana przez miłość.

O tych i innych sprawach opowiada Andrzej Mandalian na kartach swojej najnowszej książki, którą niniejszym polecam jako lekturę na urlop.

Andrzej Mandalian: Na psa urok. Czytelnik. 1985. Str. 112. Cena 70 zł.

ANIOŁ Z REIMS

Współczesna pisarka węgierska Anna Jókai nie jest obca polskiemu czytelnikowi. Ukazały się bowiem u nas jej dwie powieści „444" oraz „Winien i ma". Obecnie otrzymaliśmy jej „Amora z Reims" — wybór nowel. O czym pisze Anna Jókai? W skrócie należałoby odpowiedzieć tak: zawarte w książce teksty są opisami ludzkiej natury, niejednorodnej, skomplikowanej, choć w gruncie rzeczy szlachetnej, dobrej i życzliwej.

Polecam tę książkę naszym Czytelnikom z nadzieją, iż w trakcie lektury odnajdą zarówno ludzi jak i zdarzenia jakby żywcem przeniesione z ich własnego otoczenia.

Przekład zbiorowy.

Anna Jókai: Anioł z Reims . Wyd. Lit. 1985. Str. 482. Cena 220 zł.

E. I.

„Krwawy realizm”

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Motto: *Dzisiaj nie mamy ani Sienkiewicza, ani Żeromskiego.*

J. Łoziński

O powieści Józefa Łozińskiego „Sceny myśliwskie z Dolnego Śląska” (nawiązującej nie tylko tytułem do głośnego, pokazywanego i u nas, filmu zachodnioniemieckiego „Sceny myśliwskie z Dolnej Bawarii”) poczęły krążyć wieści niemal równocześnie z chwilą postawienia ostatniej kropki przez autora. Ten czy ów, znający z maszynopisu ostatnią powieść pisarza uchodzącego za jeden z diamentów średniej już generacji, puszczał przy okazji redakcyjnych i pozaredakcyjnych dyskusji farbę, jakoby „Sceny myśliwskie z Dolnego Śląska” ratowały oblicze literatury polskiej odsądzanej od czci i wiary za brak kontaktu (nie mówiąc już o więzi) z najnowszymi czasami.

Istotnie, powieść Łozińskiego tkwi głęboko w polskiej współczesności. Jej akcja rozgrywa się późnym latem 1981 roku i w sposób niezwykle gwałtowny, dosadny, a przy tym głęboki i bezkompromisowy (określiłbym go obrazowo jako „krwawy realizm”) odzwierciedla ówczesne polskie nadzieje i niepokoje, namiętności i nieporozumienia. Posługując się słowami autora, można powiedzieć, iż jest to pełna bolesnej ironii rzecz o „fenomenalnej polskiej głupocie, która zawsze zadziwiała Niemcy i Rosję”. Na czym rzeczona głupota polega? Trudno odpowiedzieć jednym zdaniem, niemniej jednak wykładnię Łozińskiego da się ująć następująco. Przede wszystkim fatalną sprawą okazuje się głęboki podział społeczeństwa. Zwykle mówiło się o dwóch stronach barykady — powieść Łozińskiego przedstawia kilka wariantów postaw anno 1981. Fatalna w skutkach okazuje się rozpowszechniona i mvląca mitologia tak zwanego „dobrego Polaka” (na czym ona polega, najdobitniej i najzwięźlej może ujął Norwid). Nie słabnie żywotność merkantylnego stosunku do Ojczyzny, o którym z goryczą pisał Kasprowicz w wierszu „Rzadko na moich wargach”. Józef Łoziński przytacza znany ten wiersz w całości i można chyba sądzić, że zawiera on zupełnie dobre streszczenie „Scen myśliwskich z Dolnego Śląska”. Zwłaszcza fragment, w którym czytamy:

Widziałam, jak między ludźmi
Ten się urządza najtaniej,
Jak poklask zdobywa i rentę,
Kto krzyczy, że żyje dla Niej...

Piotr Zachariasz, jedyny chyba protagonista powieści, kryształowo uczciwy i szlachetny człowiek, po prostu (trawestując znane powiedzenie Prusa o Skrzetuskim) Jezus Chrystus w roli działacza „Solidarności”, wyrolowany z funkcji przewodniczącego zakładowej „Solidarności” przez najzwyklejszych w świecie manipulatorów, tak ujmuje w godzinie swej osobistej klęski podstawowy grzech polskiej głupoty politycznej: „*Czasy mamy okropne, ponieważ robimy w państwie porządek, to wymaga cierpliwości i dalekowzrocznej mądrości, natomiast postępujemy zupełnie na odwrót, jakbyśmy byli ślepi i pozbawieni kompletnie historycznego rozumu (...) Ludzie są naprawdę ślepi i jak barany idą za wołaniem nawiedzonych, nie pojmują tej cholernej nędzy, ckliwych wyobrażeń, że cały świat nas kocha, nie mogę o tym myśleć bez zgrzytania zębami, gdy słupiejemy z dnia na dzień skazani na te puste, antyczne gesty, z których słyniemy w Europie*”. Pocieszający zrozpaczonego syna stary Zachariasz, posiadający nad nim przewagę doświadczenia i perspektywy, twierdzi, że świat nie zaczął się z „Solidarnością”, ani się na niej nie skończy, a życie — z nią czy bez niej — potoczy się dalej.

Otóż żaden z bohaterów powieści Józefa Łozińskiego nie posiada wyobrażeń, jakie to będzie życie. Jakby rok 1981 ustalił raz na zawsze *status quo* — a przecież rzeczywistość owego roku cechował wyjątkowy dynamizm, sytuacja w Polsce zmieniała się z dnia na dzień. Sięgają oni wprawdzie do narodowej przeszłości i jest to odruch prawidłowy, jeśli uwzględnić pogląd, iż wnioski wysnute z historycznych doświadczeń determinować mogą przyszłość. Tyle tylko, że nauki płynące z przeszłości nie wykraczają poza sferę komunałów. I to po obu stronach barykady. Upajanie się przydrożnymi hasłami, schematami, gotowymi formułkami ad usum Delphini świadczy o grzechu narodowej niedojrzałości. Nikt w tej powieści nie potrafi odpowiedzieć na pytanie najważniejsze: — „*jak to jest z nami, Polakami, pomiędzy Rosją a Niemcami, których świat boi się i podziwia, a z nas drze łacha i masakruje wieczną pogardą*”. Jednym marzą się rządy silnej ręki, innym miraże drugiej Japonii i wolna gra sił, zaś chudą polską rzeczywistością anno 1981 rządzi Bóg Pozorów.

Rzeczywistość przedstawiona została w sposób zdecydowanie dychotomiczny. I to nie tylko w sensie podziałów politycznych. Po prostu jako formuła rzeczywistości niepodzielnie panuje w „Scenach myśliwskich z Dolnego Śląska” stylistyka oksymoronu (oto próbki stylu: radosne pożądanie humusu istnienia, poznanie niepozornawalnej tajemnicy, dzięki swojej bezbronności zwycięski, uspołecznienie społeczne do granic bezgranicznych etc.). Nie tyle walka sprzeczności, co próba przetwarzania ich w nową jakość — oto punkt widzenia narratora. Jego wizja świata polega więc nie na eliminowaniu przeciwieństw, lecz na kompromitacji postaw krańcowych poprzez sparaliżowanie języka, jakim się posługują ekstremiści, polega ona na wykazaniu nieprzystawalności kolejnych mitów do polskich realiów późnego lata 1981. We właściwy sobie obcesowy sposób narrator nazywa to „degrengoladą polskich złudzeń”. Mitom najbardziej ponętnym — choć tradycyjnie mrocznym — przydaje jednoznaczną nazwę jaskiń romantyzmu i uzupełnia je o najnowszy mit narodowych rekolekcji jako skutku sierpniowego przesilenia, kiedy to „*człowiek zataczał się i stękał pod naporem ciężkich myśli, naigrawających się z własnej głupoty, mówiących mu, że nie tylko system jest zły, lecz ty, ty także nędzny pariasie, w tobie również tkwi zło wielkie niby góra lodowa, ty pracujesz gorzej od afrykańskiego Murzyna wyciągniętego za gołe jaja z buszu przez cywilizację, bo w tobie nie ma prawdy i sprawiedliwości, a jedynie moralna obłuda i nieustający śpiew doskonałego konformisty*”.

Rzecz charakterystyczna — w powieści Józefa Łozińskiego nie ma w ogóle mowy o kryzysie (a jak pamiętamy, było to najpopularniejsze słówko-wytrych w Polsce początku lat osiemdziesiątych). Jeśli już pojawiają się zbliżone myśli, to sens ich wykracza poza doraźność i to tak zdecydowanie, iż obejmuje aż trzysta ostatnich lat polskich dziejów. Głęboko myli się jednak ten, kto przeczytawszy powyższe — spodziewałby się w powieści historiozoficznych dywagacji, precyzyjnego traktatu czy rozważań o istocie i przymiotach ducha polskiego (jak to czynił na przykład Jarosław Marek Rymkiewicz w swej książce o Wielkim Księciu Konstantym). Nic z tych rzeczy. Reprezentanta „krwawego realizmu” pochłania konkret: mięso rzeczywistości. Poszukiwacz przejawów dziejowego sensu tropi przede wszystkim to, co buty Boskiego Myśliwca wdeptały w szlam i bagno naszej epoki i wszędzie dostrzega maszkarony. Dostrzega ludzi jakby torturowanych przez rzeczywistość, pokręconych, połamanych, ludzi małego formatu, ponurych i drapieżnych. Jeden z bohaterów powieści twierdzi — wyręczając niejako narratora — że wszyscy ludzie to dranie, zaś naturalna historia człowieka realizuje się wyłącznie poprzez egoizm.

Trudno przy tym nazwać Józefa Łozińskiego moralizatorem. Jest on raczej drapieżnym wizjonerem: jego sztukę wizjonerską cechuje bujność, wyrafinowanie, a nawet perwersja. „Sceny myśliwskie z Dolnego Śląska” to utwór z pogranicza pisarstwa rodzajowego i przypowieści. Wizyjność tej prozy często przywodzi na myśl odniesienia do malarstwa. Diaboliczne stwory zaludniające powieść Łozińskiego kojarzyć się mogą ze słynnym obrazem Hieronima Boscha zatytułowanym ironicznie „Ogród rozkoszy”. Gdyby skojarzenie owo było uzasadnione i autor „Scen myśliwskich” zechciał czerpać natchnienie również z obrazów genialnego malarza niderlandzkiego — powinien napisać kontynuację swojej powieści pod wymownym tytułem: „Leczenie głupoty”. Co tylko pozornie zakrawa na żart.

Ukazany przez Łozińskiego świat jest bez wątpienia zdeformowany, ale wahałbym się przed nazwaniem „Scen myśliwskich z Dolnego Śląska” groteską. Deformacja polega tu bowiem na tym, iż na przykład w opisie swych bohaterów eksponuje pisarz zazwyczaj jedną cechę, wyolbrzymia ją, choć nie zawsze będzie to cecha najważniejsza. Chodzi o to, żeby powieściowy obraz świata był wyrazisty, zdecydowany, rubaszny i wulgarny. Bachtinowski karnawał oraz ludowa kultura śmiechu — to pojęcia, które dobrze przystają do twórczości Józefa Łozińskiego. Właśnie owa kultura niska: kult ciała i jego funkcji, zwłaszcza rozrodczych, panuje tu niepodzielnie. Panseksualizm ogarnął wszystkich: młodych i starych. Bohaterowie powieści „*czują bezlitosną samczość swymi nieprzytomnymi ryjami, widzą w wyobraźni cipę, która zagarnia ich i topi w morzu rozkoszy jak ślepe szczenięta*”, myślą oni podbrzuszami, kierują się logiką międzynóża etc. Erotyka pełni w powieści określoną funkcję: uzmysławia, że żywiołem polityki od dawna przestała być ideologia, zaś jej miejsce zajęło to, „*co brudne, nikczemne i podłe, to co słyszysz i widzisz wokół siebie*”. Dziwna, perwersyjna gra toczy się również między wściekle ponętną zawodową opozycjonistką a porucznikiem milicji. Jakby wszelkie napięcia sprowadzały się do napięć erotycznych. W erotyce znajdują bohaterowie powieści zatracenie, przenośne i dosłowne. Oto bowiem zdrada małżeńska doprowadza do podwójnego morderstwa. Ten to wątek kryminalny łączy poszczególne — oderwane — sceny myśliwskie. Poluje każdy. Homo homini lupus est. Rządzi prawo dżungli. Niektórzy nawet nacelowują swoje wektory na Pol Pota. Azja w Polsce.

Język tej powieści jest bełkotliwy, brutalny, ostry. Lecz nie z tego powodu, że alkohol leje się strumieniami. Łoziński odzwierciedla przede wszystkim niepewność, zagubienie bohaterów, ich intelektualną bylejakość. Ćwierćinteligenci obrzucają się wymyślnymi przekleństwami, wśród których najczęściej słychać: „Kawiarniane literaty!”. Obraźliwa ta formuła nie odnosi się wszak do ludzi pióra, dyskwalifikuje ona i okazuje lekceważenie przeciwnikowi wszelkiej maści. Co nie znaczy, że nie znajdziemy w „Scenach myśliwskich” opinii o współczesnej literaturze i jej twórcach. Pomińmy jaskrawe i bolesne sformułowanie, że lepiej w Szwajcarii tłuc kamienie niż być w Polsce pierwszym literatem narodowym, ale zacytujmy smakowity, pełen ekspresji wyraz nieufności wobec fatalnie spełnianych obowiązków twórczych: „*a żesz ty atramenciarzu garbem służalstwa przygwożdżony, przestań ty uczyć ojca dzieci robić, przestań ty się zasłaniać Żeromskim...*”. Na szczęście Łoziński Żeromskim się nie zastawia i pokazuje okrutny, zanarchizowany świat, pokazuje żywioł nie pozwalający przystroić się w zdawkowe formułki, pokazuje narodową kadź, z której sączą się smrodliwe opary.

Jakimś sanktuarium à rebours staje się knajpa ajenta Lisa, gromadząca przedstawicieli zwaśnionych stron. Ajent Lis, jedyny trzeźwy w tym towarzystwie, spełniający funkcję rezonera powieści, zerka na rzeczywistość od strony kuchni. Boć „*w narodowej kuchni obrabia się, ćwiartuje, przerąbuje toporem, płucze flaki, czyści, smaży i gotuje na nieustającym ogniu mitologii państwa*”. Niepozorny i przyziemny gastronomik dobrze wie, ilu to „*zwiędłych kutasów chodzi po polskiej ziemi*”. Im to ku rozwadze nuci melancholijną pieśń przemijania i przestrogi:

Domek mały, chata skąpa
Polska, swoi, własne łzy;
własne brudy, podłość, kłam
znam, zanadto dobrze znam.

Wirujące w knajpie dźwięki „La Cumparsity” nasuwają nieodparte skojarzenie z „Tangiem” Mrożka. Ale Łoziński nie sili się na uogólnienia, na subtelności, wali na odlew, dosadnie opisuje jak „radosny wyjec” ogarnia wszystkich świętujących ucztę zwycięstwa w najmniej odpowiednim po temu momencie: „*Wznosili szklanki i kieliszki i krzycząc do siebie nie słuchali ani samych siebie, ani tych biednych ludzi, którzy bili im brawa*”. Ideał po raz kolejny sięgnął bruku. W końcu nie bez kozery przywoływanym zazwyczaj w dysputach symbolem staje się wiersz Norwida. Jego przejmująca ekspresja wymownie puentuje narodowe rekolekcje.

Powieść Józefa Łozińskiego wstrząsa czytelnikiem. Choć zapewne ten czy ów odłoży ją z niesmakiem z powodu nagromadzenia brutalności i cynizmu. Pisarz nie oszczędza współziomków, nie szczędzi słów ostrych i gorzkich zarazem. Powieść ta wstrząsa nami, lecz nie doznajemy katharis. Ogarnia nas raczej uczucie zażenowania, zawstydzenia. Z niedowierzaniem myślimy: — jak to, tak wyglądamy my, Polacy, naród o tysiącletniej kulturze, położony w sercu Europy?

Jakiż zatem sens pozostaje w naszej pamięci po lekturze „Scen myśliwskich z Dolnego Śląska”? Wyraża go zdanie, które brzmi jak „*nieśmiertelne zdanie z wielkiej powieści:* — „*Wszyscy jesteśmy winni, jak cała Polska długa i szeroka*”. Kropka. Nic dodać, nic ująć.

Nazwałbym powieść Józefa Łozińskiego, pamfletem, gdyby nie to, że napisał ją tinkturą złożoną z krwi, żółci i łez.

PS. „Sceny myśliwskie z Dolnego Śląska” opublikowała „Kultura”, wkrótce ukażą się w wydaniu książkowym w PIW-owskiej serii polskiej prozy współczesnej.

Coś się porypało!

„Sprawa się rypła” — prod. polska.

Scenariusz i reżyseria: Janusz Kidawa.

W roli głównej: Franciszek Pieczka.

Na początku tego roku na łamach „Odgłosów” recenzowałem film Janusza Kidawy pt. „Ultimatum”. Reasumując wówczas moją opinię o tamtym filmie napisałem... „*Chociaż „Ultimatum” na ubiegłorocznym festiwalu w Karlowych Warach uzyskało nagrodę Związku Czechosłowackich Artystów Dramatycznych za reżyserię, nie uważam, aby film ten należał do większych osiągnięć polskiej kinematografii, a wręcz przeciwnie! Całkowicie zgadzam się z opinią wygłaszaną na festiwalu w Gdańsku, na którym to stwierdzono, że jest to pozycja chybiona i nieudana*”...

Dlaczego o tym wspominam: Sprawa jest bardzo prosta! Niedawno „udało” mi się obejrzeć najnowsze „dzieło” Pana Kidawy pod jakże wymownym tytułem „Sprawa się rypła”. Jakże łagodne były moje określenia w stosunku do poprzedniego filmu, że jest to pozycja chybiona i nieudana. Są to wręcz eufemizmy w porównaniu z tym, co cisnęło mi się na usta po wyjściu z kina z tej niby komedii. W życiu zdarzyło mi się tylko parę razy wyjść z kina w trakcie trwania seansu, a motywem takiego mojego postępowania jest nieodparte wrażenie, że może coś się jeszcze wydarzy, może będzie w oglądanym filmie jakaś scena, bodajże jedna, o szczególnym ładunku dramaturgicznym, może interesująca pointa, dobry dialog, dowcip itd. Zawsze na to liczę i to powstrzymuje mnie przed opuszczeniem ciemnej sali kinowej. W przypadku filmu Kidawy „Sprawa...” przed opuszczeniem kina (chociaż miałem na to olbrzymią ochotę już po dziesięciu, piętnastu minutach) powstrzymywał mnie jedynie recenzencki „obowiązek”. Po prostu chciałem zobaczyć jak będą się zachowywać widzowie, czy może oni swym śmiechem, (wszak podobno ma to być komedia) zweryfikują moją opinię. Niestety (dla Pana, Panie reżyserze) głosy z sali potwierdziły tylko moje odczucia. Ktoś najzwyczajniej powiedział... „ale głupi film” i wcale nie było publiczności do śmiechu! Tego rodzaju produkcję filmową można określić jednym słowem — CHAŁTURA, i nic więcej!

Aby nie być gołosłownym i posądzonym o nieprzychylny stosunek do osoby „znakomitego” twórcy filmowego, postaram się udowodnić, że film ten całkowicie zasługuje na to miano.

Kidawa wziął na warsztat sztukę Ryszarda Latki ot. „Tato, Tato, sprawa się rypła”. Parę lat temu sztuka ta dość często była grywana na polskich scenach. Cieszyła się nawet sporym powodzeniem u widzów, chociaż przez krytykę była atakowana za miałkość tematu, za brak jakichkolwiek wartości intelektualnych. Bo chociaż według założeń autora sztuki miała to być komedia, to jednak ten fakt nie zwalnia nikogo przed „poważnym” potraktowaniem tematu, jeśli chce się w formie komediowej przedstawić współczesny obraz chłopstwa. Znacznie lepiej zrobili to autorzy znanej trylogii o Kargulach i Pawlakach, czy chociażby Sławomir Mrożek w „Indyku”. Głównym mankamentem samego tekstu sztuki jest dialog, który sam w sobie ma być śmieszny, a takim wcale nie jest. Dialog jest nadęty, pusty i bez polotu.

Kidawa zbyt łatwo uwierzył w możliwość zbudowania całości filmu w oparciu o dialog. Trzeba pamiętać, że film to sztuka obrazu, a nie ględzenie starych bab na jarmarku!

Tymczasem w „Sprawie...” większość scen rozgrywana jest poprzez dialogi (chociażby ciągłe zapytywanie ojca „...ucys się synu? Ucę Tato. To uc się dalij”). Prawda, że znakomicie autor sztuki i autor opartego na niej scenariusza czują dowcip całej sytuacji.

Film Kidawy miał być chyba (piszę chyba, gdyż oglądając go, do końca, nie można zorientować się, jaki właściwie cel przyświecał reżyserowi, który zdecydował się zekranizować tę w sumie słabą sztukę) satyrą na chłopstwo oraz na epokę lat siedemdziesiątych.

W czym przejawiają się te dwa elementy w filmie? Otóż mamy tu przykład dwóch sąsiadujących ze sobą rodzin chłopskich: Placków i Kadelów. Stary Placek mieszka wraz z rodziną w domu, który praktycznie nie jest używany. Całe piętro stoi nie zamieszkałe, choć zgromadzono w nim drogie przedmioty: telewizor, lodówki, meble. Placek nie pozwala nikomu korzystać z tych przedmiotów. Liczy się dla niego fakt samego posiadania. On musi to mieć, bo on jest gospodarz i jak na gospodarza przystało, wieś musi widzieć, że dobrze mu się powodzi. Czyli wniosek taki: że... chłop żywemu nie przepuści... Nie jest to zbyt odkrywcze twierdzenie. Zdaje się, że już niejeden do takiego wniosku doszedł analizując postawy (nieomal atawistyczne) chłopstwa. Zresztą sąsiad Placka w gruncie rzeczy także jest taki sam, chociaż niby reprezentuje on postać chłopa wyzwolonego z kompleksów i przesądów, który nawet pisze pamiętniki. Zestawienie tych dwóch modeli życia: jednego opartego na starych tradycjach i drugiego, tego wyzwolonego, okazało się zbyt mało nośne do ratowania tego filmu. Zbyt mało jest komizmu wynikającego z takiego właśnie zestawienia, a przecież można było spietrzyć sytuacje pomiędzy dwoma rodzinami, nie narażając się na zarzut kopiowania pomysłów z filmów Chęcińskiego. Być może dlatego Kidawa czyni z Kadeli wiejskiego nuworysza o ambicjach intelektualnych, chcąc w ten sposób podkreślić odchodzenie od starych tradycji na rzecz nowobogackiego stylu życia.

Tak więc skoro satyra na chłopstwo okazała się być w filmie niewypałem, to może satyra na lata siedemdziesiąte, na epokę Gierka wypadła nieco lepiej?

Należy podziwiać odwagę reżysera, jego prześmiewczy ton, gdy pokazuje nam puszczenie w ruch administracyjnej machiny z okazji setnych urodzin babci Plackowej (niech jej ziemia lekką będzie!) Prowincjonalni prominenci stają na głowie, aby godnie się zaprezentować podczas wspaniałej uroczystości. Wiadomo, przecież będzie TV i prasa! Oczywiście i oni tzn. miejscowe władze nie są bez grzeszków i słabości, ale któż z nas ich nie ma, przecież chcieli, aby wyszło dobrze! Wszystko to już znamy, Panie reżyserze, łącznie z pożyczaniem krów od sąsiednich gospodarzy przy tworzeniu stada wzorcowego, ale w końcu co za różnica, czy pożyczamy krowy, czy też przebieramy starego górala za starą góralkę. Dobrze, że chociaż on się zbuntował.

Jakże przyjemnie było zobaczyć na filmie jak młodzież w czynie społecznym rozbiera starą ruderę, na miejscu której miała stanąć nowa obora. Jakże radośnie powiewał na wietrze transparent z napisem „Polak potrafi” (Oj! Potrafi) podczas uroczystości. Jak przyjemnie było ujrzeć w TV uradowane twarze budowniczych portu Północnego. Wprost łza się w oku kręci! Serdeczne dzięki za to!

Reżyser Kidawa chce być autentyczny, to nie ulega wątpliwości i dlatego angażuje do większych ról (poza odtwórcą roli głównej — Franciszkiem Pieczką) aktorów niezawodowych. Lecz nawet to nie pomogło. Pomysł, który miał dodać walorów autentyczności także okazał się chybiony. Aktorzy niezawodowi, no może poza karzełkiem, który wnosi nieco radości w ten „ponury” film snują się po planie, bełkocąc pod nosem swoje kwestie, a żeby jeszcze spotęgować autentyzm, w warstwie dźwiękowej, od czasu do czasu, słychać góralskie przyśpiewki, a wszystko to na tle przeuroczych landaszftów.

Aż żal było obserwować poczynania tak dobrego aktora, jakim jest Pieczka, który (takie odniosłem wrażenie) potwornie męczył się kreując rolę Placka.

Na ubiegłorocznym festiwalu w Gdańsku Kidawa zaprezentował obok „Ultimatum” film bodajże pod tytułem „Tak mi lekko”. Była to historia oparta o modne ostatnio metody leczenia poprzez bioprądy. Już ten obraz wraz z „Ultimatum” pokazał, że J. Kidawa wyrasta na czołowego reżysera naszej kinematografii, reżysera, który robi jeden film za drugim, tylko nie bardzo wiadomo dla kogo takie dzieła mają być przeznaczone, bo nawet mało wybredny widz szybko zorientuje się, że jest nabijany w butelkę.

Czas aby „pośpieszny pociąg” do twórczości Kidawy nieco przyhamował! Przecież Kidawa zrobił kilka lat temu zupełnie dobry film o grzesznym żywocie Franciszka Buły.

Oj! Chyba coś się porypało w Pańskiej twórczości, Panie reżyserze!

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

KONFERANSJERZY

Od lat są z nimi kłopoty, od lat nie sprawdzają się na tej wielkiej estradzie. Irena Dziedzić i Lucjan Kydryński pozostają wciąż niezastąpieni. W tym roku wymyślono jako prezentera Marka Niedźwiedzkiego, dobrze radzącego sobie w radiu, niestety nie po raz pierwszy nie sprawdzającego się na estradzie, bojącego się jej i wyraźnie źle czującego się w bezpośrednim kontakcie z publicznością. Ukryty na swoim stanowisku przy prawej kulisie nie przeszkadzał nikomu, ale też niczym nie wyróżniał się i wyraźnie ustępował Jackowi Bromskiemu, który to samo robił z wdziękiem, bardziej osobiście, na luzie i bez widocznej tremy. Krzysztof Materna, dyrektor artystyczny warszawskich ZPR-ów, drugi reżyser festiwalu występował w roli gospodarza Z natury pewny siebie, z dość ciętym i osobliwym dowcipem i sporą dozą przebiegłej inteligencji potrafił zapanować nad 5—6-tysięczną publicznością w amfiteatrze, ale nie wszystkim podobał się jako osobowość estradowa. Na jednej z prób zwierzył mi się, że miał pomysł na zaproszenie w charakterze swoich partnerek najpiękniejszych gwiazd polskiego kina. Ale... Grażyna Szapołowska odmówiła, wychodząc z założenia, że nie będzie się pokazywała na jakimś tam festiwalu piosenki w charakterze ozdoby, nawet za duże pieniądze, Dorota Kamińska zajęta była pracą w teatrze, Dorota Kwiatkowska wyjechała do Londynu, Maria Probosz z uwagi na rolę w filmie o obozie w Oświęcimiu ścięła włosy na zapałkę (co okazało się zbyt późno nieprawdą) a Katarzyna Figura, gwiazda jutra, ale za to z największym biustem wśród młodych aktorek, nie została zwolniona z teatru przez złośliwość swego dyrektora. W ostatniej chwili przydzielono Maternie spikerkę TVP Bogumiłę Wander, wciąż śliczną na ekranie, ale zupełnie nie czującą estrady, a szczególnie tak wielkiej jak sopocka. Wander była najbardziej zagubioną i stremowaną osobą na festiwalu, mimo telewizyjnego uśmiechu, który był jej jedynym atutem.

SCENOGRAFIA

W telewizji zielone krzaczki, trawki, kwiatki wyglądały ładnie i dobrze komponowały się z naturalną, przepiękną scenerią Opery Leśnej, ale w bezpośrednim kontakcie na miejscu wraz z licznymi świecidełkami (w kolorze pomarańczowo-zielonym) upodabniały się do szeregowej dekoracji festynu w parku lub łódzkim amfiteatrze. I jeszcze te reklamy Pewexu, LOT, Orbisu, TOYOTA czy papierosów KIM, to uparcie przypominało, że jednak jesteśmy zaściankiem, który za wszelką cenę chce się wyrwać dalej, wyżej, szerzej, a jakoś nie może...

ZAŚCIANEK CZY OKNO NA ŚWIAT?

No właśnie — jaki ma być „SOPOT"? Czy wielką, ale lokalną imprezą estradową na polskim Wybrzeżu (choć z nazwą Międzynarodowy Festiwal Piosenki) czy liczącą się w Europie wielką imprezą piosenkarską (z dawną nazwą Festiwal Interwizji w Sopocie)? Czy jego żywot to tylko 4 dni w sierpniu, miesiąc, może dwa, jeden sezon czy dłużej? Dlaczego do dziś pamięta się niektóre gwiazdy dawnych festiwali, a nie pamięta wykonawców z ubiegłego roku?

Jaką promocję może zapewnić nasz festiwal młodym zagranicznym piosenkarzom, a nawet i gwiazdom, które niby już jej nie potrzebują?

Jaką politykę prowadzi PAGART w zakresie zakupu gwiazd na sopocki festiwal? Kto i co decyduje o tym, że przyjeżdża ta a nie inna gwiazda? Czy rzeczywiście musi tym rządzić zwykły przypadek?

Co z regulaminem konkursu, który w paru punktach okazał się nieprecyzyjny? W tym roku tłumacz nie przetłumaczył bardzo istotnego akapitu, który szerzej informowałby jurorów i piosenkarzy na jaki festiwal przyjeżdżają i jakie piosenki są tu oczekiwane? Kto ma wgląd w rzeczywiste kompetencje jurorów, z których większość została zaproszona na zasadzie przypadku? Wylansowanie piosenki za granicą kosztuje ok. 150 tysięcy dolarów, na co nas nie stać, więc jak lansować polską piosenkę? Dlaczego do Sopotu wciąż przyjeżdżają piosenkarze drugiego, trzeciego sortu, których często mało kto zna we własnym kraju? Dlaczego organizatorzy na 1—2 miesiące przed rozpoczęciem festiwalu zaczynają ożywać i coś robić, choć przysięgają, że działają przez cały rok? Liczący się piosenkarze i zagraniczni dziennikarze muszą wiedzieć o terminie festiwalu co najmniej z rocznym wyprzedzeniem, a nie wiedzą? Dlaczego wciąż nie ma dokładnie i precyzyjnie opracowanej koncepcji festiwalu?

Wszyscy wiedzą, że nie jesteśmy potęgą w show biznesie i nie liczymy się na światowym rynku muzyki rozrywkowej, ale czy musimy dlatego wciąż improwizować i udawać, że robimy największy festiwal w Europie wschodniej, skoro wtajemniczeni i tak wiedzą, że „Sopot" to trzeciorzędny festiwal piosenki, z którym nikt się poważnie nie liczy i który niczego nie może zaoferować poza kryształowym wazonem lub dyplomem z brokatowym nadrukiem „International Song Festival". Polskie złotówki nawet w kilkusettysięcznych kwotach przy podziale na cztery osoby też są symboliczną nagrodą.

NA SOPOCKIEJ ESTRADZIE...

A tymczasem na sopockiej estradzie wielki szpan, pozornie bogate toalety za grosik, migające zbyt przeraźliwie światełka, oślepiające reflektory dachowe, ekran na którym nic nie widać i tuż przed tą paletą ułudy i blichtru — twarde ławki, przypominające w trzeciej godzinie nasiadówki — gdzie naprawdę jesteśmy i że nie należy sobie zbyt wiele obiecywać.

Zespół „Herrey's" ze Szwecji — zdobywcy „Grand Prix Sopot '85".

BOHDAN GADOMSKI

Smutny Sopot (2)

COŚ W RODZAJU RAPORTU

„DZIEŃ PIERWSZY — GRAND PRIX"

Czołówka filmowa.
Sygnał Festiwalu „SOPOT—85".
Wyjście konferansjerów: Bogumiły Wander i Krzysztofa Materny.

KRYSTYNA GIŻOWSKA (Polska) śpiewa „Blue Box", piosenkę, którą wygrała ubiegłoroczny festiwal i premierową „Przeżyłam z tobą tyle lat". Ładnie, grzecznie, kulturalnie, z bardzo dobrze prowadzonym głosem. Tylko dlaczego w czerni — pytam piosenkarkę tuż po występie? — Bo w tym roku jest moda na czerń.

Przedstawienie jury, któremu przewodniczy w tym roku znany publicysta muzyczny Roman Waschko z racji naszych dawnych znajomości spotykam się z panem Waschko codziennie w jego apartamencie na wspólnym omawianiu kto, co, jak, dlaczego. Wśród tegorocznych gości wydaje mi się największym autorytetem.

Marek Niedźwiedzki kryje się za prezenterskim stołem i rozpoczyna się KONKURS — CZĘŚĆ PIERWSZA.

MARCELINA z Węgier śpiewa: „Serce z lodu" i „Ty jesteś gwiazdą". Śpiewa poprawnie, muzykalnie, bez żadnego wrażenia artystycznego. Karierę piosenkarki rozpoczęła w 1972 roku jako bardzo młoda dziewczyna uczestnicząc w telewizyjnym konkursie „Kto wie, kto wie"... Piosenka „Ty jesteś gwiazdą" utrzymywała się miesiącami na liście przebojów. W Sopocie przebój Marceliny Babits przechodzi nie zauważony.

HANS VERMUELEN z Holandii śpiewa: „Ja znam tylko moje imię" i „Oczy Jenny", gra na fortepianie, gitarze, ma świetny głos, potrafi nim operować w sposób bardzo nowoczesny i ciekawy, tylko te fatalne warunki zewnętrzne. Pewnie dlatego został producentem płyt wielu innych piosenkarzy, w tym żony Diany Marchal, która nie dojechała do Sopotu.

MAYUMI ICHIHARA z Japonii śpiewa: „Tańcząc całą noc" i „Motyl na deszczu". Tak zjawiskowego motyla wśród śpiewających dziewcząt dawno nie widziałem. Nie dziwię się, że Mayumi była modelką i zwyciężyła w konkursie TBS na „Nową Śpiewającą Królową". Jestem oczarowany!

KAROL KONARIK z Czechosłowacji śpiewa: „Auto i my" oraz „Mój syn". Śpiewa tak jak się to robiło 15 lat temu.

CLAIRE HAMILL z Wielkiej Brytanii śpiewa: „Księżyc jest wszechmocnym kochankiem" i „24 godziny od Tulsy". Dynamiczna choć filigranowa, znana z tego, że w przeszłości lubiła żyć szybko i niebezpiecznie. Na scenie jest więc taka a nie inna, wzbudzająca sympatię i antypatię, choć słychać, że potrafi śpiewać.

XIOMARA LAUGART z Kuby, śpiewa: „Nie jestem tym o czym marzyłeś" i „Jak dzwon". Czarna Kubanka ma rzeczywiście głos jak dzwon, 24 lata i dopiero rozpoczyna karierę, ale nie wyglądała na debiutantkę.

„ICE BAND" ze Szwecji wraz z wokalistą JERZYM GRUNWALDEM prezentują: „Ucisz swe serce dziś wieczorem" i „Czy nie wiesz". Ktoś z publiczności krzyczy: „Jurek śpiewaj po polsku", ale Grunwald udaje Szweda i nikt nie ma na to wpływu.

Wyjście konferansjerów i zapowiedź pierwszej gwiazdy „Sopot — 85": „BOBBYSOCKS" czyli dwie urocze, znakomicie śpiewające i ruszające się dziewczyny (Norweżka i Dunka), które wygrały tegoroczny Festiwal Eurowizji. Bardzo się podobają, rośnie temperatura na widowni, bledną wykonawcy z konkursu...

Po przerwie gra „ALEX BAND" i konferansjerzy zapraszają na drugą część konkursu.

DANA GILLESPIE z Austrii śpiewa: „To należy do mnie" i „Wybuch, eksplozja" (własne kompozycje). Naprawdę nazywa się Richenda Antinetta von Winterstein, śpiewa pop, bluesa, gra w filmie, w musicalach, reżyseruje, komponuje, mieszka częściowo w Londynie, częściowo w Wiedniu. Od końca lat 60 objeżdża świat. W słynnym musicalu „Jesus Christ Superstar" grała Marię Magdalenę, co dało jej pewną pozycję, nie tylko w Anglii. Jedna z nielicznych piosenkarek konkursu, która ma nazwisko, dorobek i w show biznesie czuje się świetnie, ale w Sopocie postawiono na znacznie młodsze piosenkarki.

KATRIN LINDER z NRD śpiewa: „Przyjdź" i „Wszystko co ma skrzydła, lata", zaczynała jako amatorka i coś jej do dziś z tego pozostało.

ANNA JURKSZTOWICZ z Polski śpiewa: „To obojętność" i „Diamentowy kolczyk". Publiczność i fachowcy uznają jej występ za mocno przedwczesny, mniej promocyjny, bardziej krzywdzący młodą piosenkarkę ze Szczecina. Stawiam jej „2" i piszę „nieporozumienie".

PAUL MONTE ze Szwajcarii śpiewa: „Ręka w rękę" i „Daj światu małą szansę". Uprawia śpiew, pływanie, biegi i turystykę. Tylko dlaczego zdecydował się śpiewać zawodowo?

KATIA SURŻIKOWA z ZSRR śpiewa: „Radujsia" i „Kukła", widać świetne przygotowanie i profesjonalizm. Pochodzi z rodziny artystów-muzyków, ojciec Iwan Surżikow jest znanym radzieckim piosenkarzem. Katia po ukończeniu szkoły muzycznej zrobiła dyplom reżysera teatralnego, co widać w jej aktorskim opracowaniu piosenki. Bardzo się podobała.

KAIJA KOO z Finlandii śpiewa: „Złamałeś mi serce" i „Zbudź mnie przed wyjściem". Do tej pory bardziej chórzystka niż piosenkarka, ale za to jaka sprytna, bo wybrała sobie super hit światowy z repertuaru George Michaela i choć śpiewa go przeciętnie, uzyskuje huragany braw, nie dla siebie, dla znakomitej piosenki.

Wyjście konferansjerów i zapowiedź drugiej gwiazdy festiwalu — „CLASSIX NOUVEAUX" i SALA SOLO. Zachwycałem się tym piosenkarzem dwa lata temu, gdy był świeżym i oryginalnym odkryciem na polskim rynku muzyczno-estradowym. Teraz widzę jego zastój wokalny, ruchowy, brak pomysłów na siebie na estradzie. A jeżeli dodam prawie zupełną niesłyszalność z uwagi na użycie własnego mikrofonu (bez kabla), to ocenić występ Sala Solo w Sopocie mogę tylko połowicznie.

„DZIEŃ DRUGI — GRAND PRIX" — CZĘŚĆ DRUGA KONCERTU".

Rozpoczyna kolejna gwiazda — MIROSŁAW ŻBIRKA z Czechosłowacji, po którego występie wszyscy się dziwią dlaczego on udaje tu gwiazdę, a może mu kazano?

Konkurs rozpoczyna BAYZO z Malty, śpiewa: „Muzyko, muzyko" i „Tbissim Sliem". Naprawdę nazywa się Anthony Camilleri, ma 38 lat, gra na gitarze basowej, ma duży, męski głos i spore umiejętności wokalne. Podoba się na różnych festiwalach piosenki, ale nagród nie zdobywa, w Sopocie również.

„COINCIDENCE" z Belgii śpiewa: „Pole bitwy" i „Rzuć jeszcze jednego centa". Pięć indywidualności, które podobno nie chciały założyć jeszcze jednej grupy. Po ich występie powiało profesjonalizmem wysokiej próby.

DOROTA z RFN (rodem z Grudziądza) śpiewa: „Przed bramą czarów" i „Baśń". Po jej występie wszyscy się dziwią co ona robi na tym festiwalu, kto ją zaprosił i kto to jest ten Dawid Witold Trzórz, który skomponował obie piosenki?

IRON HORSE z USA, śpiewają: „Gdy cię opuściłem, zostałem z bluesem" i „Moja mama nigdy mi nie powiedziała o mnie". Razem grają od 2 lat, poszukując nowego i oryginalnego brzmienia poprzez połączenie tradycyjnego amerykańskiego stylu country z muzyką pop i rockiem. Ale chyba pomylili festiwale: Mrągowo z Sopotem, co odbiło się niekorzystnie na ich występie.

MARCELA KRALOVA z Czechosłowacji śpiewa: „Skrzydła szczęścia" i „Daj nam żyć", typowe piosenki festiwalowe, piosenkarka wszechstronnie przygotowana do zawodu, ze świetnym, mocnym głosem, którym potrafi operować. W Polsce mało znana do tej pory, ale za to teraz od najlepszej strony.

„HERREY'S" ze Szwecji śpiewają: „Diggi Loo Diggi Laj", czyli pierwszą szwedzką piosenkę, która wygrała Festiwal Eurowizji w Luksemburgu i robią furorę! Na sukcesy pracowali 12 lat w szkołach artystycznych m.in. Hollywoodu, gdzie obecnie mieszka cała rodzina. Trzej bracia (18, 20, 27 lat) mają cztery siostry i ojca — menażera. Ich koncerty biją rekordy powodzenia. Do Polski przyjechali przed koncertem promocyjnym w Moskwie. Dają mini show, a w nim pokaz wszystkiego czego tak brakuje naszym piosenkarzom. Jest na co popatrzeć! Wspaniali!

CORNELIA POP z Rumunii śpiewa: „Planetę" „To samo marzenie", śpiewa ładnie, ale niczym się nie wyróżnia z fali podobnych, przeciętnych piosenkarek bez osobowości.

„DOMINO" z Bułgarii śpiewają: „Moja miłość" i „Gdy wszyscy święci idą do nieba", robią to świetnie od strony wokalnej, gorzej ruchowo, bo tradycyjnie, ale za to brzmią w Operze Leśnej jak wielki chór i robi to na wszystkich duże wrażenie.

JACQUI z Irlandii śpiewa: „Dublin w dziwnych czasach" i „Żyjąc w tych trudnych czasach", jest niepewna samej siebie i kurczowo trzyma się krzesła na którym siedzi. Antypiosenkarka z wciąż egzotycznej dla nas Irlandii.

„LOMBARD" z Polski śpiewa: „Mam dość" i „Stan gotowości", jaka szkoda, że muzycy z tej dobrej grupy rockowej tak bardzo schamieli, ich słownictwo jest rynsztokowe, a zachowanie... Przypadkowo słyszałem w holu „Mariny" Oni i Małgorzata Ostrowska poszli wokalnie i muzycznie nieco do przodu, ale od strony ruchowej zastój, wciąż te same ruchy i kroki drapieżnej solistki w stroju kosmonauty, a to równie ważne i punktowane na wielkiej estradzie, gdzie wszystko dokładnie widać i niczego nie ukryje się przy ciemnoczerwonym oświetleniu.

Wyjście konferansjerów i zapowiedź supergwiazdy festiwalu — SHIRLEY BASSEY.

Moja wytrzymałość nerwowa osiągnęła punkt kulminacyjny, ale nie mdleję, nie krzyczę i nie wstaję, aby w ten sposób powitać boską Shirley. Może dlatego że pada deszcz, wieje wiatr, i przed estradą kotłuje się tłum ludzi, z którymi w bezceremonialny sposób rozprawiają się goryle (z Wybrzeża) przydzieleni Shirley Bassey do osobistej ochrony. Tylko, że gwiazdy nikt nie atakuje, nie rzuca się pod koła Mercedesa i nie odwiedza (oprócz mnie i Henryka Debicha) w apartamencie „Grand Hotelu"... Więc po co to wszystko?

Murzynki, Mulatki starzeją się szybciej niż białe kobiety, Shirley Bassey choć jest fenomenem wokalnym ostatniego stulecia, to jednak w tym przypadku nie stanowi wyjątku. Ci, którzy widzieli ją z bliska mówią brutalnie „babcia". Ale „babcia Bassey" stara się robić wszystko, żeby podtrzymać swój mit nie tylko rewelacyjnie śpiewającej, ale i wyjątkowo pięknej kobiety. Wspaniała figura, purpurowo-złocista suknia, czarne boa, płaszcz z łabędziego puchu i oto... przenosimy się do rewii „Cassino de Paris" w Las Vegas. Aby po chwili zejść z obłoków i zauważyć, że jesteśmy w lesie, pod plastykowym dachem, na powietrzu. Leje deszcz, ludzie wiercą się na wyjątkowo twardych ławkach i zdumieni patrzą na czekoladowo-złocistą Lady z Wielkiej Brytanii jak na zjawisko z innej planety. Ona zresztą też, jest przy tym chłodna i zła, bo pogoda fatalna, a Bassey ma swoje gwiazdorskie fumy, umiejętnie podsycane przez menażera. Szybko wyczuwa, że ma przed sobą publiczność, która jest niegodna tego, żeby ją oglądać i warunki też jakieś dziwne? Gdzie ona jest, co ona tu właściwie robi? Ale to tylko 9 utworów z kontraktu, wytrzyma, zresztą może swój występ skrócić, jeżeli ktoś poruszy się nie tak jak trzeba...

Jest zbyt elegancka, zbyt rewiowa, zbyt wyrafinowana wokalnie, ruchowo, zbyt rytynowana, a przez to zimna jak lód. Między Bassey a sopocką publicznością pojawia się niewidoczna szyba, której podniesienia bacznie strzegą goryle z jej ochrony i menażer. Śpiewa w głębi sceny, tuż przy orkiestrze, którą jest oczarowana, zapominając, że będzie mniej słyszalna i nawet zagłuszana. Ale nie zwraca na to uwagi, kłaniają się „Alex Bandowi" głęboko i chyba dla nich śpiewa. Wspaniały, ciemny, niski głos. Osłuchane, ośpiewane, stare przeboje światowe, opracowane do perfekcji także od strony ruchowej. Zdumiewa swoim głosem, który jednak nieco się obniżył i stracił blask w najwyższych rejestrach, ale usprawiedliwia to fakt, że śpiewa nim na full od 30 lat! Mimo wszystko światowa klasa piosenkarska. Marek Probosz, który na sopocki występ Shirley Bassey przyleciał z Pragi, gdzie kręci najnowszy film mówi: *Słuchając Bassey słyszałem głos umierającej autostrady i pomyślałem — kąp się, kąp, peryferyjny brudzie spalin, żałośnie kabaretowa kurwo, właścicielko hoteli — Europo. A Europa znana jest z tego, że lubi złoto i tragedie. Ten głos jest wspaniały, ale zużyty, ona śpiewa jakby z taśmy a nie na żywo, który już zresztą raz — tysięczny? Wie z góry co będzie robić za chwilę, jak podniesie rękę, jak się odwróci, gdzie spojrzy. Straszna, zabijająca artyzm, rutyna. Jej występ wspominam jak zachodzące słońce".*

Shirley Bassey schodzi z estrady dość nieoczekiwanie jeszcze przed ostatnią piosenką. Powody są bliżej nieznane. Nie dostaje kwiatów, i choć publiczność wciąż bije brawa, Bassey nie wychodzi, oklaski są zbyt anemiczne, podczas gdy jej występy kończą zwykle stojące owacje.

Roman Waschko mówi: *„To piosenkarka nie na nasz skromny festiwal, bez odpowiedniego jej randze wyjścia i zejścia z estrady. Widziałem ją przed kilkunastu laty na MIDEM w Cannes, była rewelacyjna, publiczność po jej występie wstała i przez pół godziny biła brawo!".*

Po Shirley Bassey pozostanie nam tylko kaseta i telewizyjny zapis jej dziwnego występu. Może naprawdę nie jesteśmy jeszcze przygotowani na spotkanie na żywo z tak wielkimi gwiazdami i zastanawiam się co by było, gdyby przyjechała do nas największa konkurentka Shirley Bassey — Barbra Streisand?

DZIEŃ TRZECI — DZIEŃ POLSKI

Rozpoczyna – ANNE VESKI z ZSRR, śpiewając kilka piosenek z których najbardziej podoba się „Polka idolka". Sympatyczna, dobra wokalnie, muzycznie Veski chyba jednak za dużo koncertowała przez miniony rok bo nie poczyniła żadnych postępów od ubiegłego festiwalu, szkoda, bo to dobra piosenkarka, którą na to stać.

KONKURS — I CZĘŚĆ

Paul Monte śpiewa „Hi-fi" prawie tak jak Wanda i Banda.

Marcela Kralova wybrała „Remedium" i śpiewa po angielsku. Udało się jej nadać tej bardzo znanej piosence nowy wyraz artystyczny i to stanowi o jej wielkim sukcesie.

Bayzo wybrał piosenkę „Muzyka twoje imię ma" nie przypuszczając, że znajdą się konkurenci, którzy zaśpiewają ją trochę lepiej.

„Ice Band" wraz z Jerzym Grunwaldem zdecydowali się na „Magdalenę", smętną piosenkę naszych „Voxów" i przegrali.

Katrin Lindner śpiewała „Gołębi song", wokalnie poprawnie, ale i tak wszyscy wspominali jak to robi Maryla Rodowicz.

Kaija Koo znowu strzeliła w dziesiątkę, tym razem przebojem „Lady Pank" — „Mniej niż zero" i publiczność szalała, kołysząc się jak za najlepszych czasów. Balony i maskotki też poszły w górę.

„Coincidence" śpiewali „Wielki mały człowiek" wokalnie lepiej od „Dwa plus jeden".

Jacqui porwała się na „Blue Box", laureatkę Grand Prix „Sopot'84", co w tym przypadku nie miało żadnego znaczenia i nie uratowało niepowodzenia tej piosenkarki.

Iron Horse nie wiadomo po co zaśpiewali „Muzyka twoje imię ma", a przecież mamy tyle ładnych countrowych piosenek, odpowiednich dla tej grupy?

Domino błysnęli „Dziwnym światem" Niemena i to tak mocno, że dostali dwie nagrody!

KONKURS — II CZĘŚĆ

„Herrey's" wybrali piosenkę Zdzisławy Sośnickiej „Uczymy się żyć", a mogli coś bardziej odpowiedniego na trzy męskie (chłopięce) głosy i ich notowanie byłoby na pewno wyższe.

Katia Surżikowa zaśpiewała „Papierowy men", udowadniając, że w Kraju Rad można śpiewać tak nowocześnie jak Majka Jeżowska w Polsce (po dwóch latach nauki w USA).

Hans Vermuelen śpiewał „W drodze do Fontainbleau" i znowu bardzo się podobał.

Cornelia Pop trafiła idealnie w specyficzne gusty sopockiej publiczności decydując się na przebój nocnych lokali „Jak się masz kochanie". Szał absolutny!

Karol Konarik zaśpiewał „Noc" i nikt nie odgadł, kto śpiewa tę piosenkę w Polsce.

Claire Hamill sięgnęła po „Muzykę, która twoje imię ma", nie przypuszczając, że tuż po niej Węgierka zaśpiewa znacznie lepiej.

Xiomara Laugart śpiewała „Wielki mały człowiek" i potwierdziła, że ma głos, tylko, że to nie wystarcza, aby zaistnieć na estradzie.

Dorota śpiewała „W drodze do Fontainbleau", wszyscy się zdenerwowali, że po niemiecku jeżeli przyznała się do swego polskiego pochodzenia.

Marcelina po raz ostatni na festiwalu przypomniała utwór „Muzyka twoje imię ma", w której pokazała nie tylko dobry głos, ale i umiejętności gry na saksofonie.

Diana Gillespie zaśpiewała „Beatelmania story" i nie zrobiła wrażenia, choć oczekiwano po niej wiele.

Mayumi Ichihara wybrała przebój Zdzisławy Sośnickiej „Deszczowy wielbiciel", ale wbrew tytułowi wszystkim zrobiło się raźniej, weselej, pogodniej.

Łączenie ze studiem festiwalowym w Warszawie, a następnie z telewizyjnymi ośrodkami kilku największych miast kraju i wybór najlepszych wykonawców polskiej piosenki w ocenie polskich telewidzów i lokalnych jurorów.

I nagroda przypadła grupie DOMINO z Bułgarii za piosenkę „Dziwny jest ten świat" — 27 punktów.

II nagroda dla zespołu „Herrey's" ze Szwecji za piosenkę „Uczymy się żyć" — 19 punktów.

III nagroda dla Mayumi Ichihara z Japonii za piosenkę „Deszczowy wielbiciel" — 8 punktów.

Po prezentacji nagrodzonej piosenki — zapowiedź gwiazdy trzeciego dnia festiwalu, czyli polskiej super grupy rockowej „LADY PANK".

Już na rannej próbie zauważyłem pewną stagnację muzyczną, wokalną, ruchową u „Lady Pank", a przecież tu należy przykładać najwyższe kryteria, skoro to nasz najlepszy zespół rockowy, także w eksporcie.

Rano w pierwszym rzędzie siedziały rozgorączkowane nastolatki w bluzeczkach z napisem „Lady Pank" i robiły swoją próbę dopingową przed wieczornym koncertem. Sam koncert nie był specjalnie udany. Utwory w większości aż nadto dobrze znane, zaśpiewane przez Janusza Panasewicza w tej samej manierze i przy tym samym układzie ruchowym co na początku kariery. Program zbyt długi i w sumie bardziej męczący niż relaksujący publiczność, która zaczęła wychodzić już po kilku pierwszych piosenkach, nie tylko dlatego, że była późna pora i elektryczna kolejka kończyła swój bieg. Nastolatki umieszczone przez menażera zespołu w lewym rogu amfiteatru przy scenie, robiły zgodnie z instrukcją wszystko, aby udowodnić starym wapniakom — kogo mają przed sobą na scenie. Krzyczały, piszczały, wyły, tupały i przede wszystkim klaskały, dzielnie wymachując transparentem ale mimo to ginęły na tle kilkutysięcznej widowni, która nie chciała podzielić ich entuzjazmu i milczała, coraz to większymi grupkami opuszczając Operę Leśną.

DZIEŃ CZWARTY — KONCERT GALOWY

Rozpoczęła go grupa wokalna „VOCALIS" z NRD, do tej pory towarzysząca jako chórek innym wykonawcom. I słusznie, bo samodzielnie nie miała zbyt dużo do powiedzenia, przynajmniej w przedstawionym repertuarze.

Ogłoszenie werdyktu jury i koncert laureatów.

Międzynarodowe Jury przyznało GRAND PRIX SOPOT '85 utworowi „Summer party" w wykonaniu grupy „HERREY'S" ze Szwecji.

I miejsce — „I Only Know My Name" w wykonaniu Hansa Vermuelena z Holandii.

II miejsce — „Put Another Nickle In." w wykonaniu zespołu „Coincidence" z Belgii.

III miejsce — „Kukła" w wyk. Kati Surżikowej z ZSRR.

Ponadto jury przyznało dwa równorzędne wyróżnienia: dla Xiomary Laugart z Kuby i Anny Jurksztowicz z Polski.

Nagroda „Bursztynowego Słowika" przypadła MARCELI KRALOVEJ z Czechosłowacji za wykonanie piosenki „Remedium".

I miejsce — KAIJA KOO z Finlandii za wykonanie piosenki „Mniej niż zero".

II miejsce zespołowi „DOMINO" z Bułgarii za wykonanie piosenki „Dziwny jest ten świat".

Nagrodę Kryształowego Kamertonu za najlepszą aranżację polskiej piosenki otrzymał KRASIMIR GIUŁMEZOW z Bułgarii („Dziwny jest ten świat").

Nagrodę fotoreporterów otrzymała MAYUMI ICHIHARA z Japonii, której swoją nagrodę przyznał także PAGART.

Nagrodę Dziennikarzy otrzymała CLAIRE HAMILL z Wielkiej Brytanii, o czym zadecydował raczej przypadek niż burzliwe obrady (jak pisano) i brak innej kontrkandydatki.

Przewodniczący Jury ROMAN WASCHKO tak mi skomentował w kolejnym wspólnym omawianiu tego co widzieliśmy w Operze Leśnej.

„W pierwszym dniu konkursu o Grand Prix, jury było raczej zgodne w swoich dość jednomyślnych ocenach. W drugim dniu konkursu o nagrodę „Bursztynowego Słowika" poszliśmy na żywioł, może dlatego, że aż 5 piosenek miało jednakową ilość punktów? Każdy z jurorów miał własne kryteria ocen i punktację od 1 do 5, którymi się kierował. Sprzeciwiłem się tajnemu głosowaniu i tajnej punktacji, bo zdarza się często że w czasie takiego trybu głosowania na pierwszą pozycję głosuje się piosenka, której nie chce żaden juror. Marcela Kralova zwyciężyła 1 punktem, podczas gdy jej 4 konkurentki do nagrody miały po 7 punktów.

— Przyzna pan, że wyróżnienie Anny Jurksztowicz to nieporozumienie, bo jej występ był jednym z najsłabszych na festiwalu?

— Przyznaję, jej kandydaturę zgłosił juror z Wielkiej Brytanii, wielki autorytet pan Nigel Wright, inni jurorzy nie protestowali i tylko w ten sposób Polka znalazła się na koncercie finałowym.

— A „Lombard"?

— „Lombard" uzyskał bardzo niskie oceny i w ogóle nie był brany pod uwagę...".

Koncert laureatów na pewno był najlepszym dniem festiwalu, każdy z laureatów (oprócz Polki i Kubanki) bisował, niektórzy nawet trzykrotnie.

Bardzo podobał się szwedzki zespół „Secret Service", który do Sopotu przyjechał w ostatniej chwili. Nikt prawie nie zauważył, że śpiewali z playbacku, publiczność oczekiwała właśnie takich: prostych, sympatycznych piosenek.

DONATO POVEDA z Kuby, z pewnością należy do najciekawszych piosenkarzy kubańskich, ale ginął z gitarką na wielkiej scenie i wcale nie wyglądał na gwiazdę, którą tu usiłowano z niego zrobić.

XXII MFP „SOPOT '85" zakończył koncert zespołu DANNY LANE'A, znanego w świecie gitarzysty, na którym pozostali tylko zwolennicy takiej muzyki, telewidzowie wyłączali odbiorniki i w sumie nie był to najlepszy akcent końcowy maratonu z międzynarodową piosenką w Sopocie.

CO DALEJ SOPOCIE?

Wbrew pozorom, bisom i uśmiechom rozbawionej publiczności w Sopocie, „SOPOT — 85" był kolejnym smutnym festiwalem. Na szczęście uratowało go kilku wykonawców na czele z przesympatyczną i wysoce profesjonalną grupą trzech braci ze Szwecji „Herrey's" i liczącą się już na zachodnim rynku parą dziewcząt „Bobbysocks". Ale to przecież nie „Sopot '85" wylansował tych wykonawców, lecz oni sprawili, że o polskim festiwalu będzie się czytało w ich reklamowych folderkach.

Czy nasz „International Song Festival" jest oknem na świat czy tylko lufcikiem, przez który nie bardzo swobodnie można wyglądać?

Biorąc pod uwagę, że jest to po przerwie dopiero drugi festiwal którym zawiaduje nowy zespół ludzi z nowym dyrektorem na czele, można dać mu taryfę ulgową. Tym bardziej, że już dziś przygotowane są zgłoszenia na „Sopot — 86", a w styczniu ma być gotowy nowy regulamin. Coraz głośniej i poważniej mówi się o powrocie do formuły Festiwalu Interwizji, co daje już w nazwie i zasięgu pewne szanse na wyjście z zaścianka.

A póki co organizatorzy podali już termin przyszłorocznego festiwalu: 20—23 sierpnia 1986 roku i czyniąc to na ostatniej konferencji prasowej w hotelu „Marina", byli w doskonałych humorach, czego im trochę zazdroszczę, bo ja wracałem z Sopotu smutny.

Foto: Leonard Szmaglik

Foto: Grzegorz Gałasiński

Polemiki • Listy • Opinie

„W każdy poniedziałek rodeo w Zgierzu"

Tygodnik „Odgłosy" w 33 numerze z dnia 17.08.1985 r. zamieścił bulwersujący szerokie kręgi społeczne artykuł Edwarda Bryla pt. „W każdy poniedziałek rodeo w Zgierzu". Podawane okoliczności wywołały u wielu czytelników zdumienie, że takie działania w ogóle mogą mieć miejsce — stąd też napłynęło z terenu kraju od osób prywatnych, organizacji społecznych i politycznych wiele protestów.

Scharakteryzowano przy tym moją osobowość i stosunek do zwierząt używając między innymi stwierdzeń:

— *„Prezydent miasta W. Orczykowski wydał absolutnie bezbezprawne zarządzenie, w myśl którego każdy, kto doprowadzi czworonoga do tzw. ruchomego punktu skupu otrzymuje z kasy miejskiej 300 zł. Apel burmistrza zrozumieli obywatele spod budek z piwem, grasowała banda nastolatków.*

— *Prezydent Zgierza pozazdrościł na przykład corridy Hiszpanom i dlatego zafundował mieszkańcom swego grodu psie rodeo. Psia łapanka przybrała niespotykane rozmiary. Dla pijanych pracowników nie lada zabawę stanowiło wydzieranie dzieciom psów ze smyczami, zabieranie ich staruszkom. Krew się lała na ulicach. Bardziej świadomi obywatele chcieli na gorąco przerwać tę działalność.*

— *Ojciec miasta W. Orczykowski kilka tygodni temu do Prezesa TOZ powiedział — uważam, że pies w dzisiejszych czasach to luksus, jestem tak obstawiony paragrafami, gdybym mógł, podniosłbym podatek za posiadanie czworonoga do 10 tysięcy.*

— *Prezydent Zgierza nie zwrócił się z problemem bezpańskich psów do łódzkiego TOZ. Wspólnie można by było znaleźć rozwiązanie nie budząc niezdrowych instynktów, zadziałać humanitarnie. Przydałoby się aby jakiś zakład lub któraś z bogatych firm polonijnych podjęła się patronatu.*

— *Wypadałoby jednak, aby prezydent Zgierza znał lepiej ustawodawstwo. Należy nie tylko anulować niehumanitarne decyzje, ale autorzy ich muszą ponieść konsekwencje, jako że jawnie łamali prawo i działali na szkodę Obywateli".*

Takież to „sensacyjne ustalenia" ochoczo podchwycił „Kurier Polski" i już w numerze 159 z dnia 17—19 sierpnia br. na swoich łamach donosi o tym, że Prezydent kontra psy, panika wśród właścicieli itp. Być może jest to tylko zbieg okoliczności, że ten sam dziennikarz podpisujący się (Kato) w dniu 15 marca br. również umieścił w Kurierze kłamliwe wiadomości o moim nieżyczliwym stosunku do firm polonijnych.

Mieszkańcy Zgierza znają problem i dlatego na zebraniu konsultacyjnym z kandydatami na posłów w dniu 16 sierpnia br. zaprotestowali przeciwko „nieuczciwemu informowaniu społeczeństwa przez „Odgłosy" w sprawie tzw. „psiego problemu" w Zgierzu. Podobne protesty na takim zebraniu zgłoszono w dniu 2 września.

Do problemu powracacie w „Odgłosach" z dnia 31 sierpnia wzywając wszystkich do rzeczowego sprostowania faktów przedstawionych przez E. Bryla, gdyż jeśli takie sprostowania nie wpłyną, będziecie traktować jako demagogię poniżanie „Odgłosów" i waszego współpracownika itp.

Obywatelu Redaktorze!

Fakty w tej sprawie są następujące:

1. Mieszkańcy Zgierza od dłuższego czasu wręcz żądali rozwiązania problemu bezpańskich psów. Problem jest właściwie skomplikowany w swej nazwie „bezpańskich". Chodziło po prostu, aby zlikwidować bezpańskie, wałęsające się psy, uzupełniane w wałęsających się stadach przez psy posiadające właścicieli lecz korzystające z tzw. wolnych spacerów i to od świtu do zmierzchu. Tak więc samorządy mieszkańców, organizacje społeczne i radni żądali ode mnie rozwiązania problemu, a w tym wymuszenia od właścicieli psów ich podstawowych obowiązków. Sprawa okazała się pilna choćby ze względu na to, że w 1983 r., zanotowano w Zgierzu 103, w 1984 r. — 131, a w roku bieżącym 78 przypadków pogryzień, pokąsań dzieci i dorosłych przez nieustalone psy.

2. Jest to problem nie tylko mojego miasta, którego realizacja w rozwiązaniu napotykała na podstawowe bariery wynikające z obowiązujących przepisów, a mianowicie:

— nie wolno dokonywać masowych odłowów, jeśli nie ma wścieklizny,

— brak jest (i to z wielu powodów) pielęgniarzy selekcjonerów, którzy by nad tym problemem czuwali.

3. Podczas wielu kontaktów z mieszkańcami, organizacjami społecznymi, a w tym i Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami (posiadam dokumentację do wglądu) poszukiwałem form i metod rozwiązania problemu przyjmując ostatecznie dwa etapy:

— w pierwszym upowszechniliśmy ulotkę akceptowaną przez TOZ!, w której przypomniano o obowiązkach posiadaczy psów i wskazano miejsce odprowadzania zbędnych bezpańskich psów. Punkt przyjęć tych zwierząt został zorganizowany i zmodernizowany zgodnie z zaleceniami TOZ,

— w drugim wydałem polecenie dyrektorowi miejscowego RPGKiM, aby osobie, która doprowadzi bezpańskiego psa wypłacać 300 zł, rekompensatę z tytułu poniesionych kosztów doprowadzenia psa nie posiadającego właściciela. Jednocześnie dyrektor wydał zarządzenie regulujące formę dokumentowania wypłat i pielęgnacji psów do momentu przekazania ich do schroniska.

Wypłata kwoty 300 zł jest więc rekompensatą za ponoszone koszty z tytułu doprowadzenia bezpańskiego psa! Jest to forma znacznie ekonomiczniejsza od utrzymywania etatu pracownika!

4. Realizacja decyzji przyniosła określone skutki, a mianowicie:

— zwielokrotniona została ilość rejestrowanych psów,

— już do rzadkości nie należy widok właściciela prowadzącego psa na smyczy,

— zmalała ilość pokąsań ludzi przez psy,

— przyjęto w br. do 30 kwietnia — 36, a od 6 maja do 2 września 161 bezpańskich psów.

5. Organy ścigania nie przyjęły żadnego zgłoszenia kradzieży psa i do dziś poszukiwane są osoby, którym to wyrwano psa ze smyczą — wskazywany przez E. Bryla świadek nie figuruje w ewidencji ludności miasta Zgierza.

6. W dniu 11 czerwca br. omawiałem z nowowybraną Prezes Zarządu Wojewódzkiego TOZ Ob. Aleksandrą Stępczyńską i Prezesem Koła w Zgierzu Ob. Mirosławą Rajtar problematykę opieki nad zwierzętami. Obydwie panie okazywały niezadowolenie z metody rozwiązania problemu bezpańskich psów i dyscyplinowania ich posiadaczy, lecz nie zaproponowały żadnego innego rozwiązania. W czasie tej rozmowy poinformowałem m.in., że podczas konsultowania projektu uchwały o podatku za posiadanie psa mieszkańcy określali, iż posiadanie psa jest luksusem, że podatek winien wynosić nawet 10 tys. zł od jednego czworonoga. Takie zdania padały również na zebraniu 2 września br.

Obywatelu Redaktorze!

Pozostałe argumenty w Waszej publikacji nie wymagają mojego komentarza. Cała sprawa spowoduje być może podjęcie skutecznych rozwiązań problemu bezpańskich psów, a może w ramach ustawy sejmowej.

To ja za Waszym przykładem wzywam wszystkich, którzy mają lepsze propozycje rozwiązania tematycznego problemu. Jeśli tylko propozycja będzie zgodna z prawem i skuteczna, zmienimy w Zgierzu dotychczasowe formy i metody pracy.

Prawdą jest, że jednego dnia podczas odwożenia psów do schroniska, wskutek niedokładnego zabezpieczenia, jeden z nich wyskoczył z jadącego samochodu i doznał obrażeń. Jest to z pewnością faktem nagannym.

Można podzielać stanowiska, że przyjmowanie bezpańskich psów jest niehumanitarne. Znana to zasada, że jeśli jest prawo wyboru, to i obok niego prawo rezygnacji.

W tym przypadku wybór jest następujący:

— czy tolerować watahy psów „pańskich i bezpańskich" ujadających w osiedlach przez całą dobę, obszczekujących przechodniów, gryzących ludzi, stwarzających zagrożenie sanitarne i w komunikacji drogowej itd.

— czy dostępnymi środkami nie naruszającymi prawa wymusić zdyscyplinowanie właścicieli, a zjawisko patologiczne (są to elementy udręki i cierpienia społecznego) zlikwidować.

Zasięgałem informacji, jak ten problem jest rozwiązywany w sąsiednich krajach. A warto byłoby doświadczenia naszych sąsiadów upowszechnić!

Pies dla wielu ludzi jest przyjacielem, mówi się o jego wierności, przyjaźni z człowiekiem. To jest oczywista prawda i nie ma związku z opisywanym zjawiskiem.

Z poważaniem

Prezydent Miasta Zgierza
mgr WŁODZIMIERZ ORCZYKOWSKI

Z KARWI DONOSZĘ...

Póki co, to jest nim się nie przemieni w kurort (jakim już jest na przykład pobliska i większa Jastrzębia Gora) zapraszam Czytelników do Karwi. Ta mała, ongiś tylko niewieka rybacka osada, ostatnia chyba przed granicą z 1939 r. z Niemcami zachowała jeszcze świeżość, ładną plażę bez zbytniego tłoku i można tam naprawdę odpocząć. Choć kto wie — jeśli tym symbolicznym zaproszeniem zasugeruje się zbyt wielka liczba osób — ile lat tego względnego spokoju jeszcze minie?

Jak mówią złośliwi — jest to ostatnie z miejsc w Polsce, w którym bezkonfliktowo współżyje Łódź i Warszawa. Pełna kultura! Gdy wysypaliśmy się z „Luxa" we Władysławowie (kurs z Piotrkowa, bilety po znajomości, choć okazało się, że były jeszcze luzy, cena — za jedyne 690 zł x 3...), a później skorzystaliśmy z usług taksówkarza (cena umowna za 15 km plus powrót, 600 zł, raz się żyje!) zapytał: „Państwo skąd, pewno z Łodzi?". I wyjaśnił, że od kiedy zrobiło się gorzej z wyjazdami zagranicznymi to Jastrzębią Górę, Karwię i pomniejsze Chłapowo, Ostrowo i Dąbek (najbardziej na zachód) okupują zgodnie przedstawiciele stolicy i naszego skromnego prowincjonalnego miasta. Czy ja wiem? Sądząc po numerach rejestracyjnych samochodów — pewno tak. A gdy jeszcze dodamy ajencję (wraz z klubem) prywatnego biura turystycznego „Atlas" z Łodzi oraz prywatną pomoc lekarską z Łodzi (interna, kardiologia i pediatria plus własny ambulans jakiejś zachodniej marki, którego nie powstydziłaby się „Matka Polka")... to na pewno coś w tym, co Pan Taksówkarz powiedział — jest.

U Cejnowy, gdzie mieszkaliśmy — cała „górka" to łódzcy rodacy. Po przeciwnej stronie ulicy — dość pokaźny dom zakładów „Eskimo". Karwia żyje z sezonu letniego. Dwa sklepy spożywcze, poczta, szkoła podstawowa i kiosk „Ruchu", nie dają źródła utrzymania. Rybaczenie pozostało w stanie szczątkowym, bo widać tylko dwa czynne kutry (Kar-2 i Kar-3). Na stanowisku na wydmach — dwa rozpadające się mniejsze czółna (Kar-12 i Kar-10). Jeszcze jakieś większe „Kar" widziałem w Muzeum Rybackim na Helu, o czym później. „Kaszeby" wypływają w morze 2—3 razy w tygodniu, powędzą trochę śledzi, a potem od rana słychać ich „gadkę" jak rozplątują sieci na podwórkach swoich „checzy". Zaopatrzenie w ryby zaspokaja dwa razy w tygodniu olbrzymia ciężarówka „Transoceanu", dzięki którym to dostawom nie ma na co narzekać.

Oczywiście — te „checze" to przesada, bo typowa z przełomu wieku XIX/XX pozostała chyba tylko jedna. Część domów sprzed I wojny, a potem z lat dwudziestych. To jednak już tylko margines, gdyż dalej od morza ciągną się równe uliczki z dwupiętrowymi budynkami, najwyraźniej budowane tylko z myślą o sezonie i „letnikach". Dlatego właśnie na początku mojego listu ta nutka powątpiewania — jak długo jeszcze...

A wygląda to tak: stoi na przykład „wysoka piwnica" (bo woda jest już na kilkudziesięciu centymetrach) przykryta jakimś dachem, w piwnicy prowizorka mieszkalna dla gospodarza, a dokoła wianuszek przyczep kempingowych i namiotów. Na drewnianym rusztowanku zlewozmywak z kranem, obok wkopane ze dwie dreny na ścieki, w najdalszym zakątku obejścia — domek „z serduszkiem". W przyszłym roku będzie już na pewno parter, a za dwa budowa skończona!

Bo pieniądze leżą na ulicy. Trzeba tylko wpaść na jakiś pomysł, żeby je podnieść. Jest to nawet uzasadnione: każdy urlopowicz ma zakodowane w pamięci, że nad morzem (i nie tylko) jest drogo. A więc bierze ze sobą mniej czy więcej pieniędzy (cokolwiek by nie mówić — to raczej więcej). A jak je ma ze świadomością, że są do wydania, no bo już tu przyjechał — to wydaje! Na smażalnie (z dorszem panierowanym a' 400 zł kg, frytkami, rolmopsami, kurczakami). Na lody (najtańsze 28 zł, lecz także z ananasem, rodzynkami, jagodami itp.), na banany (na ulicy — z pudła, po 2 tys. kg), czekoladę twardą (240 zł). A w kioskach z suwenirami różności: od rajstop, czapeczek, „resoraków" (od 250 do 340 zł) po karty do gry (podłe), figurki ET i d'Artagnana i setki innych „rewelacji", które ciągle znajdują nabywców lub klientów. Właściciel budki z napisem „ciastka" dowozi własne produkty „Melexem" ubrany w nieskazitelną kurteczkę i modną czapkę.

Czy to potępiam? Nie — raczej podziwiam. Lecz rodzi się pytanie, może nie na taki wakacyjny temat: a co z tego ma miasto i gmina Władysławowo? Na pewno kilkadziesiąt złotych od osoby za zameldowanie oraz jakieś tam podatki. Nie tęsknię do wyasfaltowanej Karwi, lecz pewnych urządzeń po prostu brak i tu miejsce na przypięcie łatki, bo cóż to byłaby za wiarygodność, gdyby wszystko było sukcesem. A chodzi o to, że dla Karwi od początku świata największe znaczenie mają do dziś trzy genialne ludzkie wynalazki: ogień, koło i „siajsbeka", bez której wszystko by potonęło. Sprawa jest prosta: okres wody czerpanej ze zaskórnych studzien już minął. Karwia ma wodę z ujęcia komunalnego, dobrą w smaku choć twardą. A kanalizacji nie ma. Skutek taki, że dzień w dzień jeżdżą po Karwi te szacowne, acz cuchnące urządzenia ratując tubylców i przyjezdnych przed potopem. O oczyszczalni na razie ani słychu, dopiero szykuje się we Władysławowie.

Mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że jedzenia w jadłodajni IV kat. u p. A. Budzisz (piwiarnia kilka domów dalej — p. B. Budzisz. Co ma p. C. Budzisz — nie sprawdzałem) — nie powstydziłaby się niejedna łódzka restauracja II kategorii. Wprawdzie dzienny koszt wyżywienia wynosił ca 500 zł, lecz menu obiadowe przez 14 dni prawie się nie powtórzyło. Nadmiaru ryb kosztem mięsa wieprzowego i wołowego nie było, kolacje i śniadania też urozmaicone, często ciasta i inne przystawki. Brawo p. A. Budzisz, kto nie wierzy niech sprawdzi osobiście. W każdym razie kryzysu to nie przypominało.

Przedsiębiorstwo Usług Turystycznych „Hel", a może tylko jego przedstawiciel, nie popisało się w kwestii rozrywek kulturalnych. Z własnej inicjatywy zwiedziliśmy Jastrzębią Górę: o wiele gorsza plaża, cuchnące urwisko — bo prawdopodobnie przeciekają nieczystości z szamb, poza tym po prostu tłok) We Władysławowie — też tłok, tylko czysto. Zaś zorganizowaną, teoretycznie 4-godzinną wycieczkę na Hel (wynajętym autobusem łódzkiego „Orbisu", cena 390 zł za osobę) wspominam z mieszanymi uczuciami. Mniejsza o wspomnienia z lat powojennych, gdy Hel wyglądał nieco inaczej, mniejsza o słynne Chałupy, w których — jak wiadomo — nie ma już nagusów!

Zdegustował mnie nieco Pan Przewodnik, który wprawdzie mówił pięknie o polskości Kaszubów i na pewno dysponował wielką wiedzą o tym rejonie, jednak gadał przez cały czas nie dając ani chwili na przemyślenia. Serwował też mniej lub więcej zawoalowane informacje o niedawnym okresie — jak to enigmatycznie określał — „względnej wolności", co rusz ocierając się o pakiet informacji rodem — na moje wyczucie — z Pelplina. A przy okazji odbywał drobny handelek fotograficznymi odbitkami różnych obiektów, z portretem gen. Hallera na czele. Nie ujmuję Generałowi i „zaślubinom morza", lecz było to nieco denerwujące. Szczegóły pominę, lecz samego epizodu nie mogłem pominąć. Głośników nie dało się wyłączyć.

A propos „Heli" — jak nazywają półwysep, (czasem również „kosa"): p. Cejnowa powiedziała: „...żyję już 70 lat, a ani razu tam nie byłam...".

Jak więc było w tej Karwi źle, czy dobrze?

Jedźcie. Zobaczycie sami.

W. AFELT

POWÓDŹ NA CHOJNACH

Nowe osiedle „Chojny—Zatorze", przemianowane na osiedle 40-lecia PRL, o czym informuje napis na imponującym, nowym budynku ekspedycji ruchu nr 8 MPK oraz tablica pamiątkowa, zamieszczona na szczycie bloku nr 247.

8 lipca 1985 r. od wczesnych godzin rannych mieszkańcy osiedla nadaremnie oczekiwali na tramwaje, autobus linii 52. Pętla tramwajowa zamieniła się w „jezioro". Woda podeszła pod sam budynek ekspedycji, zalała tory i przyległe ulice. Na środku jezdni ul. Kurczaki utknął mały „fiat". Widać czerwony dach samochodu, nic więcej. Komunikacja miejska w tym rejonie została całkowicie sparaliżowana. Mogą poruszać się jedynie ciągniki i samochody ciężarowe i to z wielką trudnością.

Przyjeżdżają spece od kanalizacji, straż pożarna i ekipa Tv. A wszystko to się dzieje nie po raz pierwszy, lecz myślę, że ostatni. Zbyt drogo kosztuje nas wszystkich taka niemrawość i opieszałość w doprowadzeniu do właściwego stanu używalności jezdni, chodników i trawników. Trudno jest przeliczyć na złotówki; ile szkody z tego tytułu ponosi skarb państwa? Ilu ludzi przez tę zahamowaną komunikację — spóźnia się do pracy? Ilu później choruje, będąc nie przygotowanymi zupełnie na okoliczności brodzenia nieraz po kolana w wodzie, kleistej mazi. Jedno jest pewne, że taki stan rzeczy powtarza się ciągle przy większych opadach atmosferycznych. Na przestrzeni od maja do sierpnia osiedle nawiedziły aż trzy powodzie. Największa była w maju 1985 r. Woda wlewała się do piwnic pobliskich wieżowców.

Po każdej powodzi jak zwykle zjawia się ekipa pracowników. Przeczyszczają istniejące studzienki, odprowadzają wodę, czyszczą jezdnie, chodniki. Porządkują kwietniki i zieleńce, wypompowują wodę z piwnic i taka „zabawa" trwa dalej, aż do następnej powodzi. Syzyfowa praca. Pochłania dużo czasu, materiałów i finansów. Korzyść raczej żadna. Zastanawiające, iż nikt dotąd nie pomyślał o radykalnej zmianie sytuacji, nie zabezpieczył w sposób właściwy przebudowy istniejących studzienek kanalizacyjnych przy ul. Kurczaki. Wybudowania nowych, osadzonych niżej jezdni, nie wystających ponad poziom jezdni. Prosta sprawa, a stwarza tyle kłopotu. Co dziwniejsze, nikt, ale to absolutnie nikt z odpowiedzialnych instytucji nie raczy zainteresować się tą sprawą z urzędu. Czas wreszcie z tym skończyć. Znaleźć odpowiednie rozwiązanie i ujście dla opadów przez właściwą lokalizację studzienek burzowych. Nie można bez przerwy paprać się w błocie, topiąc państwowe i spółdzielcze złotówki. Wyciągnąć odpowiednie konsekwencje w stosunku do winnych zaniedbań, rażących nieprawidłowości i opieszałości w usuwaniu przyczyn i skutków karygodnego wręcz niedbalstwa.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

KULTURA ZA PIENIĄDZE...

Oglądamy często w programach telewizji turnieje międzyzakładowe, podczas których widzimy wspaniałą zabawę ludzi pracy — robotników i dyrektorów — młodszego i starszego pokolenia, a z tym daje się odczuć wśród tych ludzi więź z zakładem pracy, sympatię do dyrekcji i poszanowanie do wykonywanej pracy. Lecz fakty te przypominają mi zbieranie grzybów w suszę. Najczęściej daje się zauważyć w życiu codziennym tabele przedstawiające różnicę płac między zakładami. Tu można przyklasnąć, z jednej strony — za dobre wyniki. Lecz gdy zagłębimy się w rzeczywistość, staje się ona szara, smutna i po czasie wywołuje pewien rodzaj strachu.

Nasuwa się pytanie.. Jak z kulturą w pańskim zakładzie, panie dyrektorze? Jak z wycieczkami krajoznawczymi, na grzybobranie?... Na te pytania dyrektor dumnie wypina brzuch i z pełnym powagi głosem mówi, jaki to plan wykonał zakład, ile ludzie zarobili w tym kwartale.. I wreszcie niemal załamując ręce tłumaczy, że to niby brak paliwa, bo trzeba ludzi dowieźć ze wsi do pracy, że klub zakładowy „mało działa" bo brak funduszów. Wreszcie z buzią pełną uśmiechu mówi: panie po co w zakładzie takie rzeczy, ważne, że ludzie zarabiają, gdy mają pieniądze, to pójdą sobie do kina, do teatru czy wyjadą na wycieczkę własnym samochodem. Zarobią, to będą mieli...

Może to i prawda, ale mimo to, że zarobki rosną, przewyższają w niektórych zakładach średnią krajową, a jakoś nie widać przepełnionych teatrów, kin (chyba że wyświetlają „Wejście smoka"), nie widać tych tkaczy, prządek jadących tłumnie własnymi samochodami na wycieczki, choćby pod miasto.

A w zakładzie? Wyczuwa się coraz większy brak zainteresowania klubem zakładowym, tym co namaluje plastyk zakładowy, czy napisze (coś) jakiś pisarzyna-amator, wśród ludzi uwidacznia się coraz większy brak więzi międzyludzkiej, takiej jaka była dawniej. A coraz częściej jak grzmot nadchodzącej burzy, daje się słyszeć: byle do końca zmiany.

Niektóre zakłady za chlubę swoją uważają to, że istnieje orkiestra zakładowa. Lecz kiedy można ją widzieć i słyszeć?... A właśnie! 1 Maja, podczas pochodu i czasem na 22 Lipca, gdy w czasie akademii wręczane są odznaczenia, i... Na tym, smutny koniec. A przecież jeszcze pamiętamy, to było nie tak dawno, gdy w zakładach pracy — w domach kultury, czy inaczej mówiąc, klubach zakładowych — istniały zespoły pieśni i tańca, teatrzyki, opery (nawet!!!) i zespoły folklorystyczne, młodzieżowe itp. Ktoś nie pamiętający tamtych czasów może zapytać: kto brał w tym udział, skąd zakłady miały fundusze na aktorów, piosenkarzy? Tak, to byli aktorzy, lecz byli to prości zazwyczaj robotnicy: tkacze, prządki, pracownicy biur. A pieniądze? Były, ale na pewno nie tak wielkie jakie wydaje się obecnie (od czasu do czasu) na bilety na występy estradowe, spotkania z sympatycznymi aktorami z Brazylii itd. Wystarczy tylko koszt biletu, np. 500 zł pomnożyć przez x, a będziemy wiedzieli jaką kulturę i za ile kupujemy. A kto z niej korzysta? Radość z zarobionych pieniędzy jest na pewno uzasadniona, lecz...

KAZIMIERZ GRACZYK
(Łódź)

Polemiki • Listy • Opinie

KONKURS LITERACKI „SZPITAL — POMNIK MATKI POLKI"

Protokół z posiedzenia Jury Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Szpital-Pomnik Matki Polki".

Po zapoznaniu się z 40 zestawami, jakie napłynęły z całego kraju (w tym 31 zestawów poetyckich i 9 prozatorskich) jury postanowiło:

W dziale prozy nie przyznawać nagród. Przyznano jedynie dwa wyróżnienia po 10 tys. złotych dla godła „Felicja" za utwór pt. „Woalka w grochy" oraz dla godła „X-27/85" za tom opowiadań.

W kategorii poezji przyznano II nagrodę i 15 tys. zł dla godła „Dagmara" za tom wierszy pt. „Krew, pot i łzy". Dwie III nagrody po 10 tys. zł przyznano dla godła „Kamil" za tom wierszy pt. „Matki pełna po wargi" oraz dla godła „Pragnienie" za tom wierszy pt. „Baśń o matce".

W kategorii tej przyznano także dwa wyróżnienia w wysokości po 5 tys. zł dla godła „I" za utwór pt. „Pogłosy" oraz dla godła „Tartar" za utwór pt. „Requiem dla matki".

Po otwarciu kopert okazało się, że w dziale prozy wyróżnionymi laureatami zostali Jerzy Rutkowski z Kielc godło „X-27/85" oraz Wacława Zimoląg-Szczepańska, również z Kielc, godło „Felicja".

W kategorii poezji laureatami nagród okazali się: II nagroda — Elżbieta Kaźmierczak-Fryckowska z Dębicy Kaszubskiej woj. słupskie — godło „Dagmara", dwie trzecie nagrody otrzymali: Andrzej Grabowski z Ciężkowic — godło „Kamil" oraz Roman Gorzelski z Łodzi — godło „Pragnienie". Laureatami wyróżnień w tej kategorii okazali się: Krzysztof Kuczkowski z Spotu — godło „I" oraz Jerzy Fryckowski z Dębicy Kaszubskiej.

CIERPLIWY EMERYT I GŁUCHY TELEFON

W odpowiedzi na artykuł zamieszczony w Waszym tygodniku Nr 32 z dnia 1985.08.10. p.t. Cierpliwy emeryt i głuchy telefon — informujemy, że telefon ten był nieczynny w okresie przełączania istniejących abonentów na nowo uruchamianą centralę telefoniczną. Przełączanie ponad 1500 abonentów oraz czynnych kabli wysokoparowych następowało przez okres trzech tygodni. Obsługa centrali i biura napraw w tym czasie zaabsorbowana była przełączaniem całych grup abonentów i może mniejszą uwagę zwracała na pojedynczego abonenta. W takiej ilości przełączanych kabli i abonentów mógł zdarzyć się przypadek „zgubienia" jednego czy kilku abonentów. Abonenci ci uruchomieni zostali w końcowej fazie przełączania podczas sprawdzania wszystkich abonentów.

Nie znając numeru telefonu, nazwiska abonenta ani nawet adresu nie możemy sprawdzić, dlaczego akurat telefon „cierpliwego emeryta" nieczynny był przez okres trzech tygodni.

Dyrektor Okręgu Poczty i Telekomunikacji
inż. MAREK GUTOWSKI

RAJD ROWEROWY DLA OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH LONDYN — WARSZAWA

Wyprawa rowerowa na trasie Londyn — Warszawa została zorganizowana przez dwóch angielskich cyklistów Ricka Delvina i Dave Williamsa, we współpracy z angielską organizacją Cerebral Palsy Overseas oraz Krajowy Komitet Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym Ruchowo przy ZG TPD. Na terenie Polski współorganizatorem wyprawy jest Samorząd Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego.

Sponsorami wyprawy są m.in. The Sunday Times, Volkswagen U.K. Townsend Thorenson Ferries, Viscount Cycles, Agu Sports i Weetabix W wyprawie weźmie udział 8 niepełnosprawnych rowerzystów oraz 4 osoby zapewniające pomoc techniczną i medyczną. Na terenie Polski przewidujemy dołączenie do wyprawy polskich rowerzystów — osób niepełnosprawnych. Celem wyprawy jest pokazanie niedocenianych często możliwości osób niepełnosprawnych, ich odwagi, umiejętności podejmowania dużego wysiłku fizycznego i wreszcie ich prawa do pełnego uczestniczenia we wszystkich formach życia społecznego, a w tym prawa do uczestnictwa w różnych formach aktywnego wypoczynku.

Wyprawa opuściła Londyn 4 sierpnia. Po osiągnięciu Dover zostanie promem przewieziona do Boulogne, a następnie po przejechaniu przez Francję, Belgię, RFN, Czechosłowację w początku września przybędzie do Polski. Zespół przejedzie łącznie ponad 1700 km wioząc na swoich rowerach podstawowy ekwipunek turystyczny. Wyprawie towarzyszy mikrobus Volkswagen U.K wiozący ciężki sprzęt i namioty

Rajd składa się z 27 etapów (60—80 km dziennie); w tym przejazd przez czeskie „kopce" oraz 24 dni wypoczynku, w czasie których przewidywana jest organizacja spotkań z osobami niepełnosprawnymi, konferencji prasowych, spotkań z władzami miast i wystawy.

Fundusze zebrane w czasie wyprawy zostaną przekazane do Cerebral Palsy Overseas, a następnie przeznaczone na pomoc w zakresie rehabilitacji osób niepełnosprawnych w krajach rozwijających się, a także na zakup sprzętu rehabilitacyjnego i specjalistycznych pomocy dydaktycznych dla dzieci niepełnosprawnych w Polsce oraz dla nowo powstających ośrodków, których współorganizatorem jest Krajowy Komitet Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym Ruchowo lub specjalistyczne terenowe koła TPD zrzeszone w ramach Komitetu.

Przewidywany program przejazdu rajdu na trasie Polski:

8 wrzesień — Smirice — Kłodzko — 70 km,
9 „ — Kłodzko — Wrocław — 79 km,
10 „ — Wrocław — spotkanie z osobami niepełnosprawnymi, konferencja prasowa, spotkanie z władzami miasta,
11 „ — Wrocław — Kępno — 78 km,
12 „ — Kępno — Sieradz — 73 km,
13 „ — Sieradz — Łódź — 64 km,
14 „ — Łódź — spotkanie z osobami niepełnosprawnymi, zwiedzanie zakładów dziewiarskich, spotkanie z władzami miasta,
15 „ — Łódź — Sochaczew — 80 km,
16 „ — Sochaczew — Warszawa — 54 km,
17 „ — Warszawa — odpoczynek, zwiedzanie miasta,
18 „ — Warszawa — festyn dla dzieci niepełnosprawnych, w tym „zlot gwiaździsty", wystawa sprzętu rehabilitacyjnego dla dzieci,
19 „ — Warszawa — spotkanie z władzami miasta, konferencja prasowa, spotkanie z przedstawicielami instytucji, które dopomogły nam w organizacji rajdu, wystawa,
20 „ — odlot do Londynu

— Współorganizatorem Rajdu są także drużyny nieprzetartego szlaku ZHP.

— Zgłoszenie udziału w Rajdzie (lub na jednym z etapów) osoby niepełnosprawnej powinno zawierać nazwisko, imię, adres oraz aktualne zaświadczenie lekarskie zezwalające na udział w Rajdzie. W miarę wolnych miejsc zapewniamy wyżywienie i noclegi.

— Nasz Komitet nie zabezpiecza środków lokomocji (rower we własnym zakresie).

— Zgłoszenia kierować do Zarządu Wojewódzkiego TPD w Łodzi, Sieradzu lub do Komend Chorągwi ZHP w tych miastach.

— dodatkowych informacji powinien udzielić dh Bolesław Majewski — (tel. Łódź 36-83-98, 36-85-40, 36-84-03) oraz red. Tomasz Jordan rzecznik prasowy Rajdu (rozgłośnia Harcerska PR Warszawa 21-84-54, 21-15-07).

„SĄSIAD"

Od trzech lat jestem systematycznie poddawany torturom moralnym. Mam bowiem sąsiada, który upodobał sobie pisanie na mnie donosów. W tym czasie odwiedziło mnie kilkanaście najrozmaitszych komisji, węsząc po mieszkaniu, szukając kradzionych rzeczy, z których jakoby wyrabiam potajemnie niedozwolone towary. A sąsiad aż piszczy z radości i zanim jedna komisja opuści moje mieszkanie już pisze nowy donos.

Ostatnio zaszczycił swoimi donosami, i to dwukrotnie, Radę Ministrów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Mam więc pytanie, czy władze nie mają zamiaru pociągnąć do odpowiedzialności oszczercy — donosiciela, przecież on nie tylko mnie bezpodstawnie szkaluje, złe i władze setnie ośmiesza, dziesiątkom urzędnikom zajął sporo czasu!

Czy kodeks karny, w którym jest cały rozdział poświęcony przestępstwom przeciwko czci i nietykalności, godności osobistej, jest tylko jeszcze jednym świstkiem papieru, którego nikt nie szanuje, czy oszukana Rada Ministrów nie zajmie w tej ponurej sprawie stanowiska, czy uzna sprawę za zakończoną po przeczytaniu kolejnego wyjaśnienia MSW w Łodzi, czy nie należy mi się najskromniejsze bodaj przeproszenie za poddanie w wątpliwość mojej wobec Państwa lojalności?

Dziękując za wydrukowanie tego listu żywię nadzieję, że na dręczące mnie pytania otrzymam jednak odpowiedź.

Z poważaniem

KAROL OBIDNIAK

PROPOZYCJA

Mamy Inspekcje Robotniczo-Chłopskie!

Nie można więc ciągle narzekać, że wiecznie czegoś nie ma. Deficyt tego wyrobu był dotkliwie odczuwany na rynku. Teraz jest powszechnie dostępny. Można niemal powiedzieć, że jest ogólnie dostępny, obyśmy tylko nie dostali niestrawności, z przejedzenia.

Ogródkiem działania IRC (rzeczone Inspekcje) jest penetracja rynku mieszkaniowego. To, że mieszkań nie ma jest faktem znanym od dawna. Od zbyt dawna. Ale cóż z tego, że nie ma mieszkań. Jest za to kontrola. Społeczna. Przedstawicielska. Jaka jeszcze? Aha, obiektywna.

Jest to swojego rodzaju prawidłowość: jeśli czegoś nie ma albo jest za mało, to tworzy się społeczne komisje, komitety, kontrole kolejkowe, zespoły do spraw, grupy formalne, nieformalne gospodarujące lub usiłujące gospodarować tą małością.

Codzienna prasa, radio i telewizja w entuzjastycznym tonie donosi o efektach działania Inspekcji. Tu zdemaskowano prezesa — szachraja, tu zastępcę prezesa — nieuczciwca, tu ujawniła się perfidia zarządu, a tam Rady Nadzorczej. Jednym słowem — źle. Złe działanie spółdzielni mieszkaniowych w całym kraju ma wspólny mianownik: czas i ludzie. Okres oczekiwania i decydenci.

Na razie, zgodnie z wieloletnią, sprawdzoną praktyką zaczęliśmy od końca: od stwierdzenia, że podział i przydział mieszkań był nieprawidłowy. Tak stwierdziły Inspekcje w różnych zakątkach kraju. I dalej wyciągać te nieprawidłowości na dzienne światło, dalej wytykać palcami tych krwiopijców przyznawaczy (mieszkań, oczywiście) potępić ich publicznie, szachraj, niewdzięczników (z pracy nas wszystkich się wykształcili, a teraz co? dla znajomych? ładnie to tak, po kumotersku), miało być równo, ale skoro okazali się równiejsi to trzeba ich skrócić o głowę, a przynajmniej o mieszkanie. Zaczęliśmy od końca, no może środka czy przejdziemy kiedyś do analizy początków tej „akcji" z Inspekcjami w rolach głównych, do wnikliwej analizy faktu, że wytworzyliśmy sytuacje, w których nie wyobrażamy sobie życia bez chodów, preferencji, przyśpieszeń, ułatwień, układów, pleców, boków, a czasem innych części ciała, ze szczególnym upodobaniem interesujemy się w jaki sposób ludzie, którzy mają, znaleźli dojście do ludzi, którzy mogą. To pochłania tak wiele czasu przeznaczonego na myślenie, że nie starcza go na podjęcie działań, aby temu zapobiec. Czasem, gdy słyszę doniesienia o efektach pracy Inspekcji w stylu: wykryliśmy, ujawniło się, zdemaskowano itp., to nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w gruncie rzeczy ludziom nie chodzi o to, aby samemu mieć mieszkanie, tylko aby ten inny człowiek go nie miał....

Rozwiązanie nasuwa się samo. Wiele się mówi o samodzielności działania spółdzielni, cofa się lub w znacznej mierze ogranicza wszelkiego rodzaju dotacje na ich rozwój, preferując zdecydowanie jednak tylko to ostatnie -s- (samofinansowanie). A tymczasem... skoro zostawiamy spółdzielnie z ich własną inwencją finansową, proponuję wolną sprzedaż mieszkań. Oczywiście pod bacznym okiem Spółdzielni. Na czym ma to z grubsza polegać? Na prostej zasadzie: kto da więcej. Każde mieszkanie będzie sprzedane temu, kto za nie zapłaci większą sumę. W ten sposób w bardzo szybki sposób spółdzielnia uzyska potrzebne fundusze na zakupy niezbędnych do budowy materiałów. Uczestnikami sprzedaży mogłyby być tylko osoby będące członkami spółdzielni. Sprzedaż odbywałaby się w ustalonych przez spółdzielnie okresach określonych w planach oddawania do użytku poszczególnych partii mieszkań np. co kwartał. Korzyści?. Wiele. Ponieważ spółdzielnie zainteresowane byłyby w zwiększeniu obrotów, więc mobilizowałyby pracowników do szybszego oddawania gotowych obiektów mieszkalnych (bodźce finansowe, poprzez udział w zyskach, pozaekonomiczne — nagrody, wyróżnienia...). Wraz z rozwojem budownictwa stricte mieszkaniowego, musiałaby rozwijać się, i to w szybkim tempie całą infrastruktura ekonomiczna, gdyż ludzie płacąc za mieszkania, mieliby także odpowiednie żądania. Wraz z ceną rosłyby także wymagania co do jakości mieszkań, sposobu ich wykończenia, zagospodarowania terenu wokół bloków, zorganizowania placów zabaw, parkingów, może nawet ogródków działkowych. Cóż, klient płaci (słono), więc wymaga. Rzecz jasna, stopniowe nasycenie rynku powodowałoby spadek cen, a i odwrotnie — bardzo wysokie ceny odstraszałyby tych, którzy chcieliby mieć kilka mieszkań, likwidując jednocześnie spekulacje mieszkaniami. Nie trzeba byłoby także szukać dojść, znajomości i chodów....

Z pewnością odezwą się głosy protestu pod hasłem: „Precz z mieszkaniami dla bogaczy"! Bzdura! Dlaczego tak reklamujemy swoje ubóstwo? Dlaczego wstydzimy się faktu posiadania pieniędzy? Przecież są w Polsce ludzie, którzy mają dużo, dużo więcej pieniędzy ponad przeciętność. Zaakceptowaliśmy przecież już Pewexy, giełdy samochodowe, butiki, w których banany kosztują 4 tys. za kilogram. Zaakceptowaliśmy już nawet czarnorynkową sprzedaż mieszkań po cenach idących w miliony złotych. Że państwo próbuje to ukrócić w drodze podatków? Cóż, o tym, że nie jest to rozwiązanie w ogóle jakiekolwiek, wiedzą nie tylko prawnicy. Napisano już całe tomy nielegalnych umów, aby ukryć sumy właściwie zapłacone za lokale i to jest właśnie najnormalniejsza w świecie reakcja na dziwactwa legislacyjne.

Wracając do propozycji: ze względów społecznych wskazane byłoby, aby zostawić pewną ilość mieszkań, wyłączając je spod sprzedaży, do dyspozycji prezesa czy może Walnego Zgromadzenia dla osób szczególnie potrzebujących, przy czym, myślę że należałoby już zrezygnować z premiowania mieszkaniem posiadania dużej liczby dzieci. Oczywiste jest, że państwo popiera prokreacyjną funkcję rodziny, ale nie może przejmować pełnej odpowiedzialności za los wielodzietnej rodziny w sytuacji, gdy nie myślą o tym rodzice..., w każdym razie nie kosztem innych rodzin, które tylko tym okazały się „gorsze" w kolejce po mieszkanie, że bardziej realnie myślą o wychowaniu dzieci i ich losie.

Na marginesie: trwa obecnie wielka dyskusja o miejscu inteligencji w realiach naszej rzeczywistości. Jak widać nie ma dla niej miejsca w Inspekcjach. Czy tzw. inteligencja jako co? warstwa? klasa (!) społeczna byłaby stronnicza, nierzetelna, nieobiektywna? A może to grupa ludzi, która przez fakt uzyskania pewnego wykształcenia nie jest przy kontroli potrzebna albo w ogóle przeszkadza?

W związku z tym mam pytanie: czy do badania czy robotnicy nie wynoszą z zakładu pracy narzędzi, a chłop (rolnik) nie sprzedaje cielęciny „na lewo" — powołamy Inspekcje Kułackie? Drobnomieszczańskie? Staroarystokratyczne?

Gdzieś przecież musi być granica absurdu naszych czasów.

BARBARA KEMPA

CZY CHCESZ ZOSTAĆ AKTOREM?

Masz osiemnaście albo dziewiętnaście lat. Chcesz zostać aktorem. Uczysz się jeszcze w szkole średniej, ale myślisz już o egzaminie do szkoły teatralnej. Wydaje ci się, że jesteś uzdolniony aktorsko, że potrafisz śpiewać i poruszać się na scenie. Ktoś ci powiedział, że mógłbyś występować publicznie. Mało tego, bierzesz udział w przedstawieniach szkolnego teatrzyku albo jakiejś grupy amatorskiej.

Niedawno wróciłem z Bukowiny Tatrzańskiej i mogę ci zaproponować skorzystanie z oferty Domu Teatru Łódzkiego Domu Kultury. Otóż od czterech lat organizuje on warsztaty teatralne. Pomysł zorganizowania pierwszego warsztatu zrodził się z potrzeby doskonalenia instruktorów i członków zespołów amatorskich. Idea była prosta — opieka nad młodzieżą uzdolnioną artystycznie. Czyli taką jak ty.

Wcześniej jednak powinieneś zostać laureatem konkursu recytatorskiego albo zdobyć odpowiednią ilość punktów w czasie zabawy-konkursu „Sprawdź, czy możesz zostać aktorem", którą organizuje Dom Teatru dwa razy w roku. Wtedy masz szansę, że zostaniesz zakwalifikowany na warsztat teatralny. Nie myśl sobie jednak, że pojedziesz tam na wypoczynek. Już na zebraniu organizacyjnym zostaniesz poinformowany, że jedziesz ciężko pracować. Od rana do wieczora, czas wolny będziesz miał praktycznie tylko podczas posiłków i w... nocy.

Przez cały dzień będziesz uczestniczył w zajęciach prowadzonych przez wykwalifikowanych instruktorów. Od rana będziesz musiał razem ze wszystkimi brać udział we wspólnych zajęciach z umuzykalnienia, pantomimy oraz pracy nad słowem. Po południu, w zależności od tego na co się zdecydujesz, będziesz dalej doskonalił swoje umiejętności w wybranej przez siebie dziedzinie. Już w kilkunastoosobowych grupach. Uważaj, ponieważ od twojej pracy będzie zależało jak wypadniesz na zorganizowanym pod koniec obozu pokazie. Tradycyjnie, już od czterech lat, każde warsztaty teatralne kończy pokaz, który jest ukoronowaniem dwutygodniowej pracy. Przez prawie dwie godziny każda z grup pracujących po południu pokazuje czego się w czasie warsztatów nauczyła. Będzie to dla ciebie pewne przeżycie, być może w ten sposób pozbędziesz się w przyszłości tremy, poza tym masz możliwość sprawdzenia samego siebie na scenie. Jeżeli okażesz się być wyjątkowo uzdolnionym — organizatorzy warsztatów zakwalifikują cię automatycznie na następny. Warto więc pracować.

Możesz także nie wytrzymać napięcia psychicznego i rytmu pracy, jaki narzucają organizatorzy. Jeżeli dwutygodniowa „harówka" jest dla ciebie za intensywna — daj sobie spokój z aktorstwem. To zawód nie dla ciebie. Udział w warsztatach będzie sygnałem, że się nie nadajesz.

Warsztaty teatralne, w których będziesz uczestniczył, pozwolą ci na odkrycie samego siebie i pozbycie się kompleksów. Praca nad sobą i obserwowanie innych uświadomi ci twoje braki oraz możliwości do tej pory nie odkryte. Dowiesz się, że niesprawność fizyczna nie pozwala ci na prawidłowy ruch sceniczny, natomiast zła emisja głosu utrudnia czyste śpiewanie. Po zajęciach z pantomimy odkryjesz, że świat można oglądać zupełnie inaczej, z zupełnie innej perspektywy. Wtedy będą miały dla ciebie znaczenie pozornie błahe sprawy. Uczestniczka tegorocznego obozu zaczęła na przykład, bacznie obserwować ruch kury...

Dowiesz się również, że nie jesteś taki wspaniały i wybitnie utalentowany. Takie myślenie tylko ci przeszkadza. Zdajesz sobie, co prawda, sprawę z błędów, które popełniasz, ale nie przyjmujesz tego do wiadomości. Praca z instruktorem i obserwowanie innych uświadomi ci, że jeszcze wielu rzeczy nie umiesz i masz poważne braki. Wyzbędziesz się niepotrzebnej i nieuzasadnionej zarozumiałości.

Na początku warsztatów zobaczysz ludzi zupełnie surowych, a później przekonasz się, ile można nauczyć się w ciągu dwóch tygodni pracując pod okiem fachowców. Do tej pory nikt nie potrafił powiedzieć ci o możliwościach, z których nie zdajesz sobie sam sprawy oraz udzielić odpowiednich wskazówek.

Chciałbym ci również powiedzieć, że kilku uczestników warsztatów teatralnych z poprzednich lat studiuje dzisiaj w szkole teatralnej, inni natomiast zdobywają miejsca na konkursach recytatorskich oraz w poezji śpiewanej. Po zakończeniu warsztatów możesz zostać członkiem zespołu działającego przy Domu Teatru, oraz korzystać z pomocy instruktorów, zobowiązali się bowiem udzielać konsultacji. Będziesz mógł dalej uczestniczyć w zajęciach ze słowa oraz piosenki aktorskiej.

JACEK BIŃKOWSKI

„WPIS DO KSIĘGI"

Miła Pani Korektorko

Szalenie doceniam wiedzę, troskę o poprawność języka oraz wnikliwą sprawność zawodową. Tych zalet z pewnością nie osłabiłaby odrobina inteligencji. Gorąco polecam. A to w związku z przesadną zapobiegliwością korektorską, która w absurdalny sposób zniekształciła fragment mojego tekstu pt.: „Wpis do księgi", zamieszczonym w 35 numerze „Odgłosów" z dnia 31 sierpnia br.

Niniejszym prostuję; inkryminowany fragment tekstu winien brzmieć: „„dom jego e m i l e n c j i"... (na miły Bóg, niechże Pani znowu nie poprawi na słowo — eminencji).

Pseudonimem „Emilencja" poeta podpisywał zresztą niektóre swoje utwory, parafrazując imię Emil.

Polecam się na przyszłość
RYSZARD KLIMCZAK

Ziemia i Kosmos

Pracownikom OKSZ

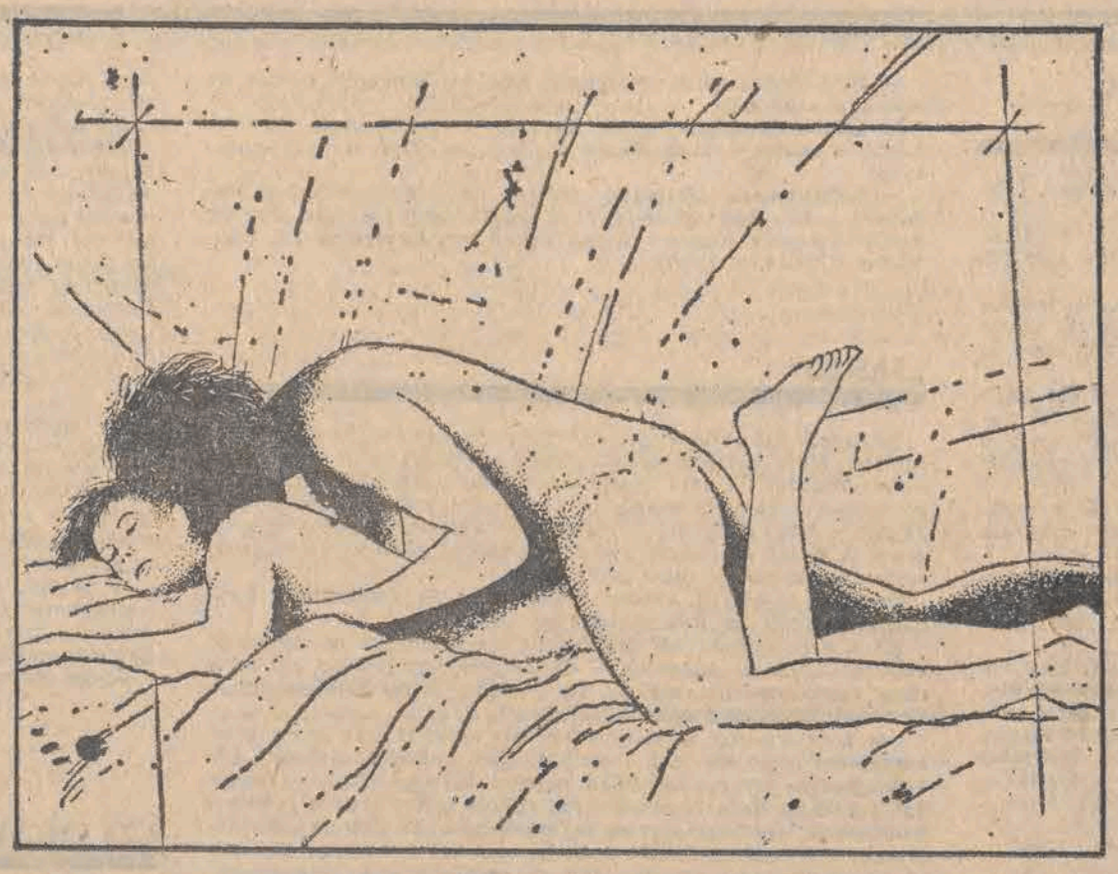

Rys. Janusz Szymański-Glanc

JACEK SAWASZKIEWICZ

Anastasis

(1)

1.

Stałem przy balustradzie tarasu i patrzyłem na cisy, tuje i klomby, które z wysokości tego piętra wyglądały jak makiety przed monstrualnym domem lalek.

— Zrobiliśmy następny krok — mówił Heinz Vogel. Siedział na jednym z leżaków w ceglasto-białe pasy. — Może ta droga nie ma końca ale zrobiliśmy na niej następny krok do przodu.

Oprócz Heinza Vogla była tu Leslie i Myrna Saunders, był komandor Joseph Bragg ze swoją żoną, doktor Rettman i Reinhard Metternich Niebawem miał się zjawić Fred von Neheim wraz z Jurgiem Hoeströmem.

— Zrobiliśmy ten krok — ciągnął Heinz Vogel — dzięki tobie, Mike'u Cesara, pilocie klasy S.

To raczej oni sprawili, że przestałem dreptać w miejscu. Jeżeli znalazłem się na zewnątrz zaklętego kręgu, było to wyłącznie ich zasługą, więc również ich zasługą były wszelkie korzyści, które implikował ten fakt.

— I masz wreszcie swoją książkę — odezwał się Reinhard Metternich . — Naprawdę masz tę książkę, Mike.

Tak, miałem tę książkę. Ale już mi na niej nie zależało. Po moim nieudanym małżeństwie z Emmeliną, po tragicznych wydarzeniach na stacji „Titania", po dramatycznej wyprawie na Trytona, po kilku latach mojego drugiego małżeństwa, latach pozornie sielankowych, podczas gdy w istocie pełnych spięć i wstrząsów, i po trwającym trzy tygodnie odosobnieniu — uznałem ostatecznie, że sprawy te powinien okryć mrok niepamięci. Od tamtych przełomowych dni spędzonych w komorze ciszy często sięgałem po pióro, by dokonać jakiegoś podsumowania, jakiejś próby odnalezienia harmonii z samym sobą. Teraz rozumiałem, że moje notatki mogły być w najlepszym wypadku materiałem do badań dla psychologów OKSZ, niczym więcej Skądinąd były nim

— Pamiętasz, co ci opowiadałem o tych współczesnych samsonach literatury szwajcarskiej? — mówił dalej Reinhard. — Na początku swojej kariery deptali mi po piętach, jedna spryciula wśliznęła się do mojego mieszkania i zaskoczyła mnie w łóżku. Całe ciało miała pokryte swoimi wierszami. Dzisiaj jest znaną poetką i od roku błagam ją o rękopis nowego tomu. Pamiętasz?

Owszem, pamiętałem tę naszą rozmowę, pamiętałem wszystkie nasze rozmowy, które odbyliśmy, zanim znalazłem się tutaj. Późniejsze wspomnienia, te z pobytu w tym Zakładzie, zatarły mi się w pamięci i mogłem je przywołać tylko dzięki notatkom w dzienniku, ale wypadki bezpośrednio poprzedzające okres mojego odosobnienia pamiętałem doskonale.

2.

Nic nie zapowiadało takiego finału. Byłem wtedy w znakomitym nastroju, ponieważ przed kilkoma minutami dowiedziałem się, że zaprzedwczoraj Leslie pojechała do Zurychu, gdzie doktor Hans Neuparth obdarzył ją przechowywana tam od lat „moją cząstką" — jak to ongiś eufemistycznie ujęła pani Maria Pia Leeport — skutkiem czego za dziewięć miesięcy miałem zostać ojcem. Poza tym był to dzień, w którym mój dręczyciel, dymorficzny Nep składał nam wizytę pożegnalną i opuszczał nas nieodwołalnie. Wszyscy nasi goście przebywali w jego pokoju-grobowcu, by asystować mu w wyprowadzce. Oprócz Leslie była tam Emmelina, Bragg i jego żona. Ich głosy rozlewały się na górze, kiedy zajmowałem stanowisko pod schodami wiodącymi z salonu na piętro. Wzmocniony łykiem tequili rozpamiętywałem obrazy z mojej niedawnej wizji.

Pierwszy z nich przedstawiał Emmelinę biegnącą galeryjką od strony pokoju Nepa. Jej twarz wykrzywiał grymas przerażenia; miała wytrzeszczone oczy i otwarte usta. W śmiertelnej ciszy, w jakiej zwykle odbywały się moje wizje, Emmelina uderzyła biodrem o poręcz, odbiła się od niej i z wyrzuconą do przodu nogą na moment zawisła nad schodami. Zanim runęła głową w dół, wykręciła tułów, żeby uwolnić lewą stopę, która uwięzła jej między słupkami balustrady Wizja urwała się mniej więcej wtedy, gdy Emmelinę od najniższego stopnia dzielił zaledwie metr. Mogłem sobie wyobrazić, jak podstawa jej czaszki styka się z podłogą i jak pękają kręgi zgniatane ciężarem rozpędzonego ciała. Upadek ten był spokojny i leniwy, bo wizja odbywała się w zwolnionym tempie, co różniło ją od poprzednich.

Stanąłem u podnóża schodów czekając na Emmelinę, by uratować ją przed skręceniem karku Wydawało mi się, że robię to z nakazu czyjejś woli Wkrótce jednak pod wpływem tego samego nakazu ruszyłem schodami pod górę. Uświadomiłem sobie że moja wizja tym razem nie ukazuje przyszłych zdarzeń. Coś pękło w mechanizmie prekognicji i mechanizm ten zamierał, myląc się, fałszując i w agonalnych skurczach raczac mnie improwizacjami na temat przyszłości

— Nep nas opuszcza — powiedziałem do siebie — i jednocześnie opuszcza nas zdolność jasnowidzenia Wątpliwa to zresztą była zdolność, jeśli zważyć, że przejawiała się tak rzadko i przypadkowo.

3.

Trudno mi obecnie ustalić, jakimi torami toczyły się wówczas moje myśli. Prawdopodobnie wspominałem swoją poufałą, szczerą rozmowę, którą miałem z O'Pavelem kilka lat temu w tym domu, i to, jak potem przygnębiony piałem się po tych samych schodach, by w poszukiwaniu Emmeliny wtargnąć do jej buduaru i przyłapać ją z Maxem Sternem in flagranti. Ta scena tworzyła trwały engram w moim układzie nerwowym i kiedy dotarłem na piętro, stanęła mi przed oczami taka, jaką ją opisałem w „Katharsis".

Poprzez analogię, którą doktor Rettman nazwałby pewnie lepkością myślenia, wspomniałem także podobną scenę, tę, z „Titanii", gdy na krótko przed katastrofą pomyliłem drzwi i wszedłem do kabiny, gdzie Leslie Leeport baraszkowała na koi z Potterem Brentonem.

Obie te sceny w nieuchwytny sposób połączyły się ze sobą. Zobaczyłem swoją żonę rozkrzyżowaną pod tym kanadyjskim olbrzymem, który przybrał nagle wygląd Maxa Sterna. Moja żona też się zmieniła: wyszczuplała, a jej rysy nabrały ostrości, co upodobniło ją do Emmeliny.

Potrząsnąłem głową, by odpędzić te wspomnienia, ale one napastowały mnie dalej, ulegając ciągłym przeobrażeniom. Tych dwoje znalazło się raptem na grubej macie z wielbłądziej sierści. Mężczyzna był śniady i bardziej muskularny od Maxa Sterna; miał kruczoczarne włosy, a kiedy uniósł tułów znad rozpłaszczonych pod nim, rozkołysanych piersi i wyszczerzył do mnie równe, nieskazitelnie białe zęby, poznałem w nim Jose Martineza. Nieopatrznie wskrzesiłem pamięcią twarz tamtej kobiety. Była zachwycająco urodziwa, rozjaśniona radością, lecz przy tym bezmyślna, jak u łakomego debila, któremu podsunięto pod nos kopiastą porcję tortu.

Nie wiem, czemu tam wszedłem. Może kierował mną zwykły odruch, może sjła tych wspomnień, może masochistyczne pragnienie ich odświeżenia. Otworzyłem drzwi i zajrzałem do dawnego buduaru Emmeliny, gdzie przed laty „człowiek o dokładnie pięciuset twarzach, najlepszy spec w swojej branży beztrosko zerżnął mi żonę".

To samo, opuszczając tylko słowa „przed laty", mogłem powiedzieć w czasie teraźniejszym.

Od tego miejsca w mojej pamięci zieją luki. Swoje późniejsze poczynania, reakcje, próby zinterpretowania otaczającej mnie rzeczywistości mogę odtworzyć jedynie na podstawie dziennika, który prowadziłem prawie do ostatnich dni odosobnienia. Te, nie zawsze rzetelne, notatki skażone są patologicznym subiektywizmem, odzwierciedlają moje fantazje i omamy, lecz to właśnie stanowi o ich dokumentarnej wartości, gdyż oddają prawdę o moich przeżyciach. Ilekroć wracam do tych notatek, zdumiewam się kategorycznością stawianych przez siebie ocen, a zarazem nad własną chwiejnością w uczuciach i postępowaniu.

4.

Trzeciego lub czwartego dnia pobytu w tym Zakładzie tak napisałem w swoim dzienniku:

«To samo, opuszczając tylko słowa „przed laty", mogłem powiedzieć w czasie teraźniejszym».

Leżeli oboje na łóżku, w półmroku, tak jak wtedy. Max Stern odwrócony był do mnie plecami, ale wiedziałem, że to on. Poznałem go natychmiast po tym naprężonym karku i napiętych pośladkach, i po spodniach chyba już zwyczajowo spuszczonych do kolan. Robił to pośpiesznie, z króliczym zapamiętaniem, a klamra jego pasa dzwoniła natarczywie, jak brzęczyk na konsoli łączności sygnalizujący pilne wezwanie. Jego partnerka którą zasłaniał ciałem, kurczyła nogi i sapała wespół z nim w dwugłosowym madrygale. Patrzyłem na nich nie dowierzając swoim zmysłom.

— Max? — powiedziałem.

Wykręcił szyję i obrzucił mnie błędnym wzrokiem.

— Max? Co tu się dzieje?

Może nie powinienem był im przeszkadzać, może należało się wynieść stamtąd czym prędzej, ale kiedyś już tak zrobiłem i miało to fatalne skutki. Jestem u siebie — pomyślałem — i trzeba raz z tym skończyć. Nie mogę ciągle być intruzem we własnym domu.

Max Stern uprzytomnił sobie wreszcie, że ma widza. Miotając się w łóżku wybałuszał na mnie oczy i niezdarnie nawlekał spodnie na tyłek.

— Jak ty się tu znalazłeś? — spytałem. — Co ty tu wyprawiasz? To nie jest jakiś godzinowy hotel, do cholery!

Oczywiście przyjechał do nas za namową Emmeliny, której jest potrzebny do celów reklamowych. On także goni za reklamą. Ta dwójka życiowych bankrutów usilnie stara się uwikłać w skandal towarzyski. Po artykule w „Bern Zeitung" spodziewali się oni najazdu reporterów na Breshoven, więc wspomagając się wzajemnie dążyli do stworzenia w moim domu stosownej sytuacji ku zgorszeniu opinii publicznej. Niewinne napomknienie o ich dawnym romansie — jakby powiedział Reinhard Metternich — tekścik pod tytułem „Szczęśliwa komuna małżeńska"; jeden, drugi, trzeci wywiad, jedno, drugie, trzecie zdjęcie z Nepem, przy Nepie, obok Nepa, i znów wypłyną na szersze wody.

— Poczekaj, Mike! — zawołał Stern. — Pozwól, że coś ci wyjaśnię.

— Nie potrzeba mi żadnych wyjaśnień. Przyjechałeś tutaj na to ostatnie przedstawienie, żeby zrobić z niego swój benefis, ale ten pokój wywiera na ciebie nieodparty urok i musiałeś jeszcze raz sprawdzić, jak to w nim smakuje. Bo tu jakoś bardziej czujesz się mężczyzną, prawda?

— Posłuchaj, Mike.

— To ty posłuchaj. Nep jest w tamtym skrzydle. Jeżeli chcesz zdążyć przed zapadnięciem kurtyny, to zabieraj stąd swoją panienkę...

Dopiero teraz spojrzałem na tę kobietę. Ze swojego miejsca na łóżku Leslie wpatrywała się we mnie oczyma jak koła. Już wcześniej miałem podejrzenia, że to ona, chyba dlatego, aż do tej pory unikałem jej wzroku, zapewniając się w duchu, że te podejrzenia są bezpodstawne.

— Lee? Przecież to niemożliwe.

— Mike — powiedział Max Stern. Wstał i szedł w moją stronę.

— Stul pysk — rzuciłem mu chrapliwie. Wyminąłem go i zbliżyłem się do łóżka. — On i ty, Lee? Przecież to niemożliwe, śmieszne. To jakiś kawał, co?

Leslie podciągnęła pled pod brodę.

— Wielki Boże, Mike!

— Wielki Boże? — Okoliczności wymagały, żebym mówił tonem stanowczym i agresywnym, zdobyłem się jednak na ton płaczliwy i żebraczy. — Nic więcej nie masz mi do powiedzenia?

— Czy ty na pewno dobrze się czujesz, Mike?

Ona niewątpliwie czuła się pierwszorzędnie. Po zainkasowaniu swojej porcji miłości zawsze jest w „cudownym nastroju". Kiedy gościmy kogoś u siebie, chodzi po domu rozdrażniona i markotna, bo wtedy nie może się ze mną kochać. „Ta świadomość, że nie jesteśmy sami, peszy mnie i jakoś nie mogę".

— Już cię nie peszy, że dokoła kręcą się ludzie? — wybuchnąłem. — Przecież ty go w ogóle nie znasz. Jest tu najwyżej od kwadransa. To też cię nie peszy? Co on w sobie ma takiego? Jakiś zwierzęcy magnetyzm?

„DELIMALE uczyni ją powolną twej woli".

Znowu zobaczyłem tę młodą nagą kobietę rozłożoną na macie z wielbłądziej sierści i wyraz upojenia na jej zachwycająco urodziwej twarzy dziecka. Tuliła w objęciach szamoczącego się Jose Martineza, który zawołał mnie na pomoc. „Mike" — jego zęby błyszczały w szerokim uśmiechu — „tej ślicznotce ciągle za mało".

— Evelin? — spytałem. — Jak długo każesz mi za to płacić?

Ktoś mnie dotknął i obraz rozpłynął się w mojej wyobraźni. Nadal stałem naprzeciwko Leslie okrytej pledem. Strząsnąłem z siebie dłoń Maxa Sterna i postawiłem następny krok.

— A może ty nie jesteś Leslie? Kim ty właściwie jesteś?

Z pledem przyciśniętym do piersi Leslie usiadła w pościeli i cofnęła się pod ścianę. Posłała szybkie spojrzenie Sternowi i kierując je z powrotem na mnie, powiedziała cicho:

— Idź po jego żonę

— O czym ty mówisz? — zapytałem.

— Idź po jego żonę — powtórzyła z naciskiem.

Usłyszałem, jak Max Stern wychodzi z pokoju i jego oddalające się kroki. Uciekał z mojego domu po przyprawieniu mi rogów, bezkarny, nadęty i nonszalancki, i miałem wrażenie, że pozostawił po sobie nie zwerbalizowane żądanie: „Gdybyś się znowu ożenił, Mike, daj mi niezwłocznie znać". Wyskoczyłem za nim na korytarz.

— Stój! — krzyknąłem.

Był w połowie drogi do pokoju Nepa. Zatrzymał się i zawahał, walcząc z chęcią ucieczki. Kiedy go dopadłem, odchylił głowę do tyłu, nieopatrznie wystawiając podbródek. W ten podbródek rąbnąłem pięścią na odlew.

Nie umiem się bić, bo Ośrodek Kosmicznych Statków Załogowych w Breshoven szkoli pilotów, nie zaś mistrzów ringu, ale Max Stern ma takie pojęcie o technikach samoobrony, że sprałby go nawet manekin do treningu. Wrzasnął i poleciał na ślepy otwór drzwiowy ozdobiony portalem. Poprawiłem z dołu, ciosem w okolice splotu trzewnego, gdzie między innymi umiejscowiony jest zwój jądrowy zawiadujący tym organem, który Max Stern niechybnie otacza szczególną troską. Poczekałem, aż zgięty w niskim ukłonie złapie powietrze, po czym ustawiłem go pod ścianą, by mieć dogodne pole operacji.

— Przestań, Mike — wyjęczał. — Mike, już dosyć.

— Nie. Wpierw uregulujemy zaległe rachunki. Chcę zobaczyć wszystkie z twoich pięciuset min. Sam będę modelować ci gębę.

Korytarzem nadbiegły jakieś kobiety, mignęła mi twarz Anneliese, ktoś próbował odepchnąć mnie od Sterna. Wolną ręką machnąłem za siebie, drugą podtrzymywałem tego łajdaka, bo ledwo stał na nogach.

— Weź się w garść, do diabła, Max — powiedziałem. — Nie możesz mnie teraz zawieść.

Walnąłem go w żebra i powtórnie ulokowałem pięść na jego podbródku. Uderzył potylicą o ścianę.

— Bragg, Joseph Bragg to twój krewniak, prawda? — kontynuowałem. — Kiedyś ty i on chcieliście wyekspediować mnie poza Układ Słoneczny, żeby zabawić się z moją żoną. Bragg zamknął mnie w komorze ciszy, ale to nie była komora ciszy tylko statek międzygwiezdny. Wiesz, jak mu za to zapłaciłem? Zgruchotałem mu szczękę.

Kiwając na boki zwieszoną głową Max Stern wybełkotał coś niezrozumiale.

— Z tobą obchodzić się będę delikatniej — obiecałem. — Przedłużymy tę zabawę do wieczora.

Puściłem go, wziąłem zamach i wtedy Max Stern upadł na podłogę. Osunął się z gracją składanego namiotu i leżał skręcony i nieruchomy. Więcej oznak życia przejawiałby worek fasoli niż on.

— Wstawaj! — rozkazałem.

Ani drgnął. Leżał spokojnie i całą swoją pozą okazywał zadowolenie, że jest już bezpieczny, nietykalny. Nie był to postępek dżentelmeński, ale nie mogłem się powstrzymać, żeby nie kopnąć go w sempiternę.

— Teraz — szepnął ktoś za mną.

Poczułem ukłucie między łopatkami i straciłem przytomność. Ocknąłem się dopiero tutaj.«

5.

Tutaj — słowo to ma wiele znaczeń, a ściślej, określa konkretny lokal, który w mojej imaginacji ulegał nieustannym metamorfozom. Najbliższy prawdy opis tego lokalu znalazłem na początku dziennika. Opisy późniejsze są replikami rzeczywistości wykoślawianej przeze mnie w miarę upływu dni.

Lokal składał się z trzech pomieszczeń: pokoju i dwóch wnęk. Pokój miał rozmiary pięć na pięć kroków i panoramiczne okno wychodzące na park. Pod jedną ze ścian stał wygodny tapczan, pod drugą piętrzył się stos imitujących drewno płyt, z których dziewiątego dnia odosobnienia zmontowałem zestaw prostych mebli. Podłogę pokrywała seledynowopopielata wykładzina harmonizująca z kolorem tapet. Do tego pokoju będącego skrzyżowaniem salonu z sypialnią, przylegały dwie wnęki — kuchenna i łazienkowa.

»Są tu także drzwi. Gdy odzyskałem przytomność, leżąc na tapczanie zobaczyłem stojącą w nich długonogą szczupłą kobietę o urodzie Madonny. Jej bladą, trójkątną twarz wysuniętą spod gęstwiny ciemnych włosów opromieniał seraficzny uśmiech. Trzymała przed sobą plastykowy skoroszyt przyciśnięty płasko do brzucha.

— Dzień dobry — powiedziała.

Dźwignąłem się na łokciach i z powrotem opadłem na poduszkę. Byłem słaby i odrętwiały.

— Co się stało? — zapytałem.

Z tym łagodnym, nic nie mówiącym uśmiechem kobieta podeszła bliżej i przycupnęła na podniesionym siedzeniu przy tapczanie. Skoroszyt umieściła na kolanach i splotła na nim dłonie.

— Jak się pan czuje, panie Cesara?

Jej kitel wydzielał słabą woń środka odkażającego.

— Gdzie ja jestem? — spytałem. — Czy to szpital? Miałem wypadek?

C.D.N.

1 Nagłe zastępstwo

Mój postulat wyborczy

W pewnym archiwum rodzinnym wpadł mi w ręce dokument, którego początkowy fragment zacytuję:

„W następstwie rozwiązania z Panem stosunku służbowego z powodu niezdolności do pełnienia obowiązków służbowych przyznaje się Panu w myśl postanowień art. 11 b. 3 i art. 14 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 września 1926 r. (Dz U R.P. Nr. 94 poz 551) zaopatrzenie emerytalne w miesięcznej wysokości 305.5 punktów, począwszy od 16 czerwca 1932 Powyższe zaopatrzenie emerytalne wypłacać się będzie Panu, pierwszego dnia każdego miesiąca z góry według wartości punktów w danym miesiącu, za pośrednictwem PKO z 10 proc. dodatkiem."

Dalej pismo zawiera pouczenia o ewentualnej utracie prawa do zaopatrzenia (np. przez okres dłuższego niż pół roku przebywania poza granicami RP lub WM Gdańska) i podpis dyrektora Kolei Państwowych.

Czytelnik już wie, skąd moje zainteresowanie tym dokumentem: Mamy różne „stare portfele" rent i emerytur, mamy mniej lub więcej skomplikowane systemy tzw. rewaloryzacji rent i emerytur, mamy niekończące się dyskusje i narzekania — choćby na spotkaniach przedwyborczych akurat — na temat możliwie najsprawiedliwszego podnoszenia tych świadczeń. Zastanawiamy się do jakiej wysokości podnosić renty najniższe i czy rewaloryzować te wysokie. Wiadomo, pieniądz nam runął na łeb na szyję. Pracujący zawsze sobie jakoś poradzą, zarobki stale rosną. A emeryci z dnia na dzień przesiadają się z samochodu na tramwaj a szyneczkę zastępują salcesonem...

A może by tak, zamiast wyważać otwarte drzwi i rozbijając głową nieistniejące mury, iść sobie spokojnie do biblioteki czy archiwum, odszukać Dziennik Ustaw nr 94 z roku 1926 zawierający rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej? Przeczytać uważnie i ewentualnie przepisać interesujący fragment — ten, określający wysokość zaopatrzenia emerytalnego w punktach, a nie w złotówkach?

Proszę zwrócić uwagę na dwie daty — Prezydent Ignacy Mościcki podpisał to rozporządzenie w pierwszych miesiącach piastowania swego wysokiego urzędu, we wrześniu 1926 roku, tuż po przewrocie majowym, w niecałe dwa lata po reformie walutowej, która do historii przeszła jako reforma Grabskiego. W tym właśnie okresie tuż po szalejącej inflacji, mimo iż złotówka była stabilna, wprowadzono punktowy system obliczania świadczeń emerytalnych. Sytuacja — jakby na to nie patrzeć — analogiczna...

I druga data — choć przypadkowa — zwraca uwagę w tym dokumencie: pewien wileński kolejarz, który był adresatem cytowanego pisma otrzymał je w roku 1932. Był to czwarty rok wielkiego kryzysu. Wprawdzie nie notowano w tym właśnie okresie tak znacznej inflacji jak w pierwszych latach dwudziestych ale był kryzys i wszystko mogło się zdarzyć...

Tymczasem był spokojny. Jego 305.5 punktów mogło mieć różne wartości (może, w przypadku kłopotów finansowych Kolei Państwowych mogły się dewaluować i te punkty?) — ale wtedy nie miał pretensji do ZUS-u ani do rządu...

Nie jestem ekspertem nie wiem czy stać nas na to, żeby już, teraz wprowadzić analogiczny system. Być może odczekać trzeba okres trudności i na razie nasi emeryci muszą się zadowolić doraźnymi, ratunkowymi" dodatkami rewaloryzacyjnymi. Ale w przyszłości? Myślę, że metoda wymyślona w roku 1926 z koniecznymi modyfikacjami mogłaby stanowić gwarancję bytu weteranów pracy na długie lata.

Jak to sobie wyobrażam? Ano, prosto dosyć. Na przykład tak: średnią płacę za rok „zerowy" uznajemy za sto punktów. Emerytury są różne, wahają się — dajmy na to od 60 do 200 punktów. I w takiej wysokości wypłacane są w roku 0 + 1. W tymże roku przeciętna płaca rośnie i automatycznie rośnie wartość jednego punktu w roku 0 + 2. I tak dalej.. Oczywiście może się okazać, że w roku 0 + 5 np. przeciętna płaca zmalała. Wówczas emerytury w roku 0 + 6 będą, niestety, niższe...

Można to zresztą obliczać różnie. Przyjmując choćby zamiast przeciętnej krajowej przeciętną w branży.

Mam następujący postulat wyborczy: proszę mojego posła, kiedy już zostanie wybrany, żeby poszedł do biblioteki lub archiwum, odszukał Dziennik Ustaw Nr 96 z roku 1926. Żeby zanotował, pomyślał i porozmawiał z kolegami — posłami. A może zrodzi się z tej rozmowy projekt ustawy?

ANDRZEJ KAROL

2 Lewym okiem

Strzelec patrzy przez szczelinę...

Znów jest wrzesień i znów nie sposób pominąć myślą tamtej jesieni sprzed czterdziestu sześciu lat. Należę do tych, którzy dobrze pamiętają wojnę, jej początek, jej preludia z lat wcześniejszych. Czuliśmy się zaskoczeni, ale teraz, kiedy czytam wiele publikacji sprzed 39 roku, widzę ilu ludzi zdawało sobie sprawę z nadchodzącej katastrofy, ilu przed nią ostrzegało, kreśliło różne możliwe scenariusze zdarzeń. Widzę, jak dobrze i ściśle przewidywano wypadki, które zwaliły się nam na głowę — czy tych rzeczy nie czytali ówcześni mężowie stanu całej Europy? Czy raczej czytali, a nie brali poważnie? Tych jakże przenikliwych rozważań o sojuszach, o stosunku sił, o celach poszczególnych rządów?

Już na dwa lata przed dojściem Hitlera do władzy dwaj Francuzi, Charles du Hemme i Hubert-Jaques, ogłosili książkę „Francais, garde a vous!" („Francjo, baczność!"), wydaną w 1938 roku po polsku pt. „Niemcy gotowe do wojny". Czytając ją dzisiaj ma się chwilami wrażenie, że jest to sprawozdanie z zaszłości, tyle w niej trafnych przewidywań. Znakomity pisarz niemiecki (emigrant), Emil Ludwig, w rozprawce „Die neue heilige Allianz" („Nowe święte przymierze"), wydanej w 1938 roku w Paryżu, wzywał Anglię, Francję i Amerykę do niezwłocznego zawarcia takiego przymierza i do kategorycznego zagrożenia wojną Niemcom, jeśli tylko podejmą jakakolwiek agresję. Jak wiemy, rządy tych trzech potęg wolały kunktatorską politykę wahań i ustępstw, koncesji, zachęt i wątłych pogróżek.

Świetny reporter polski, Konrad Wrzos, ogłosił w 1937 roku serię wywiadów z mężami stanu Europy i Ameryki pt. „Kiedy znowu wojna?" Co do terminu, jaki wysnuł z owych rozmów, pomylił się bardzo nieznacznie.

Tylko prasa popularna, przeznaczona dla szerokich mas czytelniczych, długo zachowywała beztroski optymizm. Dopiero w 1938 roku, po zajęciu Austrii, Czechosłowacji, Kłajpedy, po nieszczęsnym pakcie monachijskim, zaczęto dopuszczać możliwość zawieruchy wojennej i kreślić jej domniemany obraz. Był to przeważnie obraz lekkomyślnie różowy. W „Kronice Polski i Świata" z sierpnia 1938 roku czytamy w artykule „Jak będzie wyglądał pierwszy dzień przyszłej wojny?", że nie będzie on taki znów straszny, byleby nie dać się zastraszyć. Czołgi?

„Czołg obok niewątpliwych zalet jakie daje pancerz posiada duże defekty, przyrodzone niejako, których usunąć się nie da. Strzelec, siedzący w wozie, nie chcąc się narażać na strzały, patrzy przez szczelinę i kiedy czołg jest w biegu, niewiele co widzi. Jazda w czołgu jest niezmiernie nużąca i oddział pancerny po krótkiej akcji wymaga długiego odpoczynku. Nie nadaje się do dłuższego działania. Przyjęta w armiach jednostka pancerna zajmuje w marszu około 120 kilometrów. Czoło w Warszawie, a ogon w Łodzi! Jak taką kolumną zawracać w prawo i w lewo i w potrzebnej chwili skupić ją na niewielkiej przestrzeni do walki? Znaleźć dla niej godny jej uderzenia żywy cel?"

Zmartwienie o znalezienie „godnego" celu miało podzielać z bronią pancerną także lotnictwo:

„Burzenie całych miast może wykonać jedynie celowany długotrwały ogień artylerii, lecz nie ordynarne rzucanie pocisków, byle jak, byle gdzie, jak to czyni lotnik w obliczu dział obrony przeciwlotniczej. Szkody materialne przez lotnictwo wyrządzone będą zapewne znikome dla siły materialnej państwa",

Przy takich wyobrażeniach łatwo było o optymizm, mający jednak wszelkie cechy po prostu lekceważenia przeciwnika. A przecież wiemy, że przy takiej postawie nie wygra się nawet meczu w piłkę nożną.

Toteż nic dziwnego, że ta sama „Kronika Polski i Świata" w numerze z czerwca 1939 roku, relacjonując rozmowę z asem lotnictwa francuskiego, pułkownikiem René Fonekem, pisze:

„Jeśli wysyła się ultimatum (jak to zrobił Hitler — przyp. mój) *i nic z tego nie wychodzi, to przepadło, wojna musi być. A jeśli wojny nie ma, to jeszcze gorzej, przegrana podwójna. Z tego wycofać się nie można. Hitler leży. Decyzja uderzenia odkładana z dnia na dzień oznacza przyznanie się do słabości i klęski".*

Prawie że namawiano Hitlera do przyspieszenia akcji. Zawstydzano go, że „odkłada z dnia na dzień". No, ale nadszedł piątkowy świt pierwszego września i zarówno lotnictwo, jak broń pancerna, nie wahały się w doborze celów w naszym kraju. Wiemy, ile lat, krwi, ruin, łez kosztowało położenie wreszcie kresu niszczącej furii niemieckiego oręża. Podziwiamy publicystów, którzy potrafili przewidzieć tragiczne wydarzenia i usiłowali im w miarę swych sił zapobiec, a innych, tych co machali lekceważąco ręką na zbliżającą się zawieruchę, czytamy z politowaniem: jak też sobie ten Jaś wyobrażał wojenkę?..

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

W Wielkiej Polsce

Żyje sobie człowiek np. sto lat i nie łamie sobie głowy pytaniem, dlaczego jedna część Polski od wieków nazywała się Wielką a inną Małą. Tylko czasem przemknie mu przez myśl, że może tutaj mieszkańcy byli wielcy wzrostem, a ówdzie całkiem nieduzi, ale to przecież bzdura takie wyjaśnienie...

Aż tu pewnego dnia chodzisz sobie człowieku (stuletni czy nieco młodszy) po największym mieście Wielkiej Polski i rozglądasz się bacznie dokoła, żeby zdać sobie sprawę, na czym polega to wrażenie europejskości, którego zawsze zaznajesz, ilekroć przyjedziesz tu, czy to z Małej Polski, czy tzw. Kongresówki. Niby są to rzeczy znane, nie odkrywasz więc Ameryki, ale pewnego pięknego dnia dostrzegasz je jakby po raz pierwszy i jakby w nowym świetle.

A więc czystość. Jedziesz sobie tramwajem i jakby nigdy nic widzisz wszystko, co się przesuwa za szybą, dzięki czemu uświadamiasz sobie, że właściwością szyby jest przezroczystość, nawet w środkach miejskiej komunikacji. Za jedyne trzy złote oglądasz sobie domy, ulice, zieleńce i widzisz, że domy — jeden w drugi — były w ostatnich latach otynkowane, rozbłyskują też przed twoimi oczami okna wystawowe sklepów, a świeżej zieleni przystrzyżonych trawników nie zapaskudzają opakowania po papierosach czy inne papierzyska.

W pierwszym lepszym sklepie traktują cię jakbyś był ważniejszą osobą od sklepowego personelu, ekspedientka nie daje ci do zrozumienia, że niezrozumiały wybryk historii wygnał ją z pałacowych salonów i zniewolił do wykonywania handlowych posług, a panienka z biurowego okienka nie odburknie ci opryskliwie: „nie będę każdemu powtarzała tego samego, a zresztą nie jadłam jeszcze śniadania", czym ci wykazuje, żeś nierób i człowiek nieludzki.

A gdy, znużony i głodny, wstąpisz do pierwszego lepszego przybytku publicznego żywienia, a następnie — szybko i grzecznie obsłużony — zdecydujesz się skorzystać z toalety, możesz to uczynić bez obrzydzenia, nie mówiąc o tym, że umycie rąk i wytarcie w czysty i suchy ręcznik nie stanowi problemu.

Jeśli zaś szukasz kogoś na nowym osiedlu, jeszcze rozbudowywanym, nie musisz się, znając adres, nikogo informować, wysiadając bowiem z tramwaju czy autobusu widzisz z odległości kilkuset kroków, wypisane wielkimi jak woły cyframi, numery bloków, a następnie odpowiednio mniejsze oznaczenia klatek schodowych, w sieni natomiast wyczytasz z dobrze oświetlonego spisu lokatorów numer mieszkania i piętro, toteż bez żadnych rozterek dojedziesz prosto do celu zadbaną windą. Kto ciekaw, niech odwiedzi palmiarnię, rozbudowaną ze społecznej zbiórki kapsli od mleka!

Można by snuć tę wyliczankę dłużej, ale po co się samemu udręczać i denerwować tych rodaków, którym nie dane jest na stałe przebywać we wspomnianym mieście, a dokładniej — w Poznaniu. Należałoby tylko zastanowić się, skąd się biorą te odchylenia od polskiej normy porządkowo-higienicznej i organizacyjnej. Czy Poznań jest o tyle bogatszy od równych sobie wielkością miast w innych częściach kraju, że stać go na większe sumy budżetowe w rubryce „czystość"? A czy przewidziano też jakieś środki na pozycje: ład, porządek i organizacja?

Mówi się nieraz, że mieszkańców tej części kraju wdrażano tak skutecznie przez trzy pokolenia pod obcym zaborem do porządku i czystości, że dzisiejsi potomkowie mają te nawyki już gotowe, nie tyle „we krwi" (bo tego się nie dziedziczy), ile w żywym przykładzie, przekazywanym w łańcuchu pokoleń. Zapomina się o tym, że przyswajano tu sobie dodatnie cechy społeczne zaborcy nie z posłuchu, lecz w rywalizacji i walce, żeby nie okazać się gorszym, mniej gospodarnym i cywilizowanym. A więc — z patriotyzmu.

Wzdychamy często do cywilizowanego życia, którego synonimem stały się dla znacznej części naszego społeczeństwa zasobne kraje Europy, a sami nie przykładamy ręki, żeby się ucywilizować, stworzyć, sobie życie łatwiejsze i milsze, mniej denerwujące, jak właśnie w tej części Polski, która pracowitością i dyscypliną społeczną oraz codzienną rzetelnością zasłużyła sobie na miano Wielkiej. Bo cóż innego jest w naszych czasach miarą wielkości społeczeństw?

Kłaniam się w pas Wielkopolsce

ALEKSANDER

I pomyśleć, że Poznianiacy podnieśli ostatnio alarm z powodu złej organizacji handlu w okresie urlopów. Dać kurze grzędę, ona — „wyżej siędę". Zgroza!

A.

4 Sport

Ból głowy

Jedno przysłowie mówi, że od przybytku głowa nie boli. Ale drugie przysłowie głosi: co za dużo to niezdrowo. Wynika stąd, że posiadając za dużo i nie odczuwając z tego tytułu bólu głowy, wcale nie musimy być zdrowi. Głowa może przecież pobolewać z niedostatku. Inna sprawa, że przysłowia często sobie zaprzeczają, dlatego są mądrością narodów.

W okolicznościach niedostatku, albo po prostu braku kogoś lub czegoś, stosuje się ostatnio powiedzonko o treści: im gorzej, tym lepiej. Znajduje ono coraz szersze zastosowanie w sporcie. Na przykład zespół futbolistów Widzewa, przerzedzony niczym mazowiecka wieś po uskutecznieniu branki, gra jak za najlepszych swoich czasów, choć ma nieliche kłopoty z zebraniem jedenastu zdrowych chłopców w wieku poborowym. Im gorzej, tym lepiej! Natomiast w zaprzyjaźnionej stołecznej drużynie, gdzie też grywają piłkarze z charakterem oraz Dariusz Dziekanowski, stwierdzono objawy przedawkowania ilościowego i jakościowego siły roboczej. Pod zielonym sztandarem zebrano tam kwiat utalentowanych kopaczy, z których łatwo można uformować półtorej reprezentacji kraju z długą ławką rezerwowych. Niestety, od kilku lat nikt, nawet sławny Kazimierz Górski, nie potrafi zmusić tych chłopców do walki, mimo że — jak twierdzą niektórzy — stołeczny klimat jest bardzo zdrowy, a miejscowe dyskoteki nie mają w Łodzi równych sobie. Cóż, zaciężne legiony rzadko kiedy kwapiły się do walki o obcą sprawę.

Tezę o błogosławieństwie niedostatku poparli też nasi kolarze, którzy jak wiadomo nie mają na czym jeździć, bo przy krajowym sprzęcie na pierwszym ostrym wirażu szlag trafia kierownice (nie jest to aluzja polityczna!), zaś „Stomil" produkuje dętki, które pękają jak... inne gumy marki „Stomil" (nie jest to aluzja demograficzna!). Co w tej sytuacji robią podopieczni Ryszarda Wielkiego? Ano bez swych podstawowych narzędzi pracy — bez rowerów jadą na mistrzostwa świata do Włoch, gdzie kupują dostępny sprzęt i po krótkim treningu stają do rywalizacji z całą plejadą „cudownych dzieci dwóch pedałów". Tymczasem przeciwnicy dysponują rowerami-klejnotami, zmontowanymi w tajnych warsztatach superkonstruktorów i supermechaników, którzy pod rękę z komputerem wyczarowują dwukołowe maszyny dostosowane do wzrostu, wagi, siły mięśni i za przeproszeniem pupy zawodnika. Potem są wyścigi, a właściwie parady nowinek technicznych, podczas których nasi chłopcy czują się jak ubodzy krewni z prowincji. Ale tylko na starcie. Na mecie wyścigu indywidualnego tęczową koszulkę mistrza świata przywdziewa bowiem Lech Piasecki — sportowiec, który ambicją, pracowitością i talentem może prześcignąć wszystkie te cuda techniki dosiadając składaka marki „Wigry". Bardzo to pięknie i romantycznie, że chłopak z charakterem przypomniał może po raz ostatni, iż idee sportu mówiły coś jakby o wyższości rywalizacji żywych ludzi, nad pojedynkiem kilku bogatych firm przemysłowych.

Niestety, czasy sportu romantycznego mijają raczej bezpowrotnie. Lech Piasecki nie przypuszcza nawet jaką krzywdę uczynił swoim kolegom sportowcom, którzy niecierpliwie czekają na łaskawy przydział wyczynowego sprzętu. Wybryk naszego mistrza świata pozwoli wytłumaczyć młodzieży, że świetnym tyczkarzem można być także skacząc o sękatym kiju, a do gry w szachy zupełnie wystarczą kapsle od piwa. Za rok rywale Piaseckiego wsiądą na lepsze, doskonalsze rowery, my natomiast, jak znam życie, po fecie z okazji sukcesu, z niejakim zdziwieniem stwierdzimy, że nasi chłopcy chociaż wspaniali i najlepsi, powinni mieć jakiś rower, bo pieszo trudno będzie powtórzyć zeszłoroczny wyczyn. Składaki marki „Wigry", jako królestwo cyklistów, sprzedamy wcześniej krajom rozwijającym się, dorzucając paru trenerów, mechaników i lekarza sportowego.

Kiedy niedługo już będziemy skansenem techniki sportowej, naszym afrykańskim gościom, od których zakupimy licencję na wyrób rewelacyjnych dętek z gumy, pokażemy takie eksponaty jak: Waldemar Marszałek — wielokrotny mistrz globu i kontynentu, który skomplikowane silniki do łodzi motorowych składa w domowej łazience, a remontuje w kuchni, ekipa żużlowców, która mozolnie przerabia motorower marki „Komar" na sprzęt wyczynowy oraz obelisk upamiętniający ostatnie lądowanie kadry pilotów sportowych, wysłanych po medale na dwupłatowcach z demobilu. Będzie to czas oczekiwania zwycięstw „Syreny Bosto" w wyścigach Formuły I, zgodnie z ciągle obowiązującą zasadą, że im gorzej, tym lepiej...

REZERWOWA II

Wielki las

(11)

ZBIGNIEW NIENACKI

Kulesza posłusznie wyjął kluczyki ze stacyjki, zamknął przednie drzwi z obydwu stron i wsiadł do samochodu Wojtczaka. Domyślił się, że pojadą do restauracji w Gaudach, on także bardzo chciał się napić wódki. Wypróżnili trzy ćwiartki i obydwaj mieli dosyć. Wepchnął ich do ułaza kierowca Wojtczaka, wściekły, że stary znowu zrobił kupę w spodnie i w wozie okropnie cuchnęło. Przed ruszeniem w drogę — spojrzał na zegarek. Już była piąta po południu, więc nikt by teraz nie mógł zarzucić Wojtczakowi i Kuleszy, że pili w godzinach pracy. Odwiózł najpierw Kuleszę i po prostu wyciągnął go za nogi z samochodu, kładąc na podwórzu leśniczówki. Potem zawiózł Wojtczaka do jego porośniętego bluszczem ogromnego domu na skraju Doliny. W tym budynku mieściło się kiedyś nadleśnictwo, ale to były dawne czasy, jeszcze przed reorganizacją.

— Mój Boże, znowu się zesrał — zmartwiła się żona Wojtczaka.

Kierowca mieszkał w bloku w Bartach, ale miał szwagra w Mordęgach. Wrócił więc do Mordęg „lewym" kursem, bo i tak kontrolkę Wojtczak mu jutro podpisze bez żadnych uwag. Przecież nie może pamiętać, gdzie jeździł po pijanemu. Od szwagra zabrał wypatroszonego koguta na rosół.

W tym czasie Józef Maryn wjechał konno na stromę wzgórze, ze zbudowaną na szczycie wieżą do obserwacji lasu w czasie posuchy. Kiedyś rosły tu potężne sosny, po których w krzakach dzikich malin pozostały tylko pnie podobne do czarnych talerzy. Posadzone niedawno sosenki rosły z trudem, gdyż na szczycie brakowało wilgoci. Silny żywiczny zapach rozchodził się tylko od okorowanych pni, z których skonstruowano wieżę z małą platformą na samej górze. Maryn przywiązał klacz do belki u dołu i wspiął się na platformę po wąskiej drabince. Na chwilę oślepił go blask zachodzącego słońca, ogromne jezioro lasu jakie leżało u jego stóp wyglądało jak pochlapane krwią. Widział Maryn przed sobą wąwozy i parowy leśne podobne do zielonej kipieli, miejscami przypominające kudłatą łąkę. Tu i ówdzie żółciły się świeże zręby, słaba zielenią zaznaczały się siedliska modrzewia i porośnięte olszynami bagna. Ciemniejszą wytworną zielenią przykuwały wzrok świerkowe i sosnowe młodniki oraz starodrzewy. Dna parowów były aż czarne od prześwitującego między olszynami bagnistego podłoża, szarą plamą uwidaczniały się skupiska dębów, ostrożnie wypuszczających swoje liście. Na twarzy czuł Maryn lekki powiew wiatru, ale las wydawał się z góry nieruchomy. Nawet tu na górze pachniało żywicą okorowanych pni sosnowych i ów powiew zdawał się być oddechem całego lasu. Patrzył Maryn na las i nie widział jego piękna, tylko odczuwał coś jak gdyby groźę, bo wszedzie w tej zieleni dostrzegał amarantowe krwawe plamy. Uśmiechał się na myśl o trzech leśnych mocach, które zabierały człowiekowi dusze i wrażliwość. Ale zarazem pierwszy raz w swoim życiu odczuł, że las może się wydawać istotą zdolną kochać kogoś lub nienawidzieć. Do tej pory nie zetknął się nigdy z prawdziwym wielkim lasem — w dzieciństwie i młodości bywał jedynie na maleńkich płachetkach ziemi porośniętej rachitycznymi sosenkami, potem jego środowiskiem naturalnym stały się wielkie miasta. Teraz, z góry pierwszy raz w swoim życiu ujrzał rozciągające się kipielisko zieleni, odczuł podziw dla ogromu lasu, poczuł na twarzy jego żywiczny oddech. Poiął, że znalazł się w obliczu jakiejś nowej, nieznanej siły, o której stary Horst Sobota mówił, że zdolna była niszczyć i zabijać, że była wciąż nienasycona, pragnęła nieustannie się rozrastać, poszerzać, zagarniać ziemię i ludzi. Można było się śmiać ze słów starego siedząc w jego domu i patrząc na las przez kolorowe szybki ganku. Tutaj jednak, wobec rozpostartej aż po niebo wielkości lasu, — budził się w człowieku lęk i coś jak wstręt. Obrzydliwa się wydawała Marynowi myśl, że oto za chwilę będzie musiał zejść z wieży, wskoczyć na konia i zanurkować w ową zieloną kipiel, która zamknie się wokół niego i nad nim jak łoń jeziora. Tutaj, na górze, zrozumiał, że skazano go na pobyt w specjalnym więzieniu, okratowanym prętami pni i gałęzi, zepchnięto aż do miejsca, skąd być może nigdy nie będzie się mógł wyrwać na wolność, na tętniące ruchem ulice wielkich miast. Las stanie się jego domem i jego żywiołem jak był żywiołem zwierząt leśnych; po jakimś czasie zdziczeje, ograniczona lasem zostanie także i jego myśl, sparaliżowana będzie wola. Życie jego sprzężone zostanie z rytmem lasu — odczuje czym jest wiosna, lato, jesień, zima, rozmienia na drobne godziny i minuty swojego istnienia. A potem las go wchłonie, wessie w siebie. Już nawet w tej chwili podda się cudzej wszechmocnej władzy, na ścieżkach leśnych aż mdliło go na wyobrażenie, że będzie musiał jechać głębokimi parowami, słuchając klaskania kopyt końskich w śmierdzącym bagnie, ogarnie go duchota i obadna roje gzów i bąków, do ust i oczu pchać się zaczną roje małych muszek. Nawet klacz nie lubiła się zanurzać w ową zieloną kipiel olsów, przyspieszała kroku i zwalniała dopiero w prześwietlonych słońcem sosnowych starodrzewach. Klacz też bała się lasu i ciągle strzygła uszami, biła się po bokach długim szorstkim ogonem.

Schodząc z wieży uraził się w poranione ramię. Gdy wskakiwał na siodło, zrodziło się w nim podejrzenie, że ci, którzy zesłali go do lasu, może wiedzieli, że las odbiera dusze i wypełnia człowieka śmieciem drewnianych wiórów. I zabawna wydała mu się myśl, że przecież on, Józef Maryn, swoją duszę stracił już przed wieloma laty, być może przed domem Bernadetty Bullow. Tak więc on, Maryn, nic tu nie może stracić, bo niczego nie posiadał, nic mu jego dotychczasowe życie nie pozostawiło poza poczuciem własnej klęski i zdziwienia z powodu zdrady Ivo Bundera.

Wrócił do domu o wczesnym zmierzchu. Soboty chyba nie było w mieszkaniu, w żadnym oknie nie paliło się światło. Zapalił je w kuchni, żeby sobie zrobić kolację i wtedy otworzyły się drzwi od sieni. Do kuchni weszła żona Kuleszy, Weronika, w obcisłej kretonowej sukience z krótkimi rękawami. Nie wiadomo dlaczego raptem Marynowi wydała się niezwykle piękna — z czapą czarnych gęstych włosów, wysmukłą szyją i ogromnymi oczami, w których zobaczył nienawiść.

— Przyniesiono depeszę do pana. To może ważne — powiedziała cicho, z trudem wydobywając głos z zaciśniętej krtani.

— Odebrał jej zaklejony blankiet telegramu.

— Chciałbym panią przeprosić... — zaczął. — Mogłem wczoraj zachować się inaczej...

Po prostu wyszła z kuchni, zamykając za sobą drzwi. Ten gest powiedział mu to, co może nie uważały za stosowne wyrzec jej usta: „Ty łajdaku".

Rozerwał przylepiec na depeszy i przeczytał:

„Jutro lub pojutrze Robert"

Gwałtownie zabiło mu serce. Rozlała się w nim ogromna radość. Czymś niemal nieprawdopodobnym wydały mu się wrażenia jakie jeszcze nie tak dawno doznał na górze, skąd patrzył na las. Już za kilka lub kilkanaście godzin znajdzie się w zarezerwowanym dla niego pokoju hotelowym, otrzyma instrukcje, bilet, paszport z jakimś nowym nazwiskiem a może będzie mógł wrócić do tego, jakie dotąd używał. Co za głupiec wymyślił dla niego nazwisko Józef Maryn? Czy nie ładniej brzmiało Kristopher Bullow? Albo to, jakiego używał jeszcze dawniej?

W sadzie znalazł Horsta Sobotę, który wraz z leśniczym Kondradtem ustawiał ule między kwitnącymi drzewami. Powiadomił starego, że musi na jakiś czas wyjechać i poprosił o opiekę nad klaczą. Potem wrócił do siebie, przebrał się w garnitur, spakował do małej walizeczki najpotrzebniejsze rzeczy, narzucił na siebie płaszcz prochowiec — i już w ciemnościach nocnych nawet nie zauważony przez Horsta, wymknął się z jego domu i dobrnął do szosy. Samochód-chłodnia zawiózł go na stację kolejową w Bartach, gdzie prawie do drugiej w nocy czekał na pośpieszny pociąg.

Wczesnym rankiem, gdy Weronika robiła śniadanie, a Horst Sobota golił się w kuchni, stojąc przed małym lustrem zawieszonym na ścianie koło okna (nigdy nie przyzwyczaił się do golenia w łazience) — stary powiedział z wyrzutem:

— Źle zrobiliśmy pozwalając odjechać temu obcemu człowiekowi. On może tu nigdy nie zechce wrócić, a co ja pocznę bez niego?

— Pozostawił swoją klacz... — lekceważąco poruszyła ramionami Weronika.

Sobota przeciągnął palcem po wargach, które tego ranka wydały mu się bardzo blade.

— To nie jest zwykły człowiek. Jemu może nie zależeć na klaczy.

— Pozostawił walizkę i sporo swoich rzeczy...

— Na tym pewnie jeszcze mniej mu zależy. Ty nie widziałaś tego, co ja widziałem, i dlatego nie wiesz o nim tyle, co ja.

— Mieszkał w leśniczówce prawie trzy tygodnie. Nie zauważyłam w nim niczego szczególnego. Potem zachował się po łajdacku. Jak Kulesza. Jak wszyscy.

Z rozgrzanej płytki elektrycznej kuchenki zdjęła ścieta jajecznicę i na długą chwilę znieruchomiała, jeszcze raz w swej wyobraźni przeżywając tamtą chwilę. Takie wspomnienie powodowało, że serce zaczynało się w niej tłuc, miała ochotę krzyczeć.

— Nie mógł się zachować inaczej — spokojnie powiedział Horst, udając że nie rozumie, co odczuwa Weronika. — To bardzo zły człowiek. Gorszy od lasu. Ale on nosi w sobie takie zło, które przekształca się w dobro. Musiało się dokonać zło, abyś powróciła tutaj, Weroniko. On to sprawił. Znowu zwyciężył las.

— Nie chcę z nim mieszkać pod jednym dachem. Nie chcę być pod jednym dachem z człowiekiem, który widział jak mnie... — urwała. To, co chciała powiedzieć, nie mogło jej przejść przez ściśniętą krtań.

Horst Sobota wytarł ręcznikiem twarz z resztek mydła i odwrócił się do Weroniki, śmiejąc się bezgłośnie, bezzębnymi ustami.

— Ty już tutaj nie masz nic do gadania, Weroniko. Przyniosłem cię z lasu na własnych rękach, sponiewierana i na wpół obnażona. Wróciłaś teraz taka sama. Ale przedtem zabiłaś mnie. Umarłem przez ciebie i trzy dni leżałem w trumnie. On zaś mnie wskrzesił. Potem poszedł do lasu i walczył. Widziałem jego ramię przeorane nożem, płynącą z niego krew. Dziś albo jutro przyjdzie po ciebie leśniczy Kulesza i powleczesz się za nim jak krowa na postronku. Tak naprawdę pozostał mi tylko on, Józwa Maryn.

Weronika nagle pojęła, że rozpamiętywanie tego, co się stało, czyni ją słabą.

— On nie jest taki jak wszyscy — głośno rozmyślał Horst. — Ma klacz, siodło i pejcz z rączką uplecioną z rzemienia. Nigdy nie widziałem, żeby uderzył nim konia. Jego pejcz wisi w stajni na gwoździu nad żłobem. Ale przecież ten pejcz do czegoś mu jest potrzebny skoro go kupił. Powiedział że musimy mieć psa. Dzikiego psa. On go wytresuje tak jak się tresuje ludzi. Odkrył przede mną, że ludzie są tresowani. Nie, to nie jest zwykły człowiek, Weroniko.

Podała Horstowi talerz z prawie zimną jajecznicą, nalała mu herbaty do glinianego kubka, podsunęła chleb posmarowany masłem.

— Nie wrócę już do Kuleszy. Nie potrafię. Ty tego nie zdołasz zrozumieć, Horście, ale i we mnie coś nagle umarło. I to wcale nie dlatego że zrobił ze mną to, co zrobili. Może nie nadaję się do małżeństwa? Brzydzę się ciałem mężczyzny. Dlatego nie chcę tu tego obcego człowieka.

Mówiła to z taką stanowczością i z takim spokojem, że jej nawet uwierzył. Na chwilę poszedł do łazienki i obmył twarz pod kranem u wanny. Zasiadł do śniadania i żując wolno chleb, mówił w rozmarzeniu, głośno mlaskając:

— On dla ciebie nie jest mężczyzną, a jedynie człowiekiem. Jeśli wróci, kupię mu kobietę. Muszę go przecież w jakiś sposób u siebie zatrzymać, bo bez niego czuję się bezbronny. Czy nie wiesz co było w tym telegramie do niego?

— Nie mam zwyczaju czytać cudzych depesz.

— Szkoda — siorbnął łyk herbaty.

— To mogła być wiadomość od żony.

— On nie ma żony — stanowczo oświadczył Sobota.

— Mówił, że ma żonę. Sama to słyszałam.

— Mógł tak powiedzieć. Ale to nieprawda. Taki człowiek nie może mieć żony. Taki człowiek, albo wywalcza sobie kobietę albo ją kupuje.

— To znaczy, że kiedyś kupił sobie żonę.

— Żony się nie kupuje — tym razem usłyszała śmiech Soboty. — Żonę bierze się dobrowolnie, za obopólną zgodą. Czy ja kupiłem sobie drugą żonę? Ani pierwszej, ani drugiej. Dlatego ta druga mogła ode mnie odejść, a ja nie byłem w stanie temu przeszkodzić. Co innego, gdybym ją kupił jak rzecz.

— Mówisz wciąż tylko o nim — wybuchnęła złością. — A ja? Czy nie liczy się, że powróciłam i już nigdy stąd nie odejdę?

Horst nie od razu odpowiedział. Zeskrobał widelcem resztkę jajecznicy z talerza, dopił herbatę.

— To dobrze, że jesteś. Będziesz nam potrzebna, gdy on wróci i rozpocznie walkę z lasem.

— Nie zostanę służącą. Dla ciebie, tak. Dla niego, nie.

Horst wzruszył ramionami.

— Zostaniesz tutaj gospodynią. Ale to gorzej dla ciebie. Gospodyni musi gościowi bardziej nadskakiwać niż służąca.

— Wyrzuć go stąd.

— Nie — Sobota uderzył pięścią w stół. — Pamiętaj, że przez ciebie umarłem i on mnie wskrzesił. Nie zmuszaj mnie, kobieto, żebym na ciebie podnosił głos. On mi pomaga zwyciężyć las. To on mi ciebie zwrócił. Nigdy nie zrozumiałaś, czym jest las.

— To są bzdury — krzyknęła. — Karmiłeś mnie tymi bzdurami, wierzyłam w nie, w jakieś leśne zło, moce szatańskie, w leśnych ludzi, którym las odebrał dusze. To przez twoje głupie gadanie wyszłam za Kulesze, bo przekonałam się, że jest takim samym człowiekiem jak inni. To przez ciebie...

Krzyk się urwał. Coś strasznego przeniknęło do jej świadomości. Jakiś irracjonalny strach ją ogarnął. Bo przecież jeśli uciekła od Kuleszy, to znaczyło, że Horst miał racje. Zawsze miał rację. We wszystkim miał rację.

Sobota oparł się o poręcz krzesła, wyciągnął przed siebie nogi. Nareszcie i on okazał się zwycięzcą.

— Więc to nieprawda, Weroniko, że las zabrał mi żonę i córki, cały dobytek? To nieprawda, że na moich polach rośnie las, a mnie pozostał tylko ten skrawek ziemi i dom? To nieprawda, że odeszła ode mnie druga żona i syn tylko dlatego, że nie chcieli żyć na skraju lasu. To nieprawda, że co roku przyjeżdża tu nadleśniczy Masłocha i próbuje mi odebrać mój dom i resztkę mojego mienia. I to także nie jest prawda, że znalazłem cię w młodniku. Nieprawda, że zabrał mi cię las i jeszcze raz pohańbił. I to też nieprawda, że pojawił się u mnie człowiek nazwiskiem Józwa Maryn...

Nagle pomyślał, że Józwa Maryn być może nigdy już nie powróci. Ulotniło się poczucie tryumfu. Zwiesił głowę, zgarbił się, stał się znowu przerażonym Horstem Sobotą, któremu pozostaje jedynie położyć się do jesionowej trumny.

Weronika pojęła, co się z nim dzieje. Podeszła do starego, położyła mu dłoń na ramieniu, a kiedy na ten gest nie zareagował, zaczęła ze stołu zbierać naczynia, włożyła je do zlewozmywaka i zabrała się do ich mycia.

— On wróci, Horście. Na pewno wróci — odezwała się po długim milczeniu.

Horst Sobota bez słowa podniósł się z krzesła i wyszedł na podwórze. Potem — widziała to z okna — wolno ruszył przez sad nad jeziorą, aby nie słyszeć szumu drzew leśnych. Niedługo tam siedział, las umilkł, powietrze stało się parne, powoli zbierało się na pierwszą w tym roku wiosenną burzę. Horst wyprowadził ze stajni klacz i spętawszy jej nogi, puścił ją na łąkę nad brzegiem jeziora. Później — to też widziała Weronika — przebrał się w kombinezon pochlapany wapnem i z blaszanym pudełkiem maści do smarowania pęknięć w korze drzew — zniknął w sadzie. Przyjazdu leśniczego Kondradta nie zauważyła, tylko raptem z okna na piętrze usłyszała jego gniewny głos. Wsparty o stary rower Kondradt rozprawiał o tym, co się wczoraj wydarzyło na plantacji. Opowiadał mu gajowy Wzdręga, że Wojtczak kazał zepchnąć do bagna cmentarz Keilów, a robotnicy chciwi złota zmarłych, łopatą wielkiej koparki wydobywali z ziemi trumny i resztki ludzkie, grzebali w nich jak w śmieciach, obrzucali się ludzkimi głowami. A była wśród tych głów jedna kobieca z długimi siwymi włosami...

— To Kuna — zajęczał Horst Sobota. — Stara Kunegunda Keile. Widziałem ją będąc dzieckiem. Miała długie siwe włosy. A tych trzech jeńców, których tam zakopałem ze starym Keilem?

— Nic o nich nie wiem. I nie idź tam, bo sam widziałem, że nawet śladu nie ma po cmentarzu. Tam teraz rozstawiono stoły. Jedzą i piją.

CDN

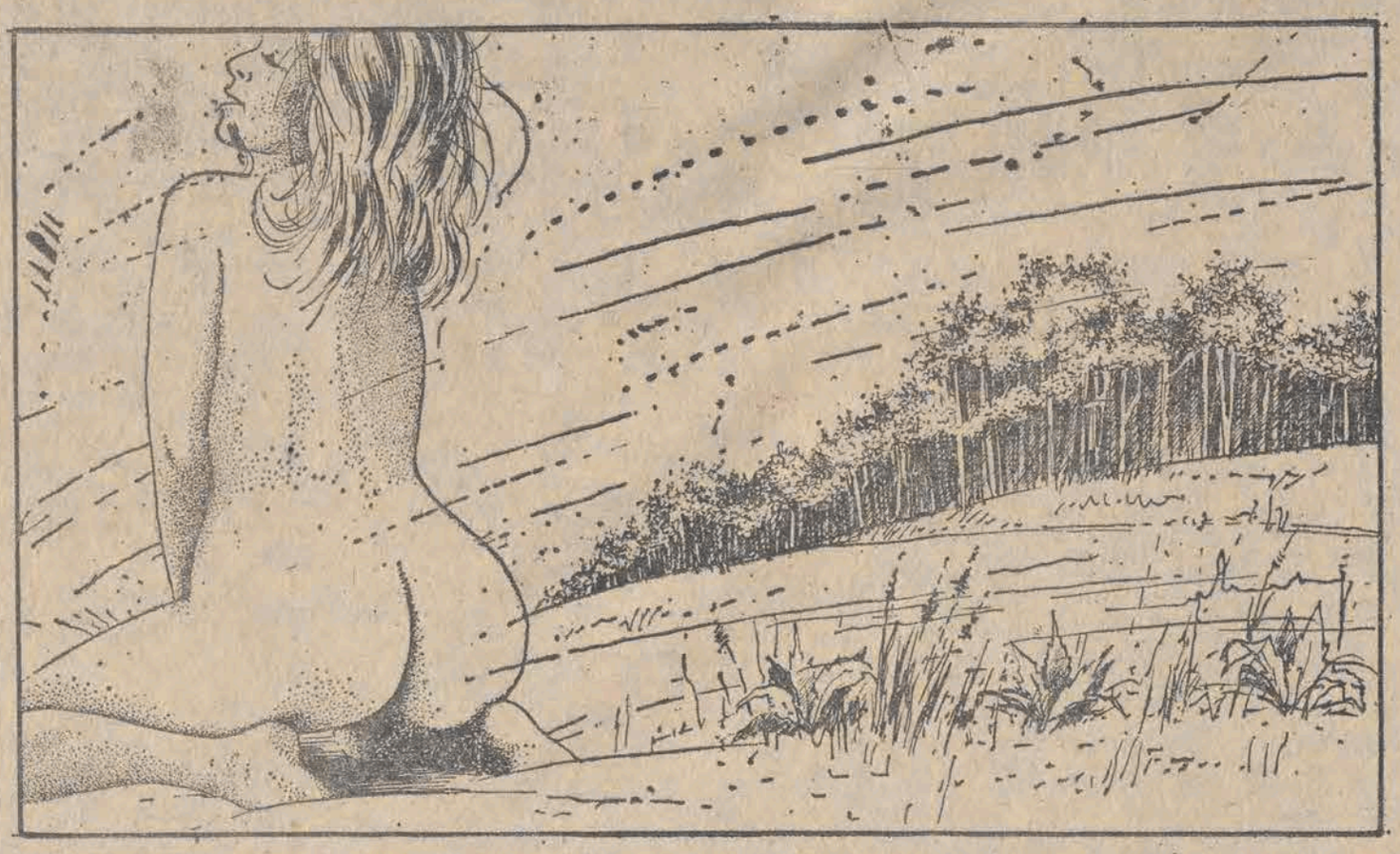

Rys. Janusz Szymański-Glanc